

WOJCIECH KUCZOK
W NOWYM CYKLU
„WIECZNE ODPOCZYWANIE”

MAGDALENA OKRASKA
ZAGŁĘBIE WIDZIANE OD ŚRODKA

ANNA SKROBISZEWSKA
GRZEGORZ CIECHOWSKI
– IDOL I MAŻ

ZAGUBIENI W SEGREGACJI ŚMIECI



Aleksander
Kwaśniewski

KRAJOBRAZ PRZED BITWĄ



Palmarès
69^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin
NAGRODA JURY EKUMENICZNEGO
NAGRODA GILDII FILMOWCÓW



BÓG ISTNIEJE, A JEJ IMIĘ TO PETRUNIA

OPARTY NA PRAWDZIWEJ HISTORII PROWOKACYJNY KOMEDIODRAMAT

REŻYSERIA TEONA STRUGAR MITEVSKA

W KINACH OD 25 PAŹDZIERNIKA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



CYTATY

PROF. ANDRZEJ RYCHARD, socjolog

Konserwatyzm polskiego społeczeństwa to mit. „Polityka”

DR RYSZARD KESSLER, politolog

Większość wyborców nie głosuje na PiS z miłości, tylko dla transferów socjalnych. „Angora”

KINGA DUNIN,

pisarka, publicystka

Jest więcej ludzi, którzy piszą, niż tych, którzy czytają.

„Dziennik Gazeta Prawna”

KAROL OKRASA,

szef autorskiej restauracji w Warszawie

Wychowałem się na wsi, w dawnym PGR-ze.

Jestem wręcz z tego dumny i z powodzeniem mógłbym być ambasadorem PGR-ów.

„Gala”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kto będzie Brutusem Kaczyńskiego

Jeśli coś mnie zaskoczyło w ostatnich wyborach, to strach milionów wyborców PiS, że jak wygra opozycja, wszystko im zabierze. I z tego strachu, bo przecież nie dla jakichś przymiotów umysłu i charakteru, głosowali na tak kuriozalne postacie jak Kuchciński. Banasia pewnie także by wybrali, gdyby startował. Potwierdza się, że co wybory, to część Polaków głosuje na tych, do których jest najbardziej podobna. Albo chciałaby żyć jak oni. Jedyne znane lekarstwo na tę przypadłość to edukacja. A że z nią niestety coraz gorzej, ciągle są spore zasoby poparcia dla ludzi, których później słusznie krytykujemy.

Zaskakuje też, że mimo wygranej najbardziej minorowe nastroje są wśród polityków PiS. Mogliby się radować, jak politycy Lewicy, ale prezes się smuci, więc smuć się i oni. Choć kompletnie nastroju Kaczyńskiego nie rozumieją. Już chcieliby konsumować owoce wygranej, obsadzać kolejne posady, jednych wyrzucać, a drugich mianować. A tu pojawia się zafasowany prezes. Realista, który widzi nowe, dość niespodziewane problemy. I to w samym środku obozu zjednoczonej prawicy. Zjednoczonej, ale tylko do 13 października. Bo teraz zaczynamy widzieć u Ziobry i Gowina, w przerwach między umizgami do prezesa, znacznie większą pewność siebie. Razem i oddzielnie mają tyłu postów, że PiS, niespodziewanie dla siebie, będzie musiało rządzić z realnymi koalicjantami. Obydwaj politycy przygarnięci przez Kaczyńskiego dobrze wykorzystali minione cztery lata, by lepiej sprzedać szyld zjednoczonej prawicy. Dobrze oczywiście dla siebie i własnych środowisk. Po cichu, ale bardzo skutecznie ograli Brudzińskiego, szefa sztabu wyborczego PiS. Po wyborach obóz zjednoczonej prawicy przeszedł do historii. Coś tam pewno między sobą podpiszą. Ale plecami do siebie już nie powinni się odwracać. Zobaczymy, kto będzie Brutusem Kaczyńskiego.

Z szaf obozu prawicy zaczęły wypadać trupy. I to takiego kalibru jak Banaś. Podwójny symbol tej władzy. Człowiek z nowej elity, którą Kaczyński buduje, i zapowiadanego państwa dobrobytu. Przodownik tej doktryny pasuje jako wzorzec dla młodych pravicowców, którzy marzą o tym, by mieć tyle, ile ma Banaś.

Mają też o czym myśleć wyborcy opozycji. Te wybory były do wygrania. Żal tym większy, że zabrakło tak niewiele.

Wystarczyło nie wycinać z list kandydatów tych, którzy popularnością przebijali faworytki i faworytów lansowanych przez nababów partyjnych. Koalicja i Lewica mogły mieć lepsze wyniki.

BAKOWSKI

POSŁUCHAJ PRZEGLĄDU W KORKU

POBIERZ APLIKACJĘ

Audiodelic

i słuchaj naszych tekstów czytanych przez profesjonalnych lektorów!

SUBSKRYBUJ 19,99 ZŁ MIESIĘCZNIE



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Krajobraz przed bitwą**
– rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim
- 12 Jak Zandberg pokonał Kaczyńskiego**
Obrazki z komisji wyborczej
- 16 Zagłębie widziane od środka**
– rozmowa z Magdaleną Okraską
- 19 Nabici w (plastikową) butelkę**
Bezsensowny system gospodarki odpadami
- 34 Zrobiłbym to jeszcze raz**
– rozmowa z Norbertem Grzegorzem Kościeszą

ZAGRANICA

- 22 Zdobycie twierdzy Budapeszt**
Wyłom w reżimie Orbána
- 24 Kurdyjska puszka Pandory**
Prezydent Turcji rozlicza się z Kurdami
- 28 Etiopski Obama**
Pokojuj Nobel dla premiera
- 48 Barcelończycy walczą z gangami**
Przestępczość w mieście Gaudíego

OPINIE

- 32 Stanisław Bieleń**
Nauczyciel między ideologią a martyrologią

HISTORIA

- 37 Grzech pierworodny Ameryki**
Niewolnictwo i rasizm

KULTURA

- 40 Idol, który stał się człowiekiem**
– rozmowa z Anną Skrobiszewską
- 44 Klasyk za życia**
Noblista Peter Handke
- 46 Culturalia**
- 66 Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz**

ZDROWIE

- 52 Podatek dla zdrowia**
Jak zniechęcić do niezdrowej żywności

SPORT

- 54 Trzeci kolejny awans**
Piłkarska reprezentacja jak plac budowy

EKOLOGIA

- 58 Lis w wielkim mieście**
Społeczny i towarzyski

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kto będzie Brutusem Kaczyńskiego
- 15 Jan Widacki**
W Polsce po wyborach
- 27 Roman Kurkiewicz**
Martwy Sejm żywo radzi
- 31 Wojciech Kuczok**
Kroplówka z wody święconej
- 43 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Resocjalizacja
- 51 Tomasz Jastrun**
Nieszczęśliwa miłość
- 57 Edward Mikołajczyk**
Miesiecznica dla Olgi

24 ZAGRANICA



KURDYJSKA PUSZKA PANDORY

Prezydent Turcji rozlicza się z Kurdami



IDOL, KTÓRY STAŁ SIĘ CZŁOWIEKIEM

– rozmowa z Anną Skrobiszewską

40 KULTURA



LIS W WIELKIM MIEŚCIE

Społeczny i towarzyski

58 EKOLOGIA

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



Ustawy, których nie uchwalił Sejm

Wiersze Kaczyńskiego pisane nocą

Sprzęty AGD

– produkowane,
żeby się psuć

Samochody na godziny i miejskie skutery

– rewolucja w transporcie publicznym

Naród ciągle wojowniczy

Prof. Bronisław Łagowski w felietonie „Naród ciągle wojowniczy” (PRZEGLĄD nr 42) pisze: „Pośród polskich elit politycznych istnieje niezachwiana wiara w opatrnościową rolę obrońcą amerykańskich rakiet w Polsce”. Amerykańskie rakiety niczego nie załatwiają oprócz przekonania rządzących i wierzących im ludzi, że jesteśmy dobrze chronieni. Amerykanie zawsze będą chronić swoje interesy. Rozmowy i przesunięcie wojska do Polski jest w interesie USA i ich firm, ale zapewnia im uwielbienie ze strony PiS i prezydenta. Smutna prawda, ale historia niewiele nas uczy.

Bożena Miernik

Amerykańskie rakiety w Niemczech w dalszym ciągu mają wyznaczone cele w Polsce. Polska ma odgrywać rolę radioaktywnego rowu powstrzymującego postępy wojsk obu stron. Przecież iskandery w Kaliningradzie mają zasięg do 500 km, czyli do południowych i zachodnich granic Polski. Rusofobia ma swoją cenę.

Marek Głowinkowski

Gra o wszystko

Prof. Grzegorz W. Kołodko apeluje o utworzenie globalnego budżetu ekologicznego (PRZEGLĄD nr 42). Ciekaw jestem, kto nim będzie zarządzał. Jaki demokratyczny wpływ na wybór zarządu będzie miał mieszkanie Ostrołki albo Dhaki w Bangladeszu? Na co zostaną przeznaczone te pieniądze i kto będzie wyznaczał cele działalności funduszu? Czy mała firemka w słabo rozwiniętym kraju będzie tak samo obciążana jak gigantyczna korporacja w bogatych państwach? Przecież to zahamuje wszelki rozwój w najbardziej ubogich regionach.

Tymczasem od gigantów nie sposób wyegzekwować nawet zwykłych podatków dochodowych. Cały ciężar spadnie na realną gospodarkę, a nie na wielkie instytucje finansowe, żyjące z obracania zerami na swoich serwerach. W rezultacie najbardziej w kość dostaną najbardziej ubodzy. To są idee lewicowe? Serio?

Piotr Bożejewicz



Co dalej?

Co dalej? – zastanawia się prof. Marek Belka (PRZEGLĄD nr 42). Moim zdaniem jedną z najpilniejszych spraw jest zastopowanie przekopu Międzywiślanej, nie dość, że inwestycji powstającej bez odpowiedniej dokumentacji, to jeszcze generującej nakłady, które się nie zwrócą.

Dorota Kaczmarek

ZDJĘCIE TYGODNIA



Arkadiusz Szczurek, działacz Obywateli RP, postanowił upomnieć się o wypełnienie obietnicy rządu PiS.

**8,95 mln osób zagłosowało na trzy bloki opozycyjne.
To o 900 tys. wyborców więcej niż poparcie dla PiS.**

Małgorzata Kidawa-Błońska (KO) uzyskała w wyborach **408 766 głosów mieszkańców stolicy**, czyli ponad 30% głosujących. **Rekordowa frekwencja (77,07%)** była w **Warszawie**; w całym kraju też nieźle – 61%.

Do Sejmu wróciła Lewica. Ma 49 posłów i dwoje senatorów.

Sędzia Wojciech Łączewski, który skazał w 2015 r. na kary więzienia byłych szefów CBA Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika za nadużycie władzy, rzekł się urzędu sędziowskiego. I złożył do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Zbigniewa Ziobrę, rzeczników dyscyplinarnych i grupę hejterów w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Sąd Najwyższy uznał, że Wojciech Czuchnowski i „Gazeta Wyborcza” mieli prawo do publikacji w listopadzie 2015 r. tekstu „Mafijne państwo PiS”, bo dotyczył on organów państwa i prezydenta Dudy oraz miał uzasadnienie w faktach.

Piotr Wojciechowski, prozaik, poeta, reżyser, otrzymał Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta za całokształt twórczości.

Wiesław Ochman, znakomity tenor, został wyróżniony za całokształt osiągnięć Koryfeuszem Muzyki Polskiej, najważniejszą nagrodą środowiska muzycznego.



Marian Banaś, prezes NIK, trwając na stanowisku, które zawdzięcza PiS, **pokazuje, jaka jest droga do państwa dobrobytu obiecanego przez Kaczyńskiego**. Banaś niewątpliwie **ma majątek, który pozwala mu żyć w dobrobycie**. I niewątpliwie nie pokrywa się on z pensjami urzędnika Banasia.

63 tys. pijanych kierowców zatrzymali policjanci do końca lipca br. O 30% wzrosła liczba kierowców złapanych pod wpływem narkotyków.

Tylko 23% zdających zalicza egzamin praktyczny na prawo jazdy w wojewódzkim ośrodku ruchu drogowego w Koszalinie, a 27% w Szczecinie.

**O 6,3% zdrożała żywność w ujęciu rok do roku.
A warzywa są droższe o 23% (dane GUS).**

Sieci handlowe o ponad 40% zwiększyły wydatki na promocję napojów energetycznych, wynika z raportu opublikowanego przez międzynarodową firmę Hiper-Com Poland. Wzrosła także sprzedaż tego typu artykułów.

Prawie 100% 40-latków i 90% siedmiolatków ma próchnicę. Według Naczelnej Izby Lekarskiej aż 40% Polaków po 65. roku życia nie ma zębów.

24,2% powierzchni gruntów rolnych i lasów w Polsce jest ekstremalnie zagrożonych suszą.

PRZEBŁYSKI

Kto będzie Brutusem PiS

Czy Paweł Szefernaker to większy mądrala, niż na takiego wygląda? A może cwaniak, który gra na trzy fronty? Lub nie-



zda, którą ograli Ziobro i Gowin? Skąd te przypuszczenia? Ano z wyników wyborów. Szefem sztabu wyborczego PiS był Joachim Brudziński, a Szefernaker, jego wychowanek, też się znalazł w tej grupie. Nie bez powodu. Obydwaj mieli zadbać o interesy partii pre-

zesa K. No i nie zadbali. Gowin ma 18 szabel, a Ziobro 17. Bez nich PiS nic już nie może. Czyżby rządząca koalicja miała dwóch Brutusów? Do wyboru? Może zrobić casting? Chętnych na pewno nie zabraknie.

Morawiecki przebrany za Ślązaka

Już na wiosnę nie poznacie Śląska. Jeśli oczywiście Morawiecki, który przed wyborami był tam częściej niż w Warszawie, zrealizuje choć 20% swoich obietnic. To taki nasz żarcik. Bo wiadomo, że za jego rządów Śląsk Bawarią nie będzie. Chyba że Ślązacy wyjadą do Monachium.



Po liczonych w miliardach obietnicach Morawiecki dostał na Śląsku 133 tys. głosów. Tak drogiej i wypasionej kampanii jak ta, którą mu zrobili sztabowcy PiS, jeszcze Ślązacy nie widzieli. Kasy, którą im Morawiecki obiecał, też nie zobaczą.

Jaki i Strzelec – więzienna drużyna

Szukanie śladów mądrości Patryka Jakiego nie rokuje dobrze. Przybywa mu za to kłamstw. Tygodnik „Nie” przyłapał go, jak tż w sprawie ptk. Marcina Strzelca, którego zrobił zastępcą szefa Służby Więziennej.



Tyle że wcześniej Strzelec, jeszcze jako kapitan, robił w Kaliszu kryminalne numery. Andrzej Sikorski przypomina, jak Strzelec poczynił sobie w Centralnym Ośrodku Szkolenia Służby Więziennej w Kaliszu. Prywatnie folwark. fuch. por-

no na komputerach służbowych. Wkurzeni związkowcy poinformowali prokuraturę, ale przyszedł Jaki i wywindował Strzelca na samą górę. A związkowców rozestano po całej Polsce. Wygrali w sądzie i dostaną odszkodowanie. Od nas. *Pardon*, od państwa.

Polonia kocha, ale bojkotuje

Jeśli powiedzieć Polonusowi, że nie jest patriotą, w odpowiedzi można usłyszeć coś ostrego, a nawet oberwać. Bo wiadomo, że Polonus kocha ojczyznę miłością wielką. Choć nie aż tak wielką, by głosować. Mit o 20-milionowej Polonii boleśnie zderza się z realiem dnia wyborów. Ilu wyborców teraz głosowało za granicą? 314 tys. W tym liczni Polacy na wycieczkach, pielgrzymkach i pracujący doraźnie. W Wielkiej Brytanii na 1 mln Polaków głosowało mniej niż 90 tys. W Niemczech na 900 tys. nie było ich nawet 50 tys. Przez cztery lata nie udało się Polonii wstać z kolan. Wstało tylko Chicago i poparło PiS.



PYTANIE TYGODNIA | Komu z rządu już dziękujemy?

MIROSLAWA DOŁĘGOWSKA-WYSOCKA,
„Gazeta Ubezpieczeniowa”

Od kiedy w rządzie nie ma Antoniego Macierewicza, moim głównym typem do odejścia w niepamięć jest minister Ziobro jako absolutny psuj polskiego prawa i systemu sądownictwa. Wiem jednak, że to z mojej strony chciejstwo, gdyż wyniki wyborów wskazują, że jego pozycja raczej się wzmocni. Ponadto chętnie zamieniłabym ministra Głińskiego na kogoś mniej psującego polską kulturę.

SEBASTIAN WIERZICKI,
SLD

W nowym rządzie na pewno nie chciałbym oglądać Zbigniewa Ziobry. To osoba odpowiedzialna za demontaż polskiego wymiaru sprawiedliwości. To on ręką w rękę z posłem Stanisławem Piotrowiczem – któremu na szczęście wyborcy pokazali czerwoną kartkę – dokonał zamachu na jeden z filarów demokracji, niezawisłe sądy. Całkowicie podporządkował sobie prokuraturę i ręcznie steruje śledztwami, koncentrując się oczywiście na tych, które dotyczą polityków opozycji. W rządzie nie powinno być również miejsca dla ministra edukacji narodowej Dariusza Pion-

kowskiego. Wydawać by się mogło, że gorszego ministra niż Anna Zalewska ten resort już mieć nie może. Tymczasem pan Pionkowski kontynuuje jej drogę deformacji edukacji i braku dialogu z samorządami, które musiały wziąć na siebie praktycznie cały ciężar wprowadzenia zmian. Wszystko to odbywa się kosztem dzieci i młodzieży, które o wolnych popołudniach mogą najczęściej zapomnieć, siedząc w szkole do późnych godzin wieczornych.

MONIKA HELAK,
Instytut Socjologii UW

Ogromną słabością tego rządu była edukacja. Uwidocznili się to na poziomie szkolnym – ministerstwo nie przedstawiło żadnego planu opanowania chaosu wywołanego reformą, konsekwentnie ignoruje coraz częstsze odejścia nauczycieli z zawodu, a na domiar złego jest porażające obojętne na kolejne przypadki zaburzeń psychicznych czy doświadczanie dyskryminacji przez uczniów. Dariusz Pionkowski nie wykorzystał szansy na choćby niewielkie korekty w polityce edukacyjnej po odejściu Anny Zalewskiej. Trudna sytuacja jest też na uczelniach. Wprawdzie Jarosławowi Gowinowi udało się prze-

brnąć przez strajki i dopchnąć kolaniem reformę, ale będzie ona miała długofalowo negatywne skutki dla szkolnictwa wyższego, zwłaszcza poza metropoliami. Studia staną się bardziej elitarne, a praca naukowa w coraz większej mierze polega na realizacji sztucznie narzuconych, biurokratycznych celów, a nie nauczaniu i odkrywaniu. Polska nauka pod rządami Gowina pracownicy nabłyszczą papierem, w którym będzie coraz mniej cukierka.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
MICHAŁ CZARNOWSKI



Wszystkim. Pisowcy różnią się między sobą tylko radykalizmem, stopniem szaleństwa oraz posłuszeństwem wobec naczelnika państwa.

ADAM JAŚKOW

To pytanie podchwytliwe. Sugeruje, że chcielibyśmy, by którykolwiek został. Ale gdybyśmy znali ich następców, to kto wie – może nawet bronilibyśmy obecnych ministrów.

PAWEŁ MAĆKOWSKI

Należy podziękować całej partii PiS. Niech Przepraszają i Spadają.

Not. Michał Sobczyk

Krajobraz przed bitwą

Prawdziwą opozycją jest nie jedna czy druga partia, ale realnie istniejące, silne społeczeństwo obywatelskie



Z Aleksandrem Kwaśniewskim rozmawiają Jerzy Domański i Robert Walenciak

Panie prezydencie, PiS znów wygrało. I niektórzy już wieszczą, że na dwóch kadencjach się nie skończy.

– Nigdy nie wierzyłem w rzesze tysiącletnie i nie uwierzę dzisiaj. To się skończy, tak czy inaczej. Zresztą oceniam, że ta druga kadencja będzie dla PiS dużo trudniejsza.

Dlaczego?

– Przede wszystkim ze względu na czynniki obiektywne. Jest spowolnienie gospodarcze, co musi skutkować niższym wzrostem w Polsce, a więc mniejszą ilością pieniędzy w budżecie i zagrożeniem dla programów socjalnych. Jest też napięcie inflacyjne, w Polsce to będzie skutkować naciskiem płacowym. I trzecia rzecz,

niedoceniana – mamy bardzo wąty rynek pracy. Uratowało nas 1,5 mln Ukraińców, załatali dziurę po 2 mln Polaków, którzy wyjechali na Zachód. **Ci z Zachodu nie wracają.**

– Nie wierzę w żaden masowy powrót. Natomiast może się zdarzyć tak, że Ukraińcy albo poszukają szansy na Zachodzie, albo zaczną wracać do siebie. A na tym rynku nawet ruch o 100 tys. ludzi będzie bolał. To będzie pierwszy poważny problem, z jakim PiS może się zderzyć. I w jakimś sensie może lepiej, że jego rząd musi się zderzyć, aniżeli miałby się zderzać inny. Bo jeżeli PiS będzie zmuszone do polityki odbierania, to zgodnie z powiedzeniem „kto daje i odbiera”, to oni będą się poniewierać w piekle, a nie ich możliwi następcy. Po drugie, Unia Europejska jest w takim momencie, że przed PiS stanie poważna decyzja: czy włączamy się do głównego nurtu integracyjnego w Unii, czy nie?

Myślę, że szczególnie po odejściu Angeli Merkel Francja przyspieszy te procesy. I padnie proste pytanie: wsiadacie do tego pociągu? Bo jeżeli nie, to godzicie się na Europę dwóch prędkości. A biorąc pod uwagę proeuropejskie nastroje w Polsce, taka marginalizacja zawsze będzie gorącym tematem.

Nie będzie komfortu pierwszej kadencji

Czy proeuropejskie nastroje w Polsce możemy traktować jako coś żelaznego? A jeżeli pisowska propaganda przerzuci niepowodzenia rządu na Unię?

– W sprawach europejskich poglądy Polaków może nie są żelazne, ale i tak dość trwałe. Owszem, pisowska propaganda trafia skutecznie do elektoratu. Ale czy w sprawach europejskich trafia do wszystkich? Myślę, że przynajmniej kilkanaście procent

wyborców, którzy oddali głos na PiS, odrzuci politykę jawnie antyeuropejską bądź próbę przetrwania wszystkich problemów na Unię. Kolejnym czynnikiem, który będzie wpływał na PiS, jest Kościół. I pojawia się pytanie, jak bardzo Kościół, który ma poczucie, że może wpływać na działania tej partii, i chce to robić, będzie ją dociskał. W kwestii zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej dociskał przez cztery lata i Kaczyńskiemu udało się z tego wymanewrować. Ale jeżeli w kolejnych czterech latach się wmanewruje, to też będzie zasadnicze zagrożenie dla jego elektoratu.

Takie czasy. Polityka polega na szukaniu wroga.

Pojawia się nowy czynnik. Do Sejmu weszła Konfederacja.

– PiS po raz pierwszy będzie miało coś na prawo od siebie i zniechęcony nim wyborca nie będzie musiał iść w stronę czegoś dla niego nie do zaakceptowania, do centrum i lewicy, bo będzie miał ofertę po prawej stronie. To trochę taki kazus Jobbiku i Orbána na Węgrzech.

Kolejny powód tego, że ta rzesza nie będzie tysiącletnia, to zużycie władzy. Ekipa, która będzie rządziła kolejne lata, stanie się coraz bardziej podatna na różnego rodzaju pokusy, coraz bardziej będzie wychodziła na jaw jej niekompetencja. Będą wychodziły układy, nepotyzm. Druga kadencja, niestety, jest pełna tego typu wydarzeń. Kaczyński nie będzie miał komfortu pierwszej kadencji. Bez większości w Senacie, z mocniejszymi Gowinem i Ziobrą. No i – *last but not least* – nikt nie będzie już młodszy, zdrowszy, energiczniejszy. Prezes również.

W poszukiwaniu pieniędzy

A kto może być typowany na wroga? Po sędziach, nauczycielach, uchodźcach?

– Myślę, że utrzymają się tradycyjni wrogowie, czyli postkomunizm, Zachód, LGBT, imigranci, których nie mamy. Do tego dojdzie jeszcze to, co PR-owcy wymyślą. Mogę wyobrazić sobie sytuację, że kiedy będzie rosnąć zagrożenie ze strony Konfederacji, zostanie jej przypięta łątka ukrytej opcji rosyjskiej. Ale nie chcę im podpowiadać, bo oni są odczytani w „Krótkim

kursie historii WKP(b)”, są w tym naprawdę zdolni, więc wróg będzie.

Bo nie można inaczej?

– To jest to, co niestety zdominowało politykę początku XXI w. O ile ja jeszcze należałem szczęśliwie do tej polityki, w której chodziło nam o jakieś wielkie cele, i jak się proponowało w wyborach wielki cel, to ludzie za tym szli, o tyle na początku XXI w. spin doktorzy wymyślili co innego. Że trudno mieć te wielkie cele, więc organizowanie emocji odbywa się poprzez wskazywanie wroga i polaryzację. W Izraelu Netanjahu robi to od wielu lat. Trump znalazł wroga

w postaci Meksykanów, imigrantów, globalizacji, a teraz Chińczyków. Brexitowcy znaleźli wroga w Unii Europejskiej, podobnie jak pani Le Pen. Takie czasy. Polityka polega na szukaniu wroga.

A hasło państwa dobrobytu i dogonienia Unii Europejskiej?

– To jest dobre hasło, które wyrosło z 30 lat polskiego sukcesu ekonomicznego. Ale jeżeli dojdzie do spowolnienia gospodarczego, jeżeli okaże się, że na mniej nas stać, mówienie, że kogoś doganiamy, będzie mało wiarygodne. A jak zacznie brakować pieniędzy, to zacznie się ich szukanie. Bogatym zabiorą 500+, w sprawie 14. emerytury zapadnie cisza, pójdą w górę podatki... PiS trafiło, po raz drugi w swojej historii,

Pisowcom należy patrzeć na ręce. Wiemy, jacy są, wiemy, do czego są zdolni.

na wyjątkowo korzystną koniunkturę gospodarczą. Zarzut stawiany dzisiaj PiS nie powinien więc być taki, że daje ono pieniądze potrzebującym, bo słusznie daje. Zarzut wobec tego rozdawnictwa powinien być innego typu – że daje te pieniądze na sprawy do załatwienia tu i teraz, a szczególnie na wygrywanie wyborów, natomiast całkowicie zaniedbuje elementy, które zadecydują o przyszłości Polaków. Ktoś ładnie to powiedział, że PiS gra rolę odwróconego Świętego Mikołaja. Normalnie Mikołaj wręcza prezenty dzieciom, ale to rodzice za nie płacą. Tymczasem teraz Mikołaj rozdaje rodzicom prezenty, za

które zapłacą dzieci. O czym jeszcze nie wiemy. I to powinno być główną osią walki programowej z PiS.

Platforma: wciąż w traumie

Czy opozycja tę walkę podjęła? Bo sprawia wrażenie bardzo słabej.

– Zaczniemy od tego, że prawdziwą opozycją, jak pokazały kolejne wybory, jest nie jedna czy druga partia, ale realnie istniejące, silne społeczeństwo obywatelskie. I na tym polega różnica między nami a Węgrami.

Bo u nas społeczeństwo w większości jest przeciw partii rządzącej, a partie opozycyjne nie czują się moralnie gorsze od PiS.

– A tak, za sprawą D'Hondta, PiS ma większość w parlamencie. Ale wynik opozycji pokazuje, że jest ona w stanie zagospodarować 50% elektoratu, i to przy – co niezwykle ważne – rosnącej frekwencji. To też istotne, że opozycja może liczyć na dopływ nowych ludzi.

W wyborach do Sejmu Platforma, Lewica i PSL zdobyły prawie milion wyborców więcej niż PiS.

– I to także nas różni od Węgier, do których często jesteśmy porównywani. Co jest dzisiaj problemem opozycji w Polsce? Największy kłopot z tą główną partią, która ciągle ma największe poparcie społeczne. PO wciąż nie wyszła z traumy po 2015 r. Nie wyszła z traumy w sensie programowym, personalnym, przebojowości, komunikacji z wyborcami, profesjonalizmu działania.

Tam wszystko jest w stanie smutny. I wyjścia są takie – albo znajdą wreszcie przywódcę, kogoś, kto postawi ich na nogi, przewartościują się w środku, tak że będą nie partią traumy po minionym okresie sławy i chwały, tylko partią przyszłości, albo zrealizuje się drugi scenariusz – że PO dożywa kresu swoich dni.

A wtedy?

– Ponieważ Platforma nie będzie w stanie takiego przekształcenia dokonać, jej elektorat będzie przepływał. Trochę w stronę centrum, które chce tworzyć Kosiniak-Kamysz, trochę w stronę lewicy, jeśli pójdzie ona nieco w stronę liberalną, powstanie też

► pewnie coś nowego. To wszystko będzie się działo, to się okaże. Dlatego nie podjąłbym narracji, że opozycji nie ma, że sznur i drzewo i tylko taka perspektywa. Bo tak nie jest. Patrząc już jako człowiek wiekowy, z dużym doświadczeniem życiowym, politycznym, mogę również dodać, że osiem lat to w demokracji nie jest straszny wyrok. Laburzyści w Wielkiej Brytanii czekali na władzę 17 lat. W Niemczech czekają kolejne 15-16 lat.

PiS: na twardo czy na miękko?

Jest dużo opinii, że Jarosław Kaczyński po wygraniu tych wyborów pozeğluje w kierunku autorytaryzmu. Ostatecznie podporządkuje sobie sądy, spacyfikuje niezależne media. Będzie rządził jak Orbán na Węgrzech. Czy to w Polsce możliwe?

– Na pewno trudniejsze niż na Węgrzech. Ale polityka pokazała, że możliwe jest wiele rzeczy, które wcześniej nam się w głowie nie mieściły. W związku z tym takich ostrzeżeń

nie ma znaczenia, robimy dalej to, co trzeba zrobić. Bo brakuje nam kilku elementów, żeby dokończyć dzieło – budowa ciągu technologicznego w sądach, repolonizacja mediów...

To PiS boli.

– Tam wierzą, że trzeba doprowadzić do tego, żeby naród zrozumiał, jakie PiS jest dobre. A dlaczego nie rozumie? Bo media robią ludziom wodę z mózgu. A większość tych mediów jest na obcym żołdzie. Dlatego tu mogą być różne pomysły – i ustawy repolonizacyjnej, i samorządu dziennikarskiego, który będzie zabierał uprawnienia dziennikarskie i je nadawał. Możliwe są dziesiątki pomysłów, które mogą nas prowadzić w kierunku miękkiego autorytaryzmu. Będą one wykorzystywać czynnik, który w każdym społeczeństwie istnieje i jest silny – oportunizm. Ludziom w pewnym momencie się mówi: chcecie walczyć z władzą? To będziecie mieli kłopoty. Nie lepiej być cicho? Przecież nie żądamy, żebyście wstąpili do partii, żądamy

– Będzie, tym bardziej że na razie cała jego koncepcja polityki, którą realizuje, zakłada polaryzację. Koncepcja polaryzacji ma jednak to do siebie, że zmiany są zero-jedynkowe. To znaczy, że nie ma sytuacji remisowych. I my jesteśmy blisko takiego momentu. Bo jest linia demarkacyjna, są wrogowie, a z wrogami nie ma co gadać. Jak wygrywa druga strona, to ze wszystkimi tego konsekwencjami, Trybunałem Stanu itd. To cena, którą się płaci za tego typu polaryzację – nie ma miękkich rozwiązań.

Duda: nie popełnia błędu Komorowskiego

Jeżeli więc jest tak mocna polaryzacja i anty-PiS ma przewagę, to za kilka miesięcy, w wyborach prezydenckich, sytuacja Andrzeja Dudy może być niewesoła.

– Po tych wyborach Andrzej Duda ma, jak sądzę, mieszane uczucia. Z jednej strony, ten wynik jest dla niego najlepszy – dlatego że nie ma już żadnej wątpliwości, że PiS musi postawić na niego. Nie ma innego kandydata, nie ma czasu na eksperymenty. Jeżeli zatem się obawiał, że aparat pisowski miał inne pomysły, myślał o kandydaturze prezesa itp., to tych pomysłów już nie ma. To jest ten plus. A minus – że jeżeli podział na PiS i anty-PiS jest twardy i po tamtej stronie jest jeszcze milion więcej, to wybory takie jak prezydenckie, z drugą turą, stają się bardzo poważnym wyzwaniem. Z drugiej strony, można powiedzieć, że Duda prezydenturę ma taką, jaką ma, ale jednego nie zaniedbał – sprawy reelekcji.

Jak to zrobić?

– Spójrzmy na mapę jego wyjazdów. Odwiedził bardzo dużo parafii, powiatów, miejscowości, rozmawiał ze środowiskami, które tworzą jego bazę wyborczą. Jest dzisiaj przygotowany. Nie popełnił błędu Bronisława Komorowskiego.

A jak w wyborach prezydenckich zachowa się opozycja?

– Rozumiem, że każde ugrupowanie musi wystawić swojego kandydata w pierwszej turze, bo to kwestia tożsamościowa i po takim wyniku wyborczym nie mogą tego impetu zgubić. I lewica, i Kosiniak-Kamysz... Jest też pytanie o Platformę Obywatelską. Jeżeli PO zgodnie ze swoim

Lewica powinna stworzyć wspólny klub i zacząć myśleć o formule, która spoi te wszystkie byty.

lekceważyć nie wolno. Moja ocena jest taka: że Kaczyński wygra, było jasne, to nie jest żadna sensacja. Problemem była skala tego zwycięstwa. I patrząc podczas wieczoru wyborczego na twarz Kaczyńskiego, widziałem, że ta skala go nie satysfakcjonuje. Oczekiwania były dużo wyższe. Może nie w granicach większości konstytucyjnej, ale zakładano mocny wynik, w granicach 50% głosów. A jeśli partia rządząca ma taki wynik jak teraz, możliwe są dwie drogi. Pierwsza jest taka: aha, mamy jednak szklany sufit nad sobą, w związku z czym musimy się przesunąć nieco w stronę środka. Czyli musimy złagodzić retorykę, zrobić parę gestów, wyjść naprzeciw z jednym czy drugim programem, który będzie robiony wspólnie z opozycją itd.

Czyli linia porozumienia.

– Gestu. Bardziej gestu niż jakichś poważniejszych zmian programowych. I jest druga droga, która na pewno będzie poważnie analizowana w dyskusjach wewnątrzpisowskich. Jej założenia są takie: wygraliśmy, mamy mandat do rządzenia; czy mamy przewagę jednego głosu, czy 20,

tylko, żebyście, jak przyjdzie co do czego, właściwie zagłosowali. Sądzę, że wewnątrz PiS w ciągu najbliższych tygodni ten spór będzie trwał. Choć oczywiście będzie ukrywany.

Kłopot z Konfederacją

Czy PiS ma szansę przesunąć się do środka w sytuacji obecności Konfederacji?

– To czynnik, który może być dla nich problemem. Urodziło się im coś, co może ich atakować z pozycji hurranarodowych, hurrakatolickich. Z drugiej strony jeżeli skupią się tylko na przejmowaniu elektoratu Konfederacji, mogą się znaleźć w takiej sytuacji, że z tego elektoratu wezmą 3%, ale ze środka, który częściowo mają, stracą 7-8%.

Prof. Jacek Raciborski twierdzi, że głównym motywem zachowań politycznych Polaków jest podział na PiS i anty-PiS. To twardy podział, kampania wyborcza pewnie go wzmocniła. A strona anty-PiS jest prawie o milion większa niż PiS. Czy to będzie wiązało ręce Kaczyńskiemu?



zwyczajem będzie się kokosić i czekać, że może Tusk coś powie, i tak dojdziemy do grudnia, a później będzie Boże Narodzenie, a później Nowy Rok, to oczywiście powtórzy się błąd Komorowskiego. Natomiast jeżeli oni w ciągu kilku tygodni pokażą, że mają kandydata, czy raczej kandydatkę, bo jak widzę, wszystko zaczyna się kręcić wokół niej...

...wokół Małgorzaty Kidawy-Błońskiej...

– Która jest mniej polityczna, a bardziej spajająca społeczeństwo, może to być bardzo dobrym pomysłem. Wszystko w Platformie jest w rękach liderów.

Lewica: przyszli nowi wyborcy

A na lewicy?

– Lewica zaczynała start do tej kampanii w sytuacji więcej niż trudnej, bo Schetyna wystawił SLD z koalicji. Przeciagał zresztą tę decyzję, co traktowałem jako działanie celowe, żeby maksymalnie skrócić partiom lewicowym czas na dogadanie się. Bo jeżeliby poszły osobno, pewnie zadziałałby czynnik: nie marnujemy głosu, przerzucmy go na PO! Ale okazało się, że te trzy ugrupowania były w stanie się zebrać, dogadać. **I uzyskali raptem 1,5% więcej niż cztery lata temu.**

– Przy wyższej frekwencji. Co oznacza rzecz dla SLD do tej pory całkowicie nieosiągalną – przyszli nowi wyborcy! To kilkaset tysięcy nowych głosów.

Przyszli młodzi. Oni już nie traktują lewicy jako starego SLD, tylko jako nowoczesną propozycję.

– I to jest sukces większy, niż gdyby było 13,5% albo 14%. Do Sejmu dostało się naprawdę sporo ciekawych ludzi. To będzie mocna ekipa.

A jeśli od razu się podzielą? Na trzy grupy?

– Ta próba się zaczyna – czy zwycięży tam myślenie w kategoriach przyszłości, czy myślenie egoistyczne. A powinni stworzyć wspólny klub i zacząć myśleć o nowej formule organizacyjnej, która spoi te wszystkie byty, no i myśleć w kategoriach programowych, o przyszłości za cztery lata.

Jeżeli chodzi o sprawy programowe, to chyba są w tym mocni.

– Mają filary programowe. Za czym jesteśmy – za rozdziałem Kościoła od państwa, za tolerancją, za prawami mniejszości, chcemy dokończenia emancypacji kobiet. Ten pakiet światopoglądowy jest w ich wykonaniu najczytelniejszy. I tego trzeba bronić. Być w kontrze do prawicowców. Drugi filar to przedstawienie konceptu socjaldemokratycznego, jeśli chodzi o ludzi pracy w XXI w. Gdy zmienia się struktura zatrudnienia, zmieniają się technologie, a ludzie za chwilę w wyniku różnych nowych pomysłów będą mieli kłopoty z pracą. I trzecia rzecz – należy postawić na przyszłość. Oni ze względu na wiek powinni o tym dużo mówić. A przyszłość w wydaniu lewicy to edukacja, zdrowie – od małego do śmierci – ochrona środo-

wiska i Unia Europejska. Programowo jest to do rozegrania. Zwłaszcza że fajnie się ich słucha, to bardzo ciekawi ludzie. Zandberg ma wszystkie papiery, żeby być w Sejmie jedną z najważniejszych postaci.

Nie ma już duopolu

Wybory 2019 przesądziły o jeszcze jednym – przekreśliły marzenia o systemie dwupartyjnym, walce PiS i Platformy.

– Pierwszym, który mówił o systemie dwupartyjnym, był Jan Rokita. Polemizowałem z nim, bo moim zdaniem Polska jest dużo bardziej spluralizowana, żeby całe życie polityczne mieściło się w dwóch blokach. Natomiast politycznie uważam, że to był wielki błąd, który popełnił Tusk, który popełniła PO, że oni weszli w tę grę z Kaczyńskim. Ponieważ rezultat duopolu jest jeden – podzieli się pogłębiają. I w gruncie rzeczy jest tak, że jedni rządzą, a drudzy ich nienawidzą. Nienawiść jest głównym motorem relacji społecznych, a nie jakimkolwiek współpraca. To fatalne. Dlatego wejście do Sejmu różnych ugrupowań jest dla demokracji zbawienne.

Czy mamy się bać po tych wyborach? PiS wzięło władzę. Niektórzy publicyści wieszczą straszne rzeczy.

– Bać się czy nie bać... To jest demokracja. Trzeba przyjąć werdykt demokratyczny i go uszanować. Prawie połowa Polaków chce mieć taką władzę i będzie ją miała. Z drugiej strony strach jest potrzebny. Bo strach nas chroni przed różnymi błędami. A pisowcom należy patrzeć na ręce. Wiemy, jacy są, wiemy, do czego są zdolni. Wiemy, że prowadzą propagandę na niespotykaną skalę, a umiejętność mówienia, że białe jest czarne, a czarne jest białe, żeby wspomnieć prezesa, jest tam opanowana w najwyższym stopniu. Dlatego trzeba patrzeć im na ręce i to wymaga codziennej aktywności i odwagi. Najgorsze byłoby, gdybyśmy przyjęli, że werdykt wyborczy, zamiast prowadzić nas do wzmacniania społeczeństwa obywatelskiego, prowadzi nas do budowania społeczeństwa oportunistów. Ale komu ja to mówię, przecież PRZEGLĄD to pismo ludzi myślących i chodzących pod prąd!

*Jerzy Domański
i Robert Walenciak*

Jak Zandberg pokonał Kaczyńskiego

W wyborach do Sejmu i Senatu największa frekwencja była w warszawskiej gminie Wilanów



Ewa Smolińska-Borecka

Mobilizacja. O to apelowały wszystkie partie i koalicje. Zagłosowało 18,47 mln Polaków. Duże miasta zmobilizowały się bardziej niż gminy wiejskie. Najwyższa frekwencja była w Warszawie – do urn poszło 77,07% uprawnionych. Najmniej mieszkańców zagłosowało w gminie Zębówice, położonej na północny wschód od Opola – jedynie 34,96%, czyli 1023 osoby. Gminą o najwyższej frekwencji był warszawski Wilanów – 85,24%. Miasteczko Wilanów, przez złośliwych nazywane Lemingowem, dało popis obywatelskiej postawy. Od rana do ostatnich chwil głosowania rodzinne korowody sunęły w kierunku siedzib komisji wyborczych. W dwóch komisjach padł rekord niespotykany w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, a może nigdy. Tam frekwencja przekroczyła 90%. Zwycięska komisja, w której osiągnięto wynik 90,91%, w której stała się tuż obok Świątyni Opatrzności Bożej, w Instytucie Jana Pawła II. Można by więc powiedzieć, że Panu Bogu ta frekwencja się podobała.

Byłam członkiem jednej z komisji wyborczych w Miasteczku Wila-

nów i u mnie frekwencja wyniosła 86,77%. Też nieźle.

Znów z długopisem i świeczką

Rok temu, w październikowych wyborach samorządowych, debutowałam jako członek komisji obwodowej. Wtedy zgłosiłam się na nocną zmianę, czyli do tej komisji, która liczyła głosy. Reprezentowałam Komitet Wyborczy Unii Europejskich Demokratów. Wówczas, po prawie 19-godzinnej dyżurze, który miał być nocny, a był nocno-poranno-późnopopołudniowy, stwierdziłam, że nie mam ochoty na powtarzanie tej przygody.

Przed wyborami do Sejmu i Senatu dowiaduję się, że wśród znajomych są osoby, które i tym razem pójdą na wybory z własnym długopisem i ze świecą do pokrywania kwadracików przy nazwiskach kandydatów z innych opcji, by nie można było w nich postawić dodatkowego krzyżyka. Postanawiam ponownie uczestniczyć w komisji wyborczej. Czasu jest niewiele, zbliża się 13 września, czyli termin zgłaszania przez komitety wyborcze swoich kandydatów do komisji obwodowych. Jako fanka Unii Europejskich

Demokratów właśnie w tej partii postanawiam po raz kolejny zgłosić akces do obwodowej komisji wyborczej. Tym razem jednak Unia nie ma własnego komitetu wyborczego, mam więc reprezentować w komisji wyborczej PSL.

Ta pani jest czepialska

W sobotę, w przeddzień wyborów, trzeba sprawdzić, czy sala jest przygotowana, i przeliczyć karty do głosowania. Jest siedem osób z komisji. Wystarczająca liczba. Stoimy przed zaplombowaną salą. Zjawiają się cztery osoby z Urzędu Dzielnicy Wilanów. Zdejmują plombę przyklepioną na drzwiach, przekazują komisji salę i karty do głosowania. Dostajemy nawet herbatę ekspresową i kawę rozpuszczalną. To wprawdzie nie to samo co obiad w czasach PRL, ale zawsze miły gest.

Znów, jak w wyborach samorządowych i europejskich, na stołach nieduże parawany mające zapewnić tajność wyborów. Tylko cztery, co wydaje mi się liczbą zbyt małą, bo pamiętam, jak w czasie wyborów samorządowych tworzyły się długie kolejki. A przecież teraz frekwencja może być większa. Pytam o moż-

liwość stworzenia dodatkowego stanowiska. Nie ma. Wychodzę na czepialską, bo wszystkie pozostałe osoby, zarówno z urzędu, jak i z komisji, są przekonane, że cztery stanowiska wystarczą, by mogło zagłosować 1769 osób uprawnionych w tym obwodzie, plus jakaś niewiadoma liczba ludzi z zaświadczeniami.

Dwukrotnie liczymy karty do głosowania. Dopiero w dniu wyborów zostaną one opatrzone pieczęcią naszej komisji wyborczej. Rozwieszamy obwieszczenia i informacje. Znowu wychodzę na czepialską, bo nie podoba mi się, że urna z przezroczystego pleksi jest porysowana i nie wygląda tak dostojnie, jak – moim zdaniem – powinna. Ale na to nic się nie poradzi. Wiceprzewodnicząca komisji uspokaja mnie, że na pewno żaden wyborca na te drobne niedociągnięcia nie zwróci uwagi. Może.

Widziałam już wszystkie osoby z komisji, a nadal nie mam pojęcia, kto jaki komitet reprezentuje. W internecie odnajduję informację o składzie komisji. Miało być osiem osób, ale jest dziewięć – zapewne dlatego, że wzrosła liczba uprawnionych do głosowania. Cztery panie zostały dokooptowane przez okręgowego komisarza wyborczego, więc zupełnie nic nie wiadomo na temat ich przekonań politycznych. Może nie ma to znaczenia, ale przecież nie bez powodu poszczególne komitety wyborcze chcą mieć w składzie komisji swoich ludzi. Pozostałe osoby to czterech panów zgłoszonych przez KW PiS, KW Skuteczni Piotra Liroya-Marca, KWW Koalicja Obywatelska PO .N IPL Zieloni i KW Związku Słowiańskiego oraz ja, zgłoszona przez KW PSL.

Gdzie jest mój kandydat?

W sobotę nie mogę zasnąć. Denerwuję się jak przed ważnym spotkaniem. W niedzielę wychodzę z domu bez śniadania, bo gardło mam ściśnięte. Przemierzam śpiące Miasteczko Wilanów. Na pierwszy dyżur o godz. 6 zjawia się siedem osób. Trzeba ostemplować wszystkie karty, których jest 3440, a pieczęć jedna. Po otwarciu lokalu stemplowanie będzie kontynuowane w oddzielnym pomieszczeniu komisji.

Zjawia się dwóch policjantów w mundurach. Pytają, czy

wszystko w porządku. Po chwili kolejny policjant z psem – podobno wyszkolonym do szukania materiałów wybuchowych. Potem jeszcze dwoje funkcjonariuszy po cywilnemu. Ci, którzy mają już doświadczenie w komisjach wyborczych, mówią, że po raz pierwszy opieka ze strony policji jest tak duża. Ciekawe dlaczego.

Jest godz. 7.00. Przewodniczący otwiera drzwi i za chwilę wchodzi pierwszy głosujący. Ubolewa, że jako pierwszy nie dostał kwiatów. Z kartami oddala się do stolika, chowa za parawanem, ale za chwilę się wyłania. – Na tej liście do Senatu nie ma kandydata, na którego chciałem zagłosować – mówi zdenerwowany. Tłumaczę, że w Warszawie są cztery okręgi wyborcze i zapewne ten jego kandydat jest w innym okręgu. Wydaje się strapiiony.

Pytam przewodniczącego, jak mamy reagować na psy wprowadzane do lokalu wyborczego. Okazuje się, że wytyczne nic na ten temat nie mówią.

Jako drugi pojawia się pan poruszający się przy balkoniku. Powoli sunie do stołu komisji. Z daleka mówię mu dzień dobry, żeby czuł, że uwaga komisji jest na nim skupiona i że jest dla nas ważny. Uważam takie przywitania za istotne, bo sama się wkurzam, kiedy wchodzi do lokalu wyborczego, a nikt na mnie nie zwraca uwagi. Dlatego staram się każdego nowo przybyłego witać głośnym dzień dobry, a żegnać: „Dziękujemy, do widzenia”.

Zjawiają się trzy osoby z Lublina z zaświadczeniami o prawie do głosowania poza miejscem zamieszkania. I na tym na razie koniec. Pierwsza msza w Świątyni Opatrzności Bożej, która zaczyna się o godz. 8, już się skończyła, ale w lokalu wyborczym nie ma z tego powodu wzmożonego ruchu. Liczba wydanych kart do głosowania rośnie powoli. Zjawia się kobieta z pieskiem. Niedużym, trzymanym na rękach. Potem mężczyzna z niemowlęciem w wózku. Potem para, kolejna para. Potem mężczyzna i kobieta z małym dzieckiem. Tata bierze syna na ręce, bo dziecko jest niższe od urny, i pomaga mu wrzucić wypełnione karty. Mama komórką robi zdjęcia. Tak zachowuje się wiele osób.

Psia pora. Duże psy właściciele przywiązują przed lokalem, małe – wprowadzają lub wnoszą do środka. Jamnik, chihuahua, kundelek, york, mały owczarek... Pytam przewodniczącego, jak mamy reagować na psy wprowadzane do lokalu wyborczego. Okazuje się, że wytyczne nic na ten temat nie mówią.

Od czasu do czasu pojawia się ktoś z zaświadczeniem uprawniającym do głosowania poza miejscem zamieszkania. W sumie takich osób było 42. Zdarza się, że ktoś pomyli komisję wyborczą i trzeba mu pomóc znaleźć właściwą. Niekiedy przychodzą wyborcy, którzy głosują po długiej przerwie. Elegancka starsza pani mówi, że przez 40 lat była za granicą, nie głosowała i nie wie, jak to się robi. Trzeba jej wytłumaczyć. Powoli zbliża się starszy mężczyzna podpierający się laską.

Zatrzymuje się, patrzy trochę bezradnie. Podchodzę do niego. On też, podobnie jak elegancka pani, mówi, że kilkadziesiąt lat nie głosował i jest trochę zdenerwowany. Na dodatek nie może sobie przypomnieć adresu, a w nowych dowodach osobistych go nie ma. Jest załamany. Mówi, że mieszka przy głównej ulicy. Kiedy słyszy nazwę, przytakuje. Po chwili przypomina sobie numer domu, a potem mieszkania. Jest na liście wyborców. Dostaje karty. Jeszcze tylko muszę mu wytłumaczyć zasady głosowania. A potem, na jego prośbę, wrzucić karty do urny.

Kilku członków komisji wyborczej uczestniczy w tym zadaniu po raz pierwszy. Dlatego na trzech z czterech stanowisk są po dwie osoby: jedna odpowiedzialna za listę wyborców, druga za wydawanie kart do głosowania. Kiedy nie ma wyborców, rozmawiamy. Po nazwisku na identyfikatorze zdążyłam się zorientować, że mój towarzysz został zgłoszony do komisji przez PiS. Ale nie rozmawiamy o polityce. Mężczyzna zgłoszony przez Koalicję Obywatelską jest bardziej skory do politycznych refleksji. Mówi o jakichś badaniach, z których wynika, że 6 mln Polaków uważa, że 500+

► jest płacone z kasy PiS. Trudno mi w to uwierzyć.

Dzień dobry, panie prezydencie

O godz. 11 kończę pierwszą część dyżuru. Idę na śniadanie. Potem dowiaduję się, że ominęła mnie największa atrakcja tego dnia. Najpierw w sali pojawili się fotoreporterzy i ekipy telewizyjne, a godzinę później przyszedł na głosowanie prezydent Aleksander Kwaśniewski z żoną. Nawet nie wiedziałam, że mieszka w tym rejonie. Na pożegnanie prezydent podał rękę mojemu koledze. Mogłam być na jego miejscu.

16.00. Zaczyna się mój kolejny pięciogodzinny dyżur przy wydawaniu kart do głosowania. Zjawia się dużo

sali. 12 minut do końca. Zjawia się dziewczyna, podaje adres i dowiadyuje się, że jej komisja wyborcza jest jakieś 200 m dalej. Wypada z sali. Zastanawiamy się, czy zdąży. Cztery minuty przed końcem mąż zaufania podchodzi do nas z pretensją, że jeszcze nie zamykamy sali. A przecież są jeszcze cztery minuty. Może ktoś dobiegnie? Przewodniczący zamyka drzwi. Koniec głosowania.

Nietęgę miny

Liczenie. Najpierw kart, które zostały. Robimy to kilka razy. Teraz najważniejszy moment. Przewodniczący zdejmuję plomby z urny. Odkręcamy śruby przytrzymujące wieko. Można przewrócić urnę na bok.

kiedy na karcie widzą krzyżyk przy jego nazwisku, wydają okrzyki zdziwienia. Zaczyna się liczenie głosów. Najwięcej w tym obwodzie otrzymuje Małgorzata Kidawa-Błońska – 598 głosów. Chociaż oddzielny stosik został stworzony dla Jarosława Kaczyńskiego, to nie lider PiS zajmuje drugie miejsce, ale Adrian Zandberg – 147 głosów, a Kaczyński dopiero na trzecim miejscu – 114 głosów. W sumie w tym obwodzie Koalicja Obywatelska zdobywa 916 głosów na 1538 wydanych kart, czyli 60%. W wyborach do Senatu również triumfuje Koalicja Obywatelska – na Barbarę Borys-Damięcką oddano 1003 głosy. Monika Jaruzelska otrzymała 270 głosów i pokonała kandydata PiS Lecha Jaworskiego (233).

Mąż zaufania PiS powątpiewa w wynik Koalicji Obywatelskiej. Każe sobie pokazać wszystkie karty, na których krzyżyk pojawił się przy nazwisku Kidawy-Błońskiej.

rodzin z małymi dziećmi. Wszyscy uśmiechnięci, żartują, fotografują dzieci wrzucające karty, filmują ten moment. Młody mężczyzna prowadzi pod rękę siwą kobietę, idącą z trudnością, obok kroczy starszy pan. Domyślam się, że to wnuczek z dziadkami. Kiedyś przed wyborami żartowano, żeby zabrać babci dowód, teraz wnuki – bo było takich przypadków więcej – zadbały o to, by dziadkowie wzięli udział w głosowaniu. Frekwencja jest bardzo wysoka. Zliczamy podpisy na listach. Zagłosowało ponad 80%!

Na krzeselku w sali siedzi tajemniczy mężczyzna. Najpierw myślę, że to niezdecydowany wyborca. Okazuje się, że nie – to mąż zaufania przysłany przez PiS.

Zbliża się godz. 21. Ostatni wyborcy nieco zdenerwowani wpadają do

Posegregowanie kart z kandydatami do Senatu to sprawa prosta: trzech kandydatów, trzy stosy. Ale z kartami do Sejmu nie będzie już tak łatwo. Pięć komitetów wyborczych, na liście każdego z nich 40 kandydatów. Razem 200 osób. Mężczyzna z Koalicji Obywatelskiej proponuje, żeby na razie rozkładać karty na siedem stosów: po jednym dla każdego komitetu wyborczego oraz dodatkowe dla Jarosława Kaczyńskiego i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, bo oni zapewne będą mieli najwięcej głosów. Mąż zaufania nie wiadomo dlaczego jest niezadowolony. Atmosfera gęstnieje, choć każdy członek komisji wie, że mąż zaufania ma swoje prawa i nie wolno mu utrudniać obserwacji.

Wszyscy biorą udział w segregowaniu kart. Każdy wyciąga z urny po kilka, delikatnie, żeby żadnej nie zniszczyć. Ta metoda się nie sprawdza. Wiceprzewodnicząca siada na podłodze i zajmuje się wyciąganiem kart, a przewodniczący i mężczyzna od Liroya prostują te, które wyborcy poskładali. Reszta rozkłada je na właściwe stosy. Najszybciej rośnie stos z kartami, na których zagłosowano na Małgorzatę Kidawę-Błońską. Mąż zaufania, który też to zauważył, ma kwaśną minę.

Zaskoczeniem jest dużo kart z parciem dla Adriana Zandberga, czego chyba nikt w tej komisji się nie spodziewał, bo za każdym razem,

Mąż zaufania powątpiewa w tak dobry wynik Koalicji Obywatelskiej. Każe sobie pokazać wszystkie karty, na których krzyżyk pojawił się przy nazwisku Kidawy-Błońskiej. Sam nie może tego sprawdzić, bo nie wolno mu dotykać kart do głosowania. Potem zaś każe wyrwykowo pokazać karty z głosem na innych kandydatów Koalicji Obywatelskiej. Nie wnosi zastrzeżeń. Pozostaje spakowanie kart w paczki i zaklejenie taśmą. Przewodniczący komisji i wiceprzewodnicząca, która jest jednocześnie operatorem wprowadzającym protokoły do systemu, zajmują się wprowadzaniem danych, a mąż zaufania przygląda się tej czynności.

Protokoły zostały przyjęte przez system. Przez ponad godzinę podpisujemy wszystkie strony wszystkich egzemplarzy protokołów. Paczki z kartami do głosowania i listami wyborczymi lądują w workach, które plombujemy. Mężczyźni zarzucają worki na plecy i takim oto korowodem maszerujemy do budynku Urzędu Dzielnicy Wilanów. Jesteśmy ósmą z kolei komisją z 20 wilanowskich, która zakończyła pracę. Dochodzi godz. 4. Za chwilę rozjedziemy się do domów. Tylko jedna osoba z komisji ma powód do radości. Pozostali mają nietęgę minę. Bo wynik wyborów w kraju nie przypomina tego w Wilanowie.

Ewa Smolińska-Borecka



Z Galicji



Jan Widacki

PiS ma większość mandatów, opozycja ma większość głosów. Powoływanie się przez PiS na wolę suwerena będzie więcej niż wątpliwe. Mogą się powoływać na przelicznik D'Hondta. Zwycięstwo jest wynikiem nie woli suwerena, ale metody wyliczeń belgijskiego matematyka Victora D'Hondta. Jak tu uzasadniać decyzje poparciem należącego do elity (w dodatku belgijskiej) matematyka? Ale PiS da radę. Opozycja znów bezradna. Obluda i przewrotność PiS bezkarna. Ideały chrześcijańskiej rodziny realizowane przez rodzinę Kaczyńskich, w szczególności przez wielodzietnego prezesa i Martę Kaczyńską, katolicką matkę i żonę, tudzież przygody ks. Tymoteuszka, niech będą przykładem. Abp Jędraszewski, wywodzący LGBT z pogaństwa, też jest oryginalny. Z jego filozofii wynika, że heteroseksualnych stworzył Pan Bóg, a homoseksualnych Swarożyc lub Światowid. Mam nadzieję, że te poglądy będą przedmiotem rozważań Kongregacji Nauki Wiary. Jestem bardzo ciekaw wyników rozważań Najwyższego Trybunału Apostolskiego. Uzna herezję krakowskiego

No, kto to powiedział? Czy słowa te padły z trybuny Sejmu Rzeczypospolitej? A może na jakiejś konwencji partyjnej? A może w wywiadzie któregoś z polityków polskiej prawicy? Nie. Padły słowa podobne, ale nie dokładnie te. Te akurat wygłosił Anders Breivik przed norweskim sądem. Czy obok odbywającego karę w południowoafrykańskim więzieniu Janusza Walusia mógłby być patronem polskiej prawicy? Sądzę, że ze względu na pokrewieństwo poglądów mógłby.

Może należałoby to uświadomić polskim studentom tak obocho oddającym w ostatnich wyborach głos na Konfederację, a może także wyborcom PiS?

Opozycja, używając logiki Lecha Wałęsy, wygrała, bo przegrała. Raz, że więcej biorących udział w wyborach oddało głosy na partię opozycyjne niż na PiS, dwa, że PiS będzie musiało teraz rządzić w czasach trudnych, być może przyjdzie mu się zmierzyć z nadciągającym kryzysem gospodarczym, a co miano rozdać, już rozdano. Mimo to PiS zapowiada, a przyszły, staro-nowy minister

W Polsce po wyborach

metropolity? Na razie nie został kardynałem, jak wszyscy dotychczasowi arcybiskupi krakowscy. Czyżby lewackie wpływy sięgały aż do Watykanu?

Swego czasu ks. Tischner zwracał uwagę: „Mówicie, że w Kościele demokracji nie ma. Demokracja w Kościele jest! Co tydzień odbywa się głosowanie na tacę!”. No to głosujmy!

Do Sejmu weszła też reprezentacja Konfederacji. To coś nowego w polskim życiu politycznym. Oprócz kabaretowego, pajacowatego i denerwującego liberała Korwin-Mikkego w parlamencie znaleźli się skrajni narodowcy. W dodatku to na nich głosowali w dużej mierze studenci. Świadczy to o ich poziomie umysłowym i przekonaniach politycznych. Kadra nauczająca po raz kolejny się nie sprawdziła?

A teraz quiz. Kto to powiedział: „Przemawiam dzisiaj z tego miejsca jako przedstawiciel narodu i europejskiego ruchu antykomunistycznego i antyislamskiego, w skrócie narodowego i europejskiego ruchu oporu. Przemawiam także w imieniu wielu przedstawicieli mojego narodu i Europejczyków, którzy sprzeciwiają się zabieraniu nam, rdzennym mieszkańcom, naszych kulturalnych i terytorialnych praw. Boją się nas, wojowniczo nastawionych nacjonalistów. Boją się, że wyrządzimy ideologii multi-kulti szkody, których nie będzie dało się naprawić (...). To, co dziś nazywa się demokracją, jest w istocie kulturowo-marksistowską dyktaturą. Marksizm kulturowy został po wojnie umieszczony na piedestale jako obowiązująca prawda. Zabroniono konserwatywno-kulturowych idei, twierdząc, jakoby prowadziły do »barbarzyństwa i niehumanicznych czynów«. Te marksistowskie »prawdy« pojawiły się po roku 1945, a rozprzestrzenione zostały przez rewolucję roku 1968. Kultura kontrolowana jest przez marksistów, gospodarkę kierują liberalowie, a nacjonalistów i konserwatystów nie dopuszcza się do jakiegokolwiek władzy”.

Ziobro gotów jest zrealizować, reorganizację sądów, pozwalającą na weryfikację sędziów. Jest szansa, że PiS pozbędzie się przy tej okazji 30% sędziów, którzy orzekanie rozpoczęli jeszcze przed 1989 r., a więc w PRL.

Oczywiście argumenty, że co najmniej trzy czwarte z nich orzekało w sprawach cywilnych czy rodzinnych, a ci, którzy orzekali w sprawach karnych, na ogół zachowywali się przyzwoicie, są bez znaczenia. Dobrze, przyjmijmy ten tok rozumowania. To może w ramach zapowiedzianej wymiany elit trzeba się pozbyć z polityki tych, którzy kariery zaczynali w PRL? Przecież tego dotyczy i temu służy m.in. Gowinowska pseudoreforma szkolnictwa wyższego. Pomijam już, że sam Gowin stopień doktora uzyskał w czasach PRL w mało prestiżowej wówczas Akademii Pedagogicznej (a może nawet jeszcze mniej prestiżowej Wyższej Szkole Pedagogicznej), rządzonej przez nomenklaturę komunistyczną. Ale przecież w podobnych warunkach w PRL, w dodatku pod kierunkiem promotora, który był w przeszłości politrukiem 1. Armii Wojska Polskiego, doktorat zrobił Jarosław Kaczyński. Praca doktorska prezesa jest dziś z niezrozumiałych powodów niedostępna. Może wreszcie prezes zechce ją upublicznić i zapoznać nas z zawartymi w niej tezami? Oczywiście po to, by zadać kłam krążącym, zapewne nieprawdziwym, opowieściom, że w pracy tej wychwalał marksizm. Tak czy owak, stopień doktora zdobył prezes w PRL, podobnie jak poddani napiętnowaniu sędziowie swoje nominacje. A Ryszard Terlecki, zwiędłe dziecko kwiat, upchnięte po skończonych wreszcie, ale wciąż w czasach PRL, studiach do Instytutu Historii PAN przez tatusia, którego później sam zlustrował? A wielu innych?

Oczyszczamy się z PRL? OK, ale wszyscy razem. Razem z prezesem i jego akolitami. Mnie już wszystko jedno. Jestem w wieku emerytalnym, do stanowisk politycznych nie aspiruję.

Zagłębie widziane od środka

Nie lubię reportażu polegającego na tym, że ludzie z Warszawy przyjeżdżają na kilka dni do powiatu i go opisują

Rozmawia Antoni Grześczyk

Skąd pomysł na reportaż o Zagłębiu Dąbrowskim? Ten region nie znajduje się w centrum uwagi mediów ani turystów.

– Praca nad „Ziemią jałową” była naturalną konsekwencją moich wcześniejszych zainteresowań. Zawsze fotografowałam miasta i miasteczka, w których mieszkalam, i zawsze chciałam uwiecznić na zdjęciach i na piśmie tę ich brzydszą, okrutniejszą, bardziej „zapyziałą”, a więc prawdziwszą stronę. Jestem dziewczyną z małego miasta i w małym mieście mieszkam. Dzięki temu udało mi się uniknąć perspektywy „safari biedy”. Dokumentowałam życie swoje i swoich bliskich, blokowiska, na których żyłam, ulice, którymi chodziłam, i sklepy, w których kupowałam. Od lat wchodziłam też na tereny zamkniętych zakładów pracy. To wcale nie jest trudne, trzeba tylko trochę sprytu i odwagi – i te zardzewiałe uniwersa stoją przed nami otworem.

Nie lubię reportażu polegającego na tym, że ludzie z Warszawy przyjeżdżają na kilka dni do powiatu i go opisują. Kiedyś to były reportaże interwencyjne, później popularniejsze stały się smutne obrazki pani Kasi, która pierze na tarze. Uznałam, że można napisać książkę o tym, jak źle żyje się ludziom po upadku zakładów przemysłowych. Jednak powinna ona dotyczyć miejsca, w którym się mieszka. Ma się wtedy więcej materiałów, zna ludzi, ma się dla miejsca więcej czułości. Bardzo chciałam uniknąć wielkomiejskiego protekcyjnalizmu.

Jak wyglądała twoja codzienna praca nad książką?

– Zawsze pracuję sama, bo istotną częścią mojej pracy reporterskiej jest słuchanie tego, co mówią ludzie – na ulicy, w sklepie, w bramie, w kolejce do lekarza – i wchodzenie z nimi w te rozmowy, w ich życia. Żeby słuchać,

MAGDALENA OKRASKA

– nauczycielka, etnografka, działaczka społeczna. Związana z czasopismem „Nowy Obywatel”. Mieszka w Zawierciu. Autorka książki „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu” (Trzecia Strona, Warszawa 2018).



nie można jednocześnie poświęcać uwagi komuś drugiemu, więc do miast Zagłębia jeździłam sama. Nie mam planu, mam tylko notes i długopis, fotografuję marnej klasy telefonem. Nie nagrywam rozmówców, zazwyczaj na to się nie zgadzają. Nagrywanie z ukrycia uważam za nadużycie ich zaufania. Zazwyczaj dzień terenowej pracy nad książką wygląda w ten sposób: pociągami podmiejskim jadę do wybranej miejscowości. Już od chwili przyścia na dworzec nastrajam się wyłącznie na ludzi, ja się nie liczę. Rozmawiam z każdym, kto do mnie zagaduje, przysiadam się, słucham. W docelowym mieście chodzę po ulicach, zazwyczaj tam, gdzie mnie nogi poniosą, broń Boże nie unikając „najgorszych” dzielnic. Wchodzę do sklepów pod różnymi pozorami, czasem kupię coś na ulicznym stoisku, by nawiązać rozmowę. Idę na piwo, kebab czy zapiekankę do lokalnego baru. Kluczem jest nie bać się mówić i nie bać się słuchać. Najistotniejsze są dwie rzeczy: porzucenie własnej perspektywy i założenie, że rozmówcy (i miejsca!) nie są nam nic winni, nie muszą potwierdzić naszej tezy – po prostu są, a to my jesteśmy gośćmi. I mamy być gośćmi taktownymi.

Poza tym moja praca to była nuda: archiwa zlikwidowanych zakładów pracy, archiwa ZUS, internet, spotkania z „mądrymi głowami”, telefony. Ale przede wszystkim – chodzenie po mieście, do upadłego.

Po internetowych reakcjach widać, że książka trafiła w dużej mierze właśnie do ludzi z Zagłębia, a nie do zawodowych czytelników reportażu.

– Miała już drugi druk i nieźle się rozchodzi. Niezwykle cieszy mnie to, że czytana jest przez ludzi na miejscu. Także tych, którzy nie są na co dzień czytelnikami

reportażu, a nawet tych, którzy w ogóle nie czytają książek. Jednak temat Zagłębia jest dla nich wyjątkowy, osobisty. Na jednym ze spotkań dziewczyna z Łodzi powiedziała, że to, co zostało opisane w książce, bardzo przypomina sytuację jej miasta.

No właśnie, z jednej strony to książka o Zagłębiu, ale z drugiej – można



powiedzieć, że całkiem uniwersalnie opisuje historię polskiego świata pracy.

– Chciałam to pokazać na przykładzie konkretnego regionu. Wiadomo, że nie jest to praca naukowa, która rości sobie prawa do wyciągania ogólnych wniosków, ale z pewnością daje się ona – przynajmniej częściowo – odnieść do innych regionów, które również miały pecha w czasach transformacji.

Zaczynasz od wstępu na temat tożsamości zagłębiowskiej i jej opozycji do tożsamości śląskiej.

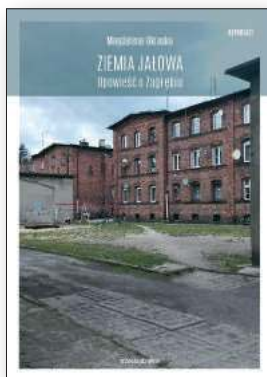
– Ten temat budzi ogromne emocje. Dlatego tyle o tym piszę, że czytelnicy spoza Zagłębia postrzegają je po prostu jako część Śląska. Dąbrowa czy Sosnowiec dla postronnych to często „śląskie” miasta.

Zespół Horror Show z Sosnowca śpiewał: „Nasze miasto nie leży na Śląsku”.

– Tak, Ślązacy mają odrębną tożsamość, a Zagłębiacy to zbieranina z całej Polski. Ludzie, którzy przyjechali budować Hutę Katowice, m.in. z Kielecczyny. Te animozje są trochę sztuczne, trochę śmieszne, ale i trochę prawdziwe. Po przekroczeniu Brynicy – czyli dawnej granicy niemiecko-rosyjskiej, przebiegającej

dziś przez środek aglomeracji – widać, że zmienia się architektura, kończą się familoki. Trudno porównywać Zawiercie czy Częstochowę do Świętochłowic, bo to zupełnie inne krajobrazy. Na Śląsku i w Zagłębiu inny jest język i inna kuchnia. Na okładce książki są budynki z czerwonej cegły, nieco podobne do familoków, a jednak inne – widać, że nie są to Świętochłowice. Polska to zlepek różnych zaborów, różnej architektury. Oprócz przynależności do województwa ze Śląskiem nie mamy nic wspólnego. Być może rozumiem nieco więcej śląskich słów niż osoba z Gdańska, ale to już inne światy.

„Ziemia jałowa” nie jest książką historyczną, ale możemy z niej dość dobrze poznać historię samego Zagłębia. W 1892 r. pracowano tam średnio po 15 godzin dziennie. W 20-lecie międzywojennym trzy czwarte to bezrobotni, strajki i głód. W latach 90. – likwidacja przemysłu i znów bezrobocie. Wydaje się, że najlepszym okresem dla Zagłębia była PRL.



– Nie chciałabym mówić za wszystkich mieszkańców regionu, ale właśnie takie mam wrażenie, również ze spotkań z mieszkańcami – zarówno w trakcie pisania książki, jak i spotkań autorskich w bibliotekach w Sosnowcu czy w Zawierciu. Często przychodzą osoby emerytowane lub takie, które musiały się przekwalifikować, choć były już po pięćdziesiątce. Ci ludzie wspominali te zakłady. Na miejscu była praca. Wiązała się ona z infrastrukturą, obecnością kultury, społecznością. Były kina, domy kultury, sale koncertowe, kluby sportowe, świetlice dla dzieci, transport. Tego wszystkiego nie ma. Okres największej nagonki transformacyjnej to lata 1990-2002. W całej okolicy likwidowano wtedy największe zakłady, także tych mniejszych.

Wcześniej był przemysł i było życie. Wraz z końcem przemysłu region powoli wymiera. Zamknięcie ostatniego dużego zakładu, fabryki obrabiarek Ponar-Defum w Dąbrowie, to rok 2015.

– Po Defum zostały tylko budynki, z których lokalne stowarzyszenia próbują zrobić nowe centrum Dąbrowy. Nie jestem przeciwniczką takich działań, ale mam do nich sceptyczne podejście. Kultura czy miejsce na spacer to jedno, a przemysł – drugie. Miejsce, gdzie można zjeść burgera czy obejrzeć obrazy ma zastąpić fabrykę, w której pracowało 1,5 tys. osób? To dla mnie nie do zaakceptowania. Jest to prezentowane w taki sposób, jak gdyby miejsce rozrywki miało zastąpić miejsca pracy. A to tak nie działa.

Bez poczucia stabilności pracy i godności sama kultura nie będzie działać.

– Od niedawna różne rzeczy się zmieniają. Od 2015 r., kiedy rozpoczęły się transfery socjalne, a potem podniesiono minimalną stawkę godzinową, sytuacja bytowa zaczęła się poprawiać. Gotówka cyркуluje szybciej, pojawiła się też presja płacowa, coraz więcej ludzi ma umowy o pracę. Jednak pieniądze, które w regionie można zarobić, jeśli nie jest się właścicielem sporego biznesu, np. siłowni, albo nie jeździ się codziennie do firmy do Katowic, to maksymalnie 2,5 tys. zł. I to jest dobra płaca. Moja teściowa, która mimo 63 lat jest sprzątaczką w przychodni, zarabiała, pracując na nieco ponad pół etatu,



Dąbrowa Górnicza. Dawna fabryka obrabiarek Defum.

▶ od 600 do 800 zł miesięcznie; obecnie, pracując tyle samo, zarabia dokładnie dwa razy tyle. Do roku 2014, kiedy zakłady były zamykane – bardzo nie lubię słowa wygaszane, bo to sugeruje brak sprawców – było znacznie gorzej. Jeszcze w 2011 r. bezrobocie wynosiło 17%, teraz mamy ok. 7%.

Zwracasz też uwagę na język czasów transformacji.

– Język, którym mówimy o tym okresie, zaczął się stawać trochę bardziej krytyczny niecałe 10 lat temu. Jednak wciąż dominuje perspektywa beneficjentów zmian. Używa się języka obojętnego, który ma pomijać to, kto był sprawcą danej decyzji. Mówi się, że całe regiony upadały pod względem społecznym, ale konkretnego winowajcę trudno wskazać. To nieprawda, sprawcą sytuacji, w której

szlaku kolei warszawsko-wiedeńskiej. W Dąbrowie ostatnie miejsce, gdzie można kupić bilet, to oddalony kawałek od dworca Dąbrowa Górna barak z blachy falistej, a sprzedaż prowadzona jest do godz. 17. Są natomiast piękne, ale zrujnowane budynki XIX-wiecznych dworców. Zniszczono całą infrastrukturę kolejową: nie ma kas, nie ma poczekalni, nie ma barów dworcowych, nie ma nawet ławek. Remonty na linii Katowice-Częstochowa dotyczą jedynie wiat, a nie samych budynków. Największym problemem jest jednak zmniejszenie – w porównaniu nie tylko z PRL, ale nawet z latami 90. – częstotliwości i zakresu kursowania. W Zawierciu autobusy jeżdżą co godzinę lub dwie. Połączenie z GOP nie jest dobre, Zawiercie nie należy do aglomeracji.

Mam wrażenie, również ze spotkań z mieszkańcami, że najlepszym okresem dla Zagłębia była PRL.

znalazło się m.in. Zagłębie Dąbrowskie, jest Leszek Balcerowicz, a szerzej – rząd Tadeusza Mazowieckiego. Są nazwiska, są daty i dokumenty. Używa się takich sformułowań jak „zakład wygaszany” czy „przestał działać”. Dodaje się ozdobniki, że coś było „nierentowne” czy „niekonkurencyjne”. Wydanie zakładów z dnia na dzień na pastwę konkurencji z globalnym rynkiem, bez żadnego wsparcia państwa, było świadomie obliczone na ich upadek. To jest język sytych – tych, którzy albo się wzbogacili na transformacji, albo są nadal na fali wznoszącej. Jeśli chodzi o tych, którzy stracili pracę, musieli pracować na umowach śmieciowych, przez co nie płacili składek i nie mają emerytur, pracują za grosze w ochronie lub musieli wyjechać za granicę – ich język jest zupełnie inny.

Przez transformację szczególnie ucierpiał transport publiczny. Piszesz o płaceniu za bilety aplikacją Blik, które jest przedstawiane jako innowacyjne, ale tak naprawdę wynika z cięcia kosztów pracy osób z zamkniętymi już kas biletowych. W 120-tysięcznej Dąbrowie Górniczej został tylko jeden taki punkt sprzedaży.

– Kasy biletowe nie istnieją, nie istnieją też budynki dworców. Wyjątkiem jest Zawiercie, bo leży na

Na miejscu praca zniknęła, a do tej w większych miastach coraz dalej.

– Do Katowic w szczycie pociąg jeździ dwa, trzy razy na godzinę, poza szczytem co godzinę-półtorej. Szczyt jest jednak definiowany bardzo wąsko. Komunikacja w mniejszych miejscowościach Jury również upadła, w dużej mierze została przejęta przez prywatne busiki. Bardzo słaba jest komunikacja z Krakowem. Muszę jechać o godz. 8.30, żeby wystąpić w debacie o godz. 18. Prywatne busy są bardzo niepewne, mogą przyjechać

W takim mieście jak Zawiercie niemożliwe jest życie bez samochodu.

albo nie. Ludzie przestali oglądać się na nie i zaczęli kupować samochody. W takim mieście jak Zawiercie życie bez samochodu jest niemożliwe. Miasto ma tak słabą komunikację, a jednocześnie jest tak rozległe, że inaczej nie da się po pracy załatwić zakupów czy wizyty u lekarza. Cała prowincja i wieś – dotyczy to nie tylko Zagłębia – musiała się przerzucić na transport indywidualny. Jest on nieekologiczny, drogi, miasta stają się zabetonowane, ale to konieczność. Mimo to nie wierzę, że ktokolwiek jest zainteresowany zwiększeniem lokalnej oferty transportowej. Trzeba by to zrobić na dłu-

żej, żeby ludzie zdążyli się przyzwyczaić. Nawet rządzący coraz częściej łapią się na tym, że nie warto było rozmontowywać dotychczasowej infrastruktury transportowej. Ale jest już za późno.

Podobnie stało się z kulturą.

– Dopóki były zakłady, były też kina, teatr, świetlice, kluby bokserkie. I nawet jeśli samo wyposażenie tych miejsc nie było na najwyższym poziomie, to kultura, z którą tam obcowano, często już tak. I było to darmowe albo w cenach w ogóle niezauważalnych.

W PRL bilet do kina kosztował równowartość dwóch jajek, a miesięczny karnet – tabliczki czekolady.

– Teraz jakiegokolwiek wyjście oznacza pieniądze, o których trzeba myśleć. W PRL w Zawierciu jednocześnie funkcjonowały cztery kina. Zakłady pracy kupowały bilety swoim pracownikom. Zostało jedno kino, ale potrafi przez cały miesiąc grać wyłącznie „Króla Lwa”. Nie ma wyboru, często nie ma żadnego filmu dla dorosłych. Mieszkańcy wolą pójść do multiplexu. Najbliższe są zaś dopiero w Dąbrowie albo Częstochowie. Po pewnym czasie taki brak instytucji wydaje się oczywisty, ale gdy się nad tym zastanowimy, jest to straszne. Żeby pójść gdziekolwiek, trzeba jechać godzinę, a to wszystko w sporym mieście. To nie jest marzenie o czymś, czego nigdy nie było, ale o świecie, który już istniał. Pięć lat temu nie było w Zawierciu żadnej kawiarni, choć i w PRL, i przed wojną były. Po roku 2015 zaczęły one powoli powstawać, ale kin ani teatrów nikt już nie zwróci. Nie ma zakładów, które czują się odpowiedzialne za robotnika – a to

był niezbędny warunek. Są specjalne strefy ekonomiczne, ale praca tam jest często bez umów, są problemy z uzwiązkowaniem. Trudno sprawić, że zagraniczny inwestor będzie się czuł współodpowiedzialny za region.

Brak zakładów pociągnął za sobą zniknięcie niezbędnych usług, w pewnym stopniu także opieki medycznej. Albo ich prywatyzację, co prowadzi do wykluczenia. Tym, co chciałam pokazać w książce, jest fakt, że zniknięcie tego wszystkiego – i transportu, i kultury – wynikało ze zniknięcia świata pracy.

Antoni Grześczyk

Nabici w (plastikową) butelkę

Mamy bezsensowny system gospodarki odpadami.
Jego coraz wyższe koszty pokrywają wyłącznie obywatele



Wprowadzone ostatnio zmiany w prawie to pokłosie pożarów na składowiskach i w magazynach.
Nz. pożar składowiska w Zgierzu, maj 2018 r.

Anna Brzeska

W tym roku straż pożarna gasiła już 130 pożarów składowisk odpadów – informuje w mediach poseł Krzysztof Brejza. W 2018 r. importowano do Polski aż 434,4 tys. ton odpadów, trzy razy więcej niż w 2015 r. – alarmuje na Twitterze Janusz Piechociński.

Płonące składowiska i sprowadzanie cudzych odpadów do naszego kraju to tylko wierzchołek lodowej, a raczej śmieciowej, góry. Natychmiastowej naprawy wymaga cały, obecnie bezsensowny, system gospodarki naszymi własnymi odpadami – jego koszty rosną, a obarczani są nimi wyłącznie obywatele. Dlatego, choć doczekaliśmy się już kilku poprawek przepisów, wciąż powinniśmy domagać się wielu kolejnych.

Dobra zmiana w złym systemie

O zmianach w Ustawie o utrzymaniu czystości i porządku w gminach, które weszły w życie we wrześniu ub.r., mówi Michał Paca, ekspert branży gospodarki odpadami, autor bloga Sortownia Opinii: – Przede wszystkim wymusiły one, by dla każdej instalacji do segregacji i przetwarzania odpadów (jej posiadanie przez firmy zajmujące się składowa-

niem i sortowaniem śmieci jest wymagane przepisami ustawy – przyp. red.) odnowiono pozwolenia. Każdą z nich musiał więc zobaczyć zarówno inspektor ochrony środowiska, jak i strażak. Dzięki temu udało się wyeliminować firmy, które instalacje miały tylko na papierze, a faktycznie zakopywały odpady w wyrobiskach, co jest oczywiście dużo tańsze niż przetworzenie odpadów legalnie. Z kolei dzięki Bazie Danych Odpadowych (ma w pełni funkcjonować

czy po wprowadzeniu zmian zostanie wyeliminowana szara strefa. Przepisy uderzają we wszystkich, również w przedsiębiorców, którzy prowadzą działalność legalnie. Naszym zdaniem pewien odsetek nielegalnych działań pozostanie, natomiast organy ścigania będą miały lepsze narzędzia do wykrywania nadużyć i karania sprawców. Z czasem taki proceder może się stać nieopłacalny, więc szara strefa może samoczynnie zaniknąć.

Choć ludzie zbierają śmieci oddzielnie, w sortowniach bardzo często trzeba te odpady znów mieszać.

od stycznia 2020 r.) można sprawdzić, skąd i którędy jedzie każdy pojazd przewożący odpady. Jeżeli będzie się przemieszczał dużym objazdem, automatycznie zostanie zweryfikowane, dlaczego zjechał z trasy.

Mniej optymistycznie patrzą na zmiany Monika Michalska i Tomasz Araszkiewicz, eksperci prowadzący OdpadyBlog.pl. – Wprowadzone w ciągu ostatnich miesięcy zmiany w prawie dotyczące gospodarki odpadami to pokłosie pożarów na składowiskach i w magazynach – przypominają. – Pożary te są efektem wielu lat zaniedbań w gospodarce odpadami. Nie istnieje jednoznaczna odpowiedź,

Walka z mafią śmieciową to zaledwie jedna z potrzebnych zmian w systemie gospodarki odpadami. Mimo że jest on coraz droższy (wdrożenie ustawowych zmian jest kosztowne dla przedsiębiorców i powoduje wzrost cen) i wprowadza do naszych mieszkań coraz więcej pojemników na śmieci, nadal nie jest wystarczająco dobry, byśmy spełnili unijne oczekiwania. Te są zaś takie, że już w 2020 r. do recyklingu powinno trafiać 50% naszych odpadów.

Wiele gmin wciąż nie radzi sobie z tymi wymogami. W 2017 r. polska średnia wynosiła 29%. Tymczasem mieszkańcy już teraz narzekają na hor-

► rendalne ceny odbioru odpadów. Cierpią zwłaszcza osoby starsze, niemogące się nauczyć zasad dzielenia śmieci, oraz właściciele małych mieszkań, którym trudno znaleźć miejsce na zaawansowaną selekcję. Opłaty za odbiór niesegregowanych odpadów w przypadku czteroosobowej rodziny przekraczają zaś w niektórych gminach 200 zł.

Bezmyślna machina

Na czym polegają błędy kolejnych rządów, z powodu których obecny system gospodarki odpadami jest tak drogi i nieefektywny? Michał Paca: – Ujednolicenie selektywnej zbiórki i zmuszenie wszystkich Polaków do segregowania śmieci bez sensu to wielowątkowy problem, pokazujący wieloletnią bezmyślność i inercję systemu. Kilkanaście lat temu zaczęliśmy kopiować wzorce wyznaczone przez kraje, które mają dużo odpadów surowcowych, choć sami takim krajem nie jesteśmy. Równolegle wzięliśmy pieniądze z UE i wybudowaliśmy instalacje

turze odpadów powinniśmy zbierać wyłącznie odpady bio. Gminy mogłyby wtedy dostosować się do istniejących od dawna instalacji, na które UE dawała nam pieniądze już od 2007 r. i daje je do teraz. Jednak my, mimo że łącznie dostaliśmy ok. 8 mld zł i wydaliśmy większość na sortownie odpadów zmieszanych, zdecydowaliśmy potem, że nie będzie u nas odpadów zmieszanych, tylko podział na wiele frakcji. W dodatku wszystko mają sortować mieszkańcy. Gdybyśmy 10 lat temu nauczili Polaków, że resztki jedzenia wrzuca się do brązowego pojemnika, a wszystko inne do pojemnika czarnego, dzisiaj bioodpady praktycznie za darmo odbierałyby biogazownie. Dzięki temu odpady zmieszane byłyby znacznie suchsze, co sprawiłoby, że wyciągnęlibyśmy z nich o wiele więcej surowców. Problemem sortowni jest bowiem nie to, że odpady są zmieszane, ale to, że są mokre – głównie przez obecność w nich resztek jedzenia, których zwykle jest ok. 30%, a które zawierają najwięcej wilgoci. Tymczasem

W praktyce, zdaniem Michała Pacy, z obowiązującego systemu gospodarki odpadami jesteśmy w stanie wyciągnąć maksymalnie 12-14% surowców. – To, że skupiamy większość uwagi na małej części odpadów, jest kolejnym przykładem bezsensowności systemu, który sobie stworzyliśmy, a który teraz skomplikowaliśmy jeszcze bardziej – stwierdza.

PET to jednak zło

To nie wszystko. O ile metal czy papier są znakomitymi surowcami odnawialnymi, o tyle nie można tego powiedzieć o plastiku, którego ilość na planecie rośnie lawinowo. Dane podawane przez „National Geographic” są szokujące. Obecnie rocznie produkuje się na świecie 161 mln ton plastiku wykorzystywanego do pakowania produktów, 72 mln ton w budownictwie, 65 mln ton do produkcji tekstyliów oraz łącznie 150 mln ton w innych branżach przemysłu. Niemal połowa

Problemem sortowni jest nie to, że odpady są zmieszane, ale to, że są mokre.

do sortowania odpadów zmieszanych, po czym... wprowadziliśmy bardzo ostrą selektywną zbiórkę, której zasady wciąż się zmieniają. W efekcie znów musimy przebudowywać instalacje. Dlaczego? Bo jeśli do instalacji przystosowanej do sortowania odpadów zmieszanych wrzucimy tylko plastik, jedna część systemu się zatka, a pozostałe cztery części będą niedociążone. Jednocześnie prosimy ludzi, by pamiętali o bardzo skomplikowanych zasadach. Efekt jest taki, że choć znacząco wzrosły nam koszty zbiórki odpadów, a ludzie zbierają śmieci oddzielnie, w sortowniach bardzo często trzeba te odpady znów mieszać.

Jak wyjaśnia dalej ekspert, tak zaawansowana selekcja wcale nie była bezwzględnie wymagana przez UE. Wprawdzie art. 10 unijnej dyrektywy w sprawie odpadów (2008/98/WE) mówi o konieczności przygotowania ich do recyklingu, a tym samym zaleca selektywną zbiórkę poszczególnych frakcji, ale jego punkt 3 zwalnia z tego obowiązku, jeśli – w skrócie – nie ma on sensu ekonomicznego ani środowiskowego.

Dlaczego nie skorzystaliśmy z tej furtki? – Zabrakło nam odwagi – odpowiada Michał Paca. – Przy naszej struk-

turowi suchy papier i plastik trafiałyby do wspólnego pojemnika, i tak rozdzieliliby je każda sortownia.

Co jednak z innymi odpadami? Przecież nawet jeśli do naszych „ogólnych” koszy na śmieci nie trafiałyby resztki jedzenia, wciąż wrzucalibyśmy do nich – prócz odpadów surowcowych – choćby zużyte artykuły higieniczne, odpady z odkurzaczy i inne śmieci trudne do zakwalifikowania.

Michał Paca: – Odpadów higienicznych, również wilgotnych, statystycznie rzecz biorąc, jest w naszych śmieciach tylko 10%, więc choć też będą obniżały efektywność sortowania, nie musimy tak bardzo się nimi przejmować. Dodam, że nawet jeśli wrzucimy do pojemnika nieumyte plastikowe pudełko po jogurcie, mokre szkło, metal czy plastik, nie będą one takim problemem jak właśnie resztki pożywienia.

Jak dalej tłumaczy ekspert, wilgoć w odpadach najbardziej szkodzi papierowi: – Im bardziej mokry materiał dojdzie do sortowni, tym więcej ta wyprodukuje odpadów, z którymi już nic nie da się zrobić. Warto więc dbać, by odpady były jak najsuchsze, przede wszystkim wolne od mokrych odpadów organicznych.

istniejącego na Ziemi plastiku została wyprodukowana po roku 2000.

Recyklingowi poddaje się mniej niż jedną piątą. Co gorsza, nawet wysoki procentowy poziom recyklingu i kosztownej selekcji odpadów, jaką teraz jesteśmy zobowiązani prowadzić w Polsce, nie rozwiązuje problemu. Dlaczego? Michał Paca: – To proste. Po jednym czy dwóch cyklach recyklingu plastik opakowaniowy nie nadaje się do dalszego wykorzystania.

Ekspert podaje przykład butelki typu PET. Wielu konsumentów kupujących wodę czy napoje, a potem wrzucających butelki do pojemnika na plastik, wyobraża sobie, że nie zanieczyszcza planety, bo przecież segreguje. Niestety, okazuje się, że to w dużym stopniu mit.

– Wszyscy producenci piszą, że PET nadaje się do recyklingu, ale jeszcze rok temu w Polsce żaden z nich nie produkował butelek z realnie recyklingowanego materiału. Przeszkodą jest to, że plastik pochodzący z butelek PET jest zanieczyszczony, bo zawiera domieszki innego rodzaju plastiku. Zazwyczaj bowiem butelka składa się z trzech rodzajów materiału: nakrętki z polipropylenu, butelki PET i etykiety

z innego rodzaju plastiku, np. termozgrzewalnego lub tzw. HDPE – wylicza Michał Paca. – Sortownie starają się to jak najlepiej doczyścić, ale bardzo trudno zerwać każdą zakrętkę i etykietę, do tego dochodzi jeszcze problem tzw. obwoluty, czyli obrączki po zakrętkę, która zostaje na butelce. W efekcie część tych „dodatków” przedostanie się do czystego PET i powstały granulaty nie będzie już stuprocentowym PET. Nie jesteśmy jednak w stanie tak go doczyścić, by po przeróbce uzyskać plastik wystarczającej jakości, by mieć pewność, że w transporcie tysiąca butelek żadna nam nie pęknie. Włókna PET z odzysku nie są już tak trwałe jak włókna „świeżego” plastiku. Co więcej, nakłady na jego doczyszczanie i zbiórkę w osobnych pojemnikach są tak wysokie, że nigdy nie będzie nam się to opłacało.

To właśnie ze względu na złą jakość plastiku z odzysku robi się z niego głównie różnego rodzaju materiały stałe, np. tapicerkę samochodową, dywany, taśmy do opakowań zbiorczych czy wreszcie granulaty, który eksportuje się do Chin, a który potem trafia do nas w postaci np. zabawek. Wszystkie te produkty nie nadają się już do kolejnego przetworzenia, trafiają zatem do spalarni czy na składowiska.

Kto naprawdę jest winny

Problem z plastikiem pozostaje jednak dla polskiego rządu nieszczerólnie ważny. Wprawdzie już niedługo na skutek unijnych wymogów będą musiały zniknąć z rynku niektóre plastikowe produkty jednorazowe (słomki, tacki do żywności czy talerze), lecz to znów tylko kropla w morzu. Nowa ustawa śmieciowa wciąż za to nie wprowadza żadnych ograniczeń choćby w produkcji butelek PET czy setek innych typów opakowań.

Michał Paca: – „Świeży”, a więc nie pochodzący z recyklingu plastik jest u nas bardzo tani. W Polsce korzystanie z opakowań plastikowych kosztuje producentów sto razy mniej niż np. w Austrii. Co więcej, nie obciąża się ich żadną odpowiedzialnością za wprowadzanie do obiegu kolejnych ton plastiku, nie muszą więc się zastanawiać, co dalej będzie się działo z używanymi przez nich opakowaniami. Wina została przerzucona na obywateli, co jest kolejnym błędem rządu. Innymi słowy, konsumentów zmuszono do wykonywa-

nia pracy za producentów, obarczając odpowiedzialnością za segregowanie śmieci. Tymczasem na Zachodzie plastik z odpadów osiąga wystarczającą jakość tylko tam, gdzie producenci muszą po sobie „posprzątać”.

I właśnie dlatego, że jakość zachodnich śmieci jest wyższa niż w Polsce, wciąż opłaca się je importować. Sprowadzanych odpadów przybywa więc lawinowo. Główny Inspektorat Ochrony Środowiska tłumaczy na swojej stronie, że to „pozytywny parametr gospodarczy”, a nie problem środowiskowy. I rzeczywiście. Jeśli większość sprowadzanych śmieci jest wysokiej jakości, korzystają na tym polskie firmy, ale brak własnych jakościowych odpadków to już raczej oznaka słabości naszego systemu.

Eksperti podkreślają, że najlepszym sposobem na zmianę tego stanu rzeczy jest tzw. rozszerzona odpowiedzialność producentów (ROP), czyli, najprościej mówiąc, opłaty, którymi obarczani są producenci wprowadzający na rynek różnego typu opakowania. Im bardziej szkodliwe są one dla środowiska, tym opłata większa.

– ROP z pewnością jest szansą na ustabilizowanie cen zagospodarowywania odpadów – zgodnie mówią Monika Michalska i Tomasz Araszkiewicz. – Zakłada ona, że pieniądze do systemu trafią od producentów opakowań, którzy wprowadzają je na rynek. Biorąc pod uwagę skalę produkcji, może to być bardzo duży zastrzyk pieniędzy, który wspomogł zwłaszcza działania firm recyklingowych. Równolegle powinniśmy oczywiście dążyć na własnym podwórku do ograniczania wykorzystywania opakowań, które łatwo stają się odpadem.

Stosowanym na Zachodzie sposobem na poradzenie sobie ze zbyt dużą ilością plastiku jest też wprowadzanie w szerszym zakresie butelek zwrotnych oraz automatów odbierających butelki zarówno jednorazowe, jak i wielorazowe. Te, po wrzuceniu doń butelek, zwracają konsumentom niewielką kaucję, wcześniej doliczoną do ceny produktu.

Jednak aby możliwe było ponowne wykorzystanie butelek (bez konieczności ich recyklingowania), muszą one być szklane lub wykonane z polipropylenu, który jest znacznie grubszy niż PET.

Segregować? Tak

Wróćmy jednak do Polski. Czy skoro nasz system segregacji jest tak słaby, możemy ją sobie odpuścić? – Nie – odpowiada Michał Paca. – Segregujmy, bo zasad systemu trzeba przestrzegać i już. Ze zbieranego przez nas plastiku coś przecież jednak powstanie i przynajmniej przez jakiś czas będzie on użytkowany. Jednocześnie pamiętajmy, że zamiast tresować ludzi do kolejnych zasad segregacji, powinno się ich uczyć, że najważniejsze jest to, co robimy w sklepie. Czyli: wybieramy opakowania zwrótne zamiast jednorazowych, unikamy opakowań z plastiku na rzecz tych z papieru, metalu i szkła, które umiemy poddawać recyklingowi, oraz kupujemy więcej produktów świeżych, takich jak warzywa i owoce, szczególnie lokalne. W ten sposób wspieramy miejscowych producentów, a więc naszych sąsiadów. Na chleb i inne tego typu produkty zawsze bierzemy zaś własne torby.

Anna Brzeska



Zdobycie twierdzy Budapeszt

Przejęcie przez opozycję stanowiska prezydenta stolicy
to pierwszy wyłom w reżimie Viktora Orbána

Mateusz Mazzini

Wychodzących z domu w poniedziałkowy poranek 14 października mieszkańców Budapesztu powitał niespodziewany i niezwykle wymowny widok. W całym mieście, wciąż oplakatowanym po zakończonej w ubiegły weekend kampanii samorządowej, na wizerunkach kandydatów rządzącej partii Fidesz w nocy z niedzieli na poniedziałek masowo dopisywano słowo faszysta. Ponieważ na wielu plakatach samorządowcy dominującego od półtorej dekady ugrupowania występowali wspólnie z samym Orbánem, dopisek często przechodził właśnie przez jego twarz. Krajobraz uzupełniały widoczne zwłaszcza w centrum miasta puste butelki i opakowania po jedzeniu na wynos. Stolica Węgier budziła się do nowego tygodnia niczym po kilkudniowym festiwalu muzycznym. Pewnie na lekkim kacu, ale też ze świadomością wchodzenia w nową rzeczywistość polityczną.

Dzień wcześniej stała się bowiem rzecz trudna do wyobrażenia, biorąc pod uwagę najnowszą historię polityczną tego kraju. Fidesz przegrał pierwsze wybory od 2006 r. Rządzący wcześniej stolicą i ubiegający się o reelekcję 71-lletni István Tarlós, polityk z bliskiego kręgu samego Orbána, przegrał z liberalnym kandydatem zjednoczonej opozycji. Gergely Karácsony uzyskał ponad 50% głosów już w pierwszej turze, przy 44% poparcia dla rywala. Dodatkowo opozycji udało się zdobyć władzę aż w 10 z 23 największych węgierskich miast, w tym w ważnych ośrodkach miejskich i przemysłowych, takich jak Miskolc, Szeged czy Eger. Politycy partii liberalnych i lewicowych podkreślają więc, że populizmu Orbána mają dość nie tylko kosmopolityczni mieszkańcy metropolii, ale też Węgrzy żyjący w mniejszych miastach.



Młodzi aktywiści wnieśli oczywiście wkład w zwycięstwo Karácsonya. Ale było ono możliwe głównie dlatego, że wszystkie partie opozycyjne zgodziły się go poprzeć.

Budapeszt jednak był i jest dla węgierskiej polityki najważniejszy. W całej Europie trudno o porównywalną sytuację – nie ma drugiego kraju, w którym dysproporcja między wagą stolicy i wszystkich innych miast byłaby tak duża. Od czasów monarchii austro-węgierskiej stolica odskakiwała od reszty Węgier. Politycznie, finansowo, rozwojowo, ale również intelektualnie. Jakakolwiek realna zmiana w tamtejszej rzeczywistości, jeśli miała dojść do skutku, musiała wyjść z budapeszteńskich kawiarni, hoteli i skwerów.

Viktor Orbán chciał złamać ten monopol. Sam pochodził z Székesfehérvár, miasta w połowie drogi między Budapesztem a jeziorem Balaton, i od początku kariery politycznej podkreślał to pozastołeczne pochodzenie. Franklin Foer, amerykański reporter współpracujący m.in. z magazynem

„The Atlantic”, portretując Orbána w esej biograficznym, wiele miejsca poświęcił jego niechęci do wielkomiejskich elit. Zdaniem Foera premier Węgier wkroczył na scenę polityczną napędzany nie tylko fanatycznym wręcz antykomunizmem, ale także chęcią udowodnienia budapeszteńskim intelektualistom, że stracili licencję na kierowanie krajem i rząd dusz.

Dlatego Orbán zwycięstwo opozycji w Budapeszcie stara się zmarginalizować. Wprawdzie pojawił się w niedzielą noc w towarzystwie przegranego Tarlósa, który wówczas gratulował swojemu przeciwnikowi, ale nie wygłosił żadnego szumnego przemówienia. Tarlós zaś sucho zauważył, że „skoro tak zagłosowali mieszkańcy Budapesztu, to wynik ten należy uszanować, a Karácsony od północy staje się nowym burmistrzem stolicy”. Dodał też, że

choć wynik partii rządzącej w Budapeszcie wymaga refleksji, to w skali kraju znów osiągnęła ona olbrzymi sukces.

Po zwycięstwie opozycji natychmiast pojawiły się pytania, czy okaże się ono jednorazowym wyskokiem, czy początkiem erozji reżimu. Rządzący krajem prawie dekadę Orbán zamienił Węgry w państwo mafijne. Reformując konstytucję, zamykając i przejmując praktycznie wszystkie niezależne gazety, stacje telewizyjne i radiowe, wyrzucając z kraju liberalny Uniwersytet Środkowoeuropejski i przekształcając publiczne instytucje

powołano do życia Momentum, centrowe ugrupowanie zrodzone z obywatelskiego ruchu sprzeciwiającego się organizacji przez Budapeszt letnich igrzysk olimpijskich w 2024 r. Dziś Momentum nie ma wprawdzie reprezentacji w krajowym parlamencie, ale w maju wprowadziło do europarlamentu dwóch deputowanych. Dzięki sprawnej kampanii w mediach społecznościowych, tworzeniu spójnego, prodemokratycznego przekazu publikowanego przede wszystkim w internecie oraz zaangażowaniu wielu innych grup obywatelskich, Momentum rzuciło rękawicę Orbánowi.

w roli obrońcy tradycyjnej rodziny i wartości chrześcijańskich, mogło to stanowić problem, lecz aferę szybko zamieciono pod dywan. Borkai za wydarzenia z jachtu przeprosił, ale z kandydowania na kolejną kadencję się nie wycofał. I wygrał, co pokazuje, że w nieliberalnych demokracjach władze są często impregnowane na skandale obyczajowe.

Mimo spektakularnego zwycięstwa opozycji w Budapeszcie, które liberalnym politykom wlało w serca nadzieję, a mieszkańców stolicy ośmieliło do nazwania Orbána faszystą, o początku końca reżimu na Węgrzech nie

Nowy burmistrz uzyskał ponad 50% głosów już w pierwszej turze. Dodatkowo opozycji udało się zdobyć władzę aż w 10 z 23 największych miast.

naukowe w jednostki zależne od politycznych nominatów, spowodował, że każda płaszczyzna życia Węgrów jest kontrolowana przez niego samego lub jego akolitów. Przy faworyzującej Fidesz reformie ordynacji wyborczej i odcięciu organizacji pozarządowych od prywatnych, zwłaszcza zagranicznych źródeł finansowania, jakkolwiek wygrana opozycji zdawała się na Węgrzech nierealna.

Udało się to jednak dzięki niespotykanemu wcześniej zjednoczeniu partii opozycyjnych. Dotychczas bowiem Fidesz wygrywał nie tylko przez niszczenie instytucji demokratycznych i taranowanie mediów, ale również przez słabość rywali. Skrajnie prawicowa, miejscami neofaszystowska partia Jobbik była przez Orbána trzymana na dystans, bo w ten sposób Fidesz przejmował elektorat

Młodzi aktywiści wnieśli oczywiście wkład w zwycięstwo Karácsonya. Ale było ono możliwe głównie dlatego, że wszystkie partie opozycyjne zgodziły się go poprzeć. Współpracę przeciwników politycznych Orbána, nawet tych z bardzo odległych pozycji ideologicznych, widać było w całym kraju. Nierzadko z wystawienia swojego kandydata rezygnował nawet Jobbik, jeśli osoba typowana przez lewicę i liberałów miała większe szanse na pokonanie samorządowca z Fideszu.

Lili Bayer z magazynu „Politico” podkreśla, że ubiegłotygodniowe wybory były poprzedzone jedną z najagresywniejszych kampanii w historii Węgier, a wyniki głosowania mogą jeszcze bardziej spolaryzować społeczeństwo. Partia Orbána użyła wszystkich zasobów medialnych

można jeszcze mówić. Premier zmonopolizował władzę na tyle skutecznie, że będzie mógł kontrolować państwo jeszcze wiele lat, nawet gdyby tracił kolejne przyczółki w instytucjonalnej maszynie kraju. Niemniej jednak wygrana Karácsonya pokazuje, że nieliberalne demony Europy Środkowej da się poskromić także drogą wyborczą.

Cas Mudde, holenderski politolog z Uniwersytetu Georgii, jeden z wiodących współczesnych teoretyków populizmu, analizując Fidesz i Orbána, podkreśla, że węgierska władza nie sprzeciwia się fundamentalnym zasadom demokracji, kwestionuje natomiast jej instytucje i liberalny charakter. To odróżnia Orbána m.in. od autokraty Erdoğan, który po porażce w wyborach samorządowych w Stambule i Ankarze nakazał powtórzenie wyborów. Węgierski premier mimo wszystko swoją porażkę w stolicy uznał. W dodatku kończy mu się miejsce do dalszego rozwoju. Na lewo nie może się przesunąć, bo stałoby to w sprzeczności z jego wartościami. Z prawej strony silny jest Jobbik, który bardziej od Fideszu zyskuje na nastrojach antyimigranckich. Przed dalszą radykalizacją powstrzymuje go też mimo wszystko Unia Europejska, wciąż będąca ważnym aktorem tej gry, chociażby przez wzgląd na wsparcie finansowe i rozwojowe. Wybory w Budapeszcie pokazały, że Orbán nie jest nietykalny. Może zatem z czasem uda się go nie tylko dotknąć mocniej, ale zupełnie odsunąć od władzy. ■

Wygrana Karácsonya pokazuje, że nieliberalne demony Europy Środkowej da się poskromić także drogą wyborczą.

centrowy i centroprawicowy. Przedstawiając się jako jedyna siła zdolna do powstrzymania radykałów z Jobbiku, premier kreował się na obrońcę demokracji i systemu konstytucyjnego, mimo że sam skutecznie obie te konstrukcje naginał. Lewica z kolei nie mogła się podnieść po aferach korupcyjnych i skandalach wizerunkowych z poprzedniej dekady, wciąż szukając pomysłu na nowe otwarcie.

Scena partyjna na Węgrzech drgnęła, dopiero kiedy pojawili się na niej nowi gracze. W marcu 2017 r.

do opisanie grup opozycyjnych jako tych, którzy wpuszczają na Węgry setki tysięcy imigrantów. Sama jednak przyjęła kilka ciosów wizerunkowych, chociażby skandal z udziałem Zsolta Borkaia, burmistrza miasta Győr, byłego mistrza olimpijskiego w gimnastyce sportowej. Do internetu wyciekło nagranie, na którym widać Borkaia w towarzystwie lokalnych biznesmenów, biorącego udział w orgii z kilkoma prostytutkami na jachcie u wybrzeży Chorwacji. Dla partii rządzącej, stawiającej się

Wojciech Osiński

Jeszcze zanim 9 października na północną Syrię spadły tureckie bomby, z przygranicznego miasta Ras al-Ajn ruszyła pierwsza fala uchodźców. Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan nigdy nie krył swoich zamiarów, toteż poranne syreny zwiastowały scenariusz najgorszy z możliwych. Kiedy zawyły, złudne poczucie spokoju ustąpiło nieskrywanej panice. W ciągu godziny główną ulicą przejechało 716 wyładowanych autobusów i ciężarówek zmierzających na południe kraju – jak najdalej od tureckiej granicy.

Wśród kurdyjskich uchodźców byli Dilan i Esther, małżeństwo po czterdziestce, oraz ich czworo dzieci. Bagażnik ich starej toyoty wypełniały walizki i torby. Nie dojechali jednak zbyt daleko. W Tell Tamer zostali zatrzymani przez kurdyjskich milicjantów Powszechnych Jednostek Ochrony (YPG). – Funkcjonariusze wysłali nas z powrotem do Ras al-Ajn, twierdząc, że nie mogą przepuszczać uchodźców. Zakładają być może, że jeśli wszyscy opuszczą miasto, Kurdystan szybciej upadnie. Im mniej cywilów, tym szybciej wojska Erdoğan zajmą Ras al-Ajn – opowiada Dilan, który musiał wrócić z rodziną do swojego miasta.

Przekora i apatia

Sytuacja po wkroczeniu Turków do Kurdystanu zmienia się codziennie. O ile na początku szybko udało się im zająć Ras al-Ajn, o tyle tydzień później zachodnie media donosiły, że kurdyjskie milicje nadal stawiają opór. Oblicze miasta przy granicy z Turcją jest już jednak inne, ponure. Większość handlarzy zamknęła sklepy, gwarne zwykle rynek opustoszały. Widać stąd powiewające tureckie flagi, tyle że nie w Ras al-Ajn, lecz kilometr dalej, po drugiej stronie granicy, w tureckim mieście Ceylanpınar. Niektórzy mieszkańcy próbują prowadzić w miarę normalne życie, mimo huków eksplozji. Tak jak 49-letni Afrim, właściciel sklepiku spożywczego. – Mieszkam w Ras al-Ajn całe życie. Od toczącej się od 2011 r. wojny domowej nasze miasto zajmowali różni okupanci. Nigdy nie opuściłem swojego domu i tym razem też zostanie – zaznacza

KURDYJSKA puszka Pandory

Po wycofaniu się wojsk USA z północnej Syrii prezydent Turcji bez zahamowań może się rozliczyć z Kurdami – przy wsparciu ISIS



Rodziny uciekające przed bombardowaniem z przygranicznego miasta Ras al-Ajn.

z nutą przekory, ale też apatii. Bo od kąd nad jego miastem krążą tureckie F-16, trudno mu się zdobyć na optymizm.

W ciągu kilku dni turecka operacja „antyterrorystyczna”, cynicznie nazwana „Źródło pokoju”, zebrała pierwsze żniwo. Ginią cywile, kobiety, dzieci. Szpitale pękają w szwach. Ruszyła kolejna fala uchodźców i tym razem kurdyjscy milicjanci nie byli w stanie zatrzymać nadciągających ludzi. Kurdowie uciekają na południe samochodami, małymi busami, wozami i pieszo, uginając się pod ciężarem plecaków i walizek. Według danych WHO oddziały tureckie doprowadziły w północnej Syrii do ucieczki 200 tys. ludzi. Nagrania krążące w mediach społecznościowych pokazują zbrodnie wojenne oraz egzekucje kurdyjskich żołnierzy i polityków. Tymczasem Kurdowie szukają pomocy przed atakiem tureckim u Asada i jego rosyjskich sojuszników.

Turecka inwazja okazała się bardziej stanowcza, niż przypuszczano. Już pierwszego dnia siły powietrzne zaatakowały miasta Ras al-Ajn i Tall Abjad, a także milionową metropolię Al-Kamiszli. Turcy bombardowali także amerykańskie bazy wojskowe, opuszczone przez żołnierzy US Army zaledwie kilka godzin wcześniej.

Dramat rozpoczął się właściwie już 6 października, kiedy Biały Dom krótko „zaćwierkał”, że USA wycofują wojska z północno-wschodniej Syrii. Stacjonowało tam około tysiąca żołnierzy. Donald Trump już wiedział o zamiarach tureckiego prezydenta, ale zaznaczył, że nie będzie ani ich wspierał, ani brał w nich udziału. Wycofując się z terenów zamieszkałych przez Kurdów, Amerykanie *de facto* udzielili Erdoğanowi pozwolenia na rozliczenie się z odwiecznymi wrogami z YPG, syryjskiej przystawki do Partii Pracujących Kurdystanu (PKK). Tyle że to głównie kurdyjskie milicje

walczyły dotąd skutecznie z terrorystami Państwa Islamskiego. W tych walkach życie lub zdrowie straciło tysiące kurdyjskich żołnierzy i bojowników. Dlatego już dzień przed atakiem Turcji Kurdowie protestowali w Ras al-Ajn przeciwko zapowiedziom Erdoğan'a i wycofaniu wojsk USA. Do manifestacji dochodziło również w większych niemieckich miastach. – Trump wbił nam nóż w plecy, on jest nie tylko hipokrytą, lecz także zwyczajnym zdrajcą – mówił mi Berfo, uczestnik takiego ulicznego protestu w Bremie.

Niegrzeczni piłkarze

Rezygnacja USA ze wsparcia Kurdów może doprowadzić do dramatycznej sytuacji, a w najgorszym przypadku do kolejnej wojny w regionie, zwanym kurdyjską puszką Pandory. Co więcej, boleśnie cofa walkę antyterrorystyczną przeciwko Państwu Islamskiemu. Samozwańczy kalifat terroru niedawno został pokonany właśnie dzięki kurdyjskim milicjom, które teraz muszą odpierać tureckie ataki. Zachód często zapomina, że utrata przez ISIS takich bastionów jak Baghuz nie pozbawiła terrorystów wpływów. Państwo Islamskie istnieje, a jego wyznawcy ukrywają się w Syrii, Iraku, Afganistanie i Nigerii, snując kolejne plany. W sporze o stopień zagrożenia ze strony bojowników ISIS pod koniec 2018 r. sekretarz obrony narodowej USA James Mattis na znak protestu zrezygnował ze stanowiska. To wtedy Trump po raz pierwszy

zarządzonego przez Ankarę natarcia nie są w stanie pilnować terrorystów w więzieniach. Według „New York Timesa” zbiegło z nich kilku dżihadystów, którzy odgrywali niegdyś kluczowe role w strukturach Państwa Islamskiego. Amerykański dziennik pisze, że nie udało się także przeprowadzić planowanego przez USA przeniesienia do irackiego więzienia ok. 60 groźnych terrorystów. W sumie w kurdyjskich więzieniach przebywa ich obecnie kilkanaście tysięcy.

Giną cywile, kobiety, dzieci. Szpitale pękają w szwach. Ruszyła kolejna fala uchodźców.

Niewykluczone, że wkrótce ISIS znów da o sobie znać zamachami. Kiedy wspominał o tym publicznie szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas, Erdoğan nazwał go politycznym dyletantem. Nawiasem mówiąc, nie jest szczególnie dziwne, że prezydent Turcji nie lubi niemieckiego ministra ds. zagranicznych. W związku z turecką ofensywą w Syrii polityk SPD oświadczył ostatnio, że rząd federalny zamierza wstrzymać eksport broni do Turcji. „Nie będziemy wydawać nowych pozwoleń na eksport wszelkiego wyposażenia wojskowego, które mogłyby zostać wykorzystane przez Turcję w Syrii”, powiedział Maas w wywiadzie dla „Bild am Sonntag”. Niemiecki rząd właściwie już od kilku lat stosuje wobec Ankary restrykcyjną linię w wydawaniu pozwoleń na eksport broni. A jednak wypowiedź Maasa jest kolejnym przejawem pogarszających się

swojego „sułtana” po strzeleniu gola. Ci dwaj dżentelmeni szybko zauważyli niestosowność tego gestu, ale piłkarz hamburskiego klubu St. Pauli Cenk Şahin bez ogródek wyraził poparcie dla decyzji „swojego prezydenta”, ponosząc za to cenę wyrzucenia z drużyny.

„Niemieccy politycy zbyt długo biernie przyglądali się poczynaniom tureckiej głowy państwa. Można się obawiać, że teraz jest już za późno”, pisze berliński dziennik

„Der Tagesspiegel”, wskazując, że niebawem groźni ludzie wyjdą na wolność i przybędą do Niemiec, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

W istocie Europa dała się zaszantażować prezydentowi Turcji groźbami wypuszczenia milionów syryjskich uchodźców, ignorując przy tym zagrożenie, jakie stwarza reanimacja Państwa Islamskiego. Ale to głównie Trump, najwyraźniej nie rozumiejąc realiów Bliskiego Wschodu („Przecież Kurdowie też nam nie pomogli w Normandii”), stworzył nowy-stary problem. A jeszcze niedawno mówił, że sam go rozwiązał. Teraz znów rozwiązuje. Wiceprezydent Mike Pence wynegocjował z Erdoğanem zawieszenie na 120 godzin operacji militarnych, by pozwolić kurdyjskim bojownikom na opuszczenie przygranicznego pasa, a gdy ci się wycofają, nastąpi rozejm. Turcja nie będzie jednak zobligowana do wycofania wojsk z Syrii. Siły kurdyjskie zgodziły się zaakceptować porozumienie o przerwaniu ognia. Trump zaś powiedział, że „chce podziękować i pogratulować prezydentowi Erdoğanowi. To mój przyjaciel. Cieszę się, że nie mieliśmy tu problemu”.

Furiat z Waszyngtonu

Turecka inwazja w Kurdystanie zmieniła układ sił w północnej Syrii. Kurdyjskie elity, które mogą już chyba zapomnieć o autonomii, będą musiały w przyszłości porozumieć się z Baszarem al-Asadem i Władimirem Putinem. Dotąd amerykańskie wsparcie utwierdzało Kurdów w przekonaniu, że nie będą zdani na łaskę syryjskiego dyktatora. Możliwe, że wojska Asada

Państwo Islamskie istnieje, a jego wyznawcy ukrywają się w Syrii, Iraku, Afganistanie i Nigerii.

oznajmił, że zamierza wycofać oddziały z Syrii. Mattis nadaremnie przekonywał gospodarza Białego Domu, że jego decyzja tylko przygotowuje grunt pod powrót Państwa Islamskiego. Do dymisji podał się wtedy również inny urzędnik Trumpa – specjalista ds. terroryzmu Brett McGurk. Jednak decyzja Waszyngtonu była nieodwołalna, a próżnię stworzoną przez turecką ofensywę w Syrii na nowo wypełnią terroryści, dysponujący jeszcze ogromnymi zasobami pieniędzy.

Przedstawiciele kurdyjskiej milicji w ostrzeliwanym przez Turków Al-Kamisli bili na alarm, że z powodu

relacji niemiecko-tureckich, bo do tej pory nie mówiono w Berlinie o całkowitym wstrzymaniu dostaw wyposażenia wojskowego do Turcji.

W Niemczech ofensywa Erdoğan'a miała jeszcze inne reperkusje. Na niemieckich ulicach dochodzi do bijatyk między Kurdami a Turkami. Niedawno został podpalony samochód należący do ambasady tureckiej. A piłkarze niemieckiej reprezentacji Emre Can i İlkay Gündoğan, którzy nie wypierają się swojego pochodzenia, po lubili na portalu społecznościowym zdjęcie ich kolegów z tureckiej kadry, salutujących w poparciu dla armii

► w końcu wkroczą do Kurdystanu i przy wsparciu Moskwy, która chce zarazem zadbać o neutralne stosunki z Ankarą, zablokują dalszą ekspansję Erdoğan w tym regionie. Tym samym wzmocniłaby się pozycja Iranu. Ta nowa układanka jest powodem do niepokoju także dla Europy, gdyż Turcja jest członkiem NATO i w konflikcie zbrojnym z Damaszkiem oczekiwałaby na pewno wsparcia sojuszników. Na zagrożenie dla całego świata taką wojną zastępczą zwrócił ostatnio uwagę minister ds. zagranicznych Luksemburga Jean Asselborn.

Tymczasem od Trumpa, któremu jednak nie sposób było odmówić w przeszłości pewnych sukcesów dyplomatycznych (jak choćby mediacje na Półwyspie Koreańskim), odwracają się nawet wierni dotąd republikańscy zwolennicy, np. Lindsey Graham. Sankcje, którymi Waszyngton chciał objąć tureckich polityków, oraz inne pogróżki, według których prezydent USA zamierzał „zniszczyć turecką gospodarkę”, nie zmieniają faktu, że wyrobił on sobie w świecie reputację słonia w składzie porcelany, w mało chwalebny towarzystwie Erdoğan właśnie. Nawet tak wierny sojusznik Stanów Zjednoczonych jak Izrael zastanawia się, jak wreszcie się uniezależnić od „furiata” z Gabinetu Ovalnego, któremu amerykańska obecność na Bliskim Wschodzie „się nie opłaca”. Również Jerozolima szuka teraz

lepszego dla siebie rozwiązania w dialogu z Rosją.

Na polityce USA zyska więc głównie Kreml, który zrezygnuje z odbudowy wpływu na Bliskim Wschodzie.

Szeroki korytarz

Po kryzysie migracyjnym w 2015 r. prezydent Turcji nie ukrywał, że zamierza na granicy syryjskiej stworzyć szeroki korytarz, który miałby się znaleźć pod jego kontrolą. Na międzynarodowych szczytach wielokrotnie wymachiwał mapą z zaplanowanymi nowymi podziałami. W ten sposób mógłby się pozbyć setek tysięcy

Próżnię stworzoną przez turecką ofensywę wypełnią terroryści, dysponujący ogromnymi zasobami pieniędzy.

syryjskich uchodźców, którzy przybyli po 2015 r. do Turcji. Większość miałyby zamieszkać na byłym terytorium Kurdystanu.

Eksperti są zgodni, że te plany nie wyciszą konfliktów w regionie – wręcz przeciwnie. Tyle że są one raczej nieodwracalne, zwłaszcza że w czasach gospodarczej dekonunktury prezydent Turcji chętnie objąłby kontrolę nad terenami obfitującymi w surowce. Nawet jeśli takie miasta jak Ras al-Ajn stawiają opór, trudno nie przypuszczać, że niedługo powstaną tam tureckie bazy wojskowe. Oprócz Kurdów

żyje tam bowiem wielu Arabów, którzy przypuszczalnie pogodzą się z nową rzeczywistością, narzuconą przez północnego sąsiada. Erdoğan raczej też nie będzie chciał wychodzić poza swój kordon ochronny, bo szybko popadłby w niełaskę u rodaków, gdyby tureccy żołnierze polegali w starciu z syryjskimi siłami.

Długi konflikt zbrojny nie leży w interesie ani Ankary, ani Damaszku. „Antyterrorystyczna” misja mogłaby się przeistoczyć w turecki Wietnam. Tym bardziej że już w pierwszych dniach ataku tureccy żołnierze ochotczo dolewali oliwy do ognia, zabijając kurdyjskich polityków i cywilów.

Wsparcie znajdują Turcy u terrorystów ISIS, którzy od początku operacji przeprowadzili kilka zamachów na kurdyjskich „niewiernych”. Właściciel szpitala w mieście Szuhail otrzymał od terrorystów wezwanie do uiszczenia tzw. podatku religijnego w wysokości 10 tys. dol. Gdy się opierał, nieznani sprawcy ostrzelali dom, w którym mieszka z rodziną. – Myślę, że niebawem Państwo Islamskie znów przejmie kontrolę nad rezerwami surowców w Dajr az-Zaur. Wtedy bardzo szybko się odbuduje. Zwłaszcza że w miastach odbitych przez Kurdów mieszka jeszcze wielu Arabów tęskniących za kalifatem – martwi się Ahmed Ramadan, dziennikarz syryjskiego portalu Euphrates Post.

Tymczasem ludzie w Ras al-Ajn pozostali próbują jakoś żyć. Ulice są puste, widać pierwsze zniszczenia: wybite szyby i szkielety spalonych budynków. Wszędzie czuć spaleniznę.

Dilanowi udało się w końcu dostać z miasta. Pojechał z rodziną do teściów na południu Syrii. Natomiast Afrim nadal przebywa w Ras al-Ajn. – Czego oni od nas chcą? Przecież poza ludźmi chcącymi spokojnie żyć nic tu nie ma – dziwi się, dalej powtarzając, że nigdzie nie wyjedzie. Bo niby dokąd? Jednak gdy zauważył na drzwiach swojego domu plakat wychwalający Państwo Islamskie, przeprowadził się na kilka dni do przyjaciół dwie ulice dalej. – Dziś wróciłem do siebie tylko na chwilę, po lekarstwa – mówi.

Wojciech Osiński

**Historia oczyma
Ślązaków, których
los rzucił za
Pireneje, a potem
rozsiał po całym
świecie.**

DARIUSZ ZALEGA

**ŚLĄSK
ZBUNTOWANY**

CZARNE.COM.PL

Logo of various publishers and media outlets: P, TVS, Le Monde diplomatique, etc.



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Martwy Sejm żywo radzi

Jest coś symbolicznie upokarzającego w tym, że kilka dni po wyborach, już po ogłoszeniu wyników, stary, nieistniejący Sejm z wieloma „bohaterami”, którzy w nowym nie zasiądą – jak choćby Stanisław „prokurator piękne życie” Piotrowicz, Krzysztof „cicha woda mediów narodowych” Czabański, Anna „na drugie Rydzyk” Sobocka, Marek „pięć piw sprzedam” Jakubiak i Bernadeta „pielęgniarka, która nienawidzi niepełnosprawnych” Krynicka – obraduje w najlepsze, debatuje w dawnym stylu, uchwała i proceduje. Żeby dziwaczność tych działań podnieść do kwadratu absurdu, martwy Sejm, który narodził się z niemego (tak często nazywano ten poprzedniej kadencji, w którym opozycja nie miała głosu, pozbawiano ją

pomagających metod zapobiegania aktem przemocy seksualnej wobec dzieci. Dziecko świadome trudniej podejść i wykorzystać. Dlatego PiS, po bandzie, choć jeszcze za gwałty na dzieciach nie przyznaje Orła Białego, karać chce tych/te, którzy ucząc, bronią, edukując, zastępują rodziców, szkołę, i rugują w ten sposób jedynego realnego edukatora – powszechnie dostępną pornografię.

No cóż, jeśli ta partia wybiera na stanowisko szefa Najwyższej Izby Kontroli kogoś, kto w dziwnych, niejasnych, niewyjaśnionych okolicznościach wchodzi w posiadanie kamienicy w Krakowie, a potem pod pozorem tworzenia domu pielgrzyma za unijne dotacje czerpie zyski z działającego tam przez lata domu

dy bito w Polsce osoby o innej karnacji, z okrzykami „j... uchodźców”, w tym samym czasie trwała nawałnica propagandowa wymierzona właśnie w uchodźców, których Polska *de facto* w ogóle nie wpuszczała. Kiedy sączona mowa nienawiści – jakie tam sączona, wałęsa po głowach z siłą wodospadów – dotyczy środowiska mniejszościowe, słabych, nie-licznych, wzmacniając ich stygmatyzację, dążąc do ich separacji, zastraszenia, martwy Sejm zajmuje się ochroną hegemonu ideologicznego utuczonego majątkiem publicznym i usiłuje nam wmówić, że to katolicyzm jest łżony i atakowany. Cztery lata kłamstw, deprawacji obyczajów, poczucia całkowitej bezkarności sprawiają, że w tym klimacie postłowie/postanki PiS, „zombie demokratycznej większości”, czują się jak ryby w wodzie. Rechocą z za swojego parlamentarnego grobu.

W tym samym czasie samotna Ula M. Kitlasz stoi pod ambasadą Turcji, protestując przeciwko zagładzie Kurdów. A nowe postanki stoją przed Sejmem, bo mają wydany przez poprzedniego marszałka zakaz wstępu do niego.

Popkulturowe zalecenia, jak zabić zombie, są jednoznaczne. Trzeba strzelać w głowę. Ale jeśli parlamentarne zombie to jakaś mutacja i trafisz w pustkę? Martwy Sejm złóżmy już do grobu, wystarczająco dużo starych problemów będzie z młodym.

go, wyłączano jej mikrofony, karano za wypowiedzi), zajął się niecierpiącą zwłoki (jak na martwy Sejm przystało) kwestią penalizowania edukacji seksualnej.

Niewyobrażalną kuriozalnością projektu wprowadzonego przez najsłynniejszych środowiska religijnych fundamentalistów – nie, nie islamskich, naszych, rzymskokatolickich – usiłuje się przykryć całkowitą bierność państwa, jego wycofanie się ze ścigania, zbadania odpowiedzialności polskiego Kościoła za tuszowanie i lekceważenie znanych publicznie i ujawnionych aktów przestępczych o charakterze przemocy seksualnej wobec dzieci, których sprawcami byli katolicy księża. W tej sprawie państwo polskie, prokuratorzy i policja nawet nie otworzyli żadnego skorozysku. A ponieważ w tym sezonie Prawo i Sprawiedliwość wylosowało na wroga publicznego numer jeden środowiska i aktywistów/aktywistki ruchów LGBT, wektor oskarżenia powędrował w ich kierunku. Została zaatakowana edukacja seksualna, która jest jedną ze skutecznie funkcjonujących i realnie

publicznego – to może nie ma się co dziwić. Prezes Banaś opiera się zresztą naciskom Prezesanadprezesami Kaczyńskiego, żeby ustąpił ze stanowiska. Przecież Banaś nie może każdemu pielgrzymowi zaglądać pod koldrę, nieprawdaż? To byłby Orwell i Stalin. Wolny rynek cieszy się, że kamienica zarabia.

Martwy Sejm, wsparty zresztą przez grupę posłów i posłanek Platformy Obywatelskiej z kandydatką na premiera Małgorzatą Kidawą-Błońską, niestety, uchwalił kolejny zadziwiający dokument, zwany uchwałą „w sprawie potępienia wszelkich aktów nienawiści i pogardy antykatolickiej”. Metoda stosowana konsekwentnie przez polską prawnicę, żeby oskarżać ofiary przemocy o przemoc, za którą sama odpowiada, generuje ją, pobudza i wzmacnia, stała się już specjalnością kuchni tych formacji. Kiedy akty bezpośredniej agresji dotyczą albo manifestujących, albo pojedyncze osoby związane lub kojarzone ze światem ruchów czy aktywności LGBT – ostrze rządowej, państwowej maszyny zostaje wymierzone właśnie w nich. Kie-

ROMAN KURKIEWICZ

POWIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Wojciech Osiński

Premier Etiopii Abiy Ahmed Ali już od dłuższego czasu był jednym z faworytów do Pokojowej Nagrody Nobla, przede wszystkim za pojednanie z odwiecznym wrogiem – Erytreą.

Popularność zawdzięcza głównie temu, że jego obietnice nie okazały się wyłącznie wyborczą retoryką. Świeżo upieczony noblista podsumowuje dziś swoją dotychczasową politykę jednym hasłem: *Medemer* (jednoczyć, pojednać). To zobowiązanie zostało przezeń spełnione w zawrotnym tempie. Zaledwie kilka miesięcy po objęciu teki szefa rządu w kwietniu 2018 r. 43-letni Abiy Ahmed Ali zawarł pokój z sąsiednią Erytreą, z którą Etiopię łączy i dzieli krwawa historia.

W żadnej chyba innej sprawie nie przejawiała się u etiopskich rządzących taka niedojrzałość polityczna i płynące z niej niezrozumienie konieczności zażegnania konfliktu, toteż za swoje historyczne osiągnięcie premier już miesiąc temu został uhonorowany w Niemczech Pokojową Nagrodą Hesji. Niektórzy porównują go z innym noblistą – Barackiem Obamą. I podobnie jak dziesięć lat temu w wypadku byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych szybko pojawiły się w mediach wątpliwości, czy przyznanie tej prestiżowej nagrody nie było przedwczesne. „Czy na Pokojową Nagrodę Nobla zasługuje człowiek, który rządzi swoim krajem od półtora roku? Który wcześniej był zwolennikiem autorytarnego rządu i sam jako młody żołnierz walczył z Erytreą? Który nie potrafił sobie poradzić z konfliktami etnicznymi we własnym kraju?”, pyta niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Konflikt z Erytreą

Z drugiej strony nagroda przyznawana – w tym roku po raz setny – przez Norweski Komitet Noblowski ma być dla laureatów także wsparciem na obranej drodze i zachętą do kontynuacji działań. Z tego punktu widzenia podjęto decyzję najrozsądniejszą z możliwych.

Wbrew wszelkim przeciwnościom poparcie Etiopczyków dla kursu zainicjowanego przez szefa rządu nadal

Noblista Abiy Ahmed Ali podsumowuje dziś swoją dotychczasową politykę hasłem: *Medemer* (jednoczyć).



Etiopski Obama

Pokojowy Nobel dla premiera Etiopii jest wsparciem na drodze do pokoju z Erytreą. Ale do trwałej zgody jeszcze daleko

jest wysokie, a przyznanie mu nagrody zwraca uwagę świata na targany konfliktami etnicznymi Półwysep Somalijski, wciąż pogrążający się w biedzie i potrzebujący od Zachodu bardziej pomocy niż medialnych laurów. Wymaga wsparcia, które uczyni dotychczasowe działania premiera nieodwracalnymi.

Większość Etiopczyków ma dość niszczącego ich ojczyznę konfliktu

z Erytreą (nazywaną przez zachodnich komentatorów Koreą Północną Afryki), ochoczo podkrecanego także przez własne elity. Gdy w 1993 r. Erytrea ogłosiła niepodległość, Etiopia straciła dostęp do Morza Czerwonego. Pięć lat później wybuchła między tymi spokrewnionymi krajami tzw. wojna graniczna, która w ciągu zaledwie dwóch lat pochłonęła ponad 90 tys. ofiar śmiertelnych. Granica rozdzieliła wiele rodzin, dlatego mimo podsycanej przez oficjalną propagandę nienawiści duża część mieszkańców regionu trwała w przeświadczeniu o jedności Etiopii i Erytrei.

Odpężenie na linii Addis Abeba-Asmara jest rzeczywiście w dużej mierze zasługą nowego premiera, który odmienia oblicze swojego kraju w rekordowym tempie, nie tylko w kwestii stosunków z Erytreą. Zniósł trwający od lat stan wyjątkowy i doprowadził do uchwalenia ustawy o amnestii, otwierającej bramy kilkuset więzień, w których przetrzymywano tysiące dysydentów. Przeprószył ich też oficjalnie za krzywdy i za swoich poprzedników. Zapowiedział

również m.in. stopniową prywatyzację koncernów państwowych i dalsze reformy, które mają zdemokratyzować Etiopię.

Nie dziwi więc, że uśmiechniętą twarz szefa rządu widać nie tylko na plakatach i transparentach, ale także na ścianach barów i bibliotek, a nawet w prywatnych domach. I nie jest to zarządzane odgórnie, Etiopczycy robią to z własnej woli. Nawet taksówkarze mają małe zdjęcia premiera w samochodach.

Abiy Ahmed Ali, syn muzułmanki i chrześcijanki, zdaniem rodaków ma umiejętności pozwalające mu pojednać kilkadziesiąt grup etnicznych żyjących w Etiopii. Z tym przekazem trafił zwłaszcza do młodych ludzi, a ci uwierzyli, że ich lider może zmodernizować kraj, który z ponad 203 mln mieszkańców jest drugim po Nigerii najludniejszym państwem w Afryce, a zarazem jednym z najuboższych.

Wykształcony parweniusz

Urodzony 15 sierpnia 1976 r. w etiopskim miasteczku Beshasha Abiy Ahmed jest jakby ucieleśnieniem plemiennego pojednania. Jego ojciec jest muzułmaninem z etiopskiej grupy etnicznej Oromo, matka zaś chrześcijanką, należącą do drugiej największej grupy w kraju – Amharów. Abiy – Etiopczycy zwracają się nawet do swoich elit po imieniu – studiował m.in. ekonomię i informatykę, także w USA.

Wojna graniczna między Etiopią a Erytreą w ciągu dwóch lat pochłonęła ponad 90 tys. ofiar śmiertelnych.

W pracy doktorskiej zatytułowanej „Rozwiązania w konfliktach religijnych” poruszył jednak zagadnienia socjologiczne.

Zalewające łamy etiopskich gazet porównania z Barackiem Obamą nie są zupełnie pozbawione trafności. Jak wiadomo, były prezydent USA prowadził wojny i to mu nie zaszkodziło. Także Abiy nie jest jedynie koncyliacyjnym pacyfistą. Etiopskie wojsko zna od podszewki. Był wzorowym żołnierzem, dosłużył się stopnia podpułkownika. Po ludobójstwie dokonanym w Ruandzie był w kontyngencie wojsk ONZ. W woj-

nie granicznej strzelał do erytrejskich żołnierzy. Odpowiadał wtedy za służby wywiadowcze, które kontrolowały media elektroniczne i zbierały informacje o odszczepieńcach. Należał do Etiopskiego Ludowego Frontu Rewolucyjno-Demokratycznego (EPRDF), który w 1991 r. obalił rządy Mengystu Hajle Marjama. Ruch ten miał na początku wyraźny profil lewicowy, jednak w trakcie rządów EPRDF porzucił marksistowskie poglądy i przeistoczył się w partię wyznawców kapitalizmu, zręcznie przyczyniających

Zaledwie kilka miesięcy po objęciu teki szefa rządu Etiopii Abiy Ahmed Ali zawarł pokój z sąsiednią Erytreą.

się do szybkiego wzrostu gospodarczego w Etiopii. Władze EPRDF były zdominowane przez wpływowych ludzi Tigrajskiego Ludowego Frontu Wyzwolenia, którzy po transformacji ustrojowej zaczęli ulegać dyktatorskim zapędom. Abiy był wtedy typowym politycznym parweniuszem, sprytnie i swobodnie poruszającym się w tym środowisku. Był wszędzie, a zarazem nikomu nie podpadał, niepostrzeżenie wspinając się po szczeblach kariery. Gdy jego nieulubiany przez Etiopczyków poprzednik Hajle Marjam Desalegne podał się w lutym 2018 r. do dymisji, żaden bukmacher polityczny nie miał Abiyego na liście kandydatów. Mimo to wkrótce został on szefem rządu, głównie dzięki swojemu pochodzeniu oraz specjalizacji

przedstawicieli prawie wszystkich grup etnicznych w Etiopii, zwłaszcza młodych ludzi. Można wręcz odnieść wrażenie, że szef etiopskiego rządu tchnął w nich ducha obywatelskiego. Młodzież czyta dziś gazety, śledzi programy informacyjne tylko dlatego, by nie przegapić ani jednego newsa o nowym premierze, który przemawia jej głosem. Natomiast zachodnie media rozpisują się o Abiymanii na Półwyspie Somalijskim, która jednak w ostatnich miesiącach trochę osłabła. Przeciwnicy

premiera podnoszą głowę, a niepokoje, podsycane przez etiopskich separatystów, przybierają na sile. Powodem sceptycyzmu są także więzi Abiyego z Chinami, które kłóca się z wysyłanymi w świat sygnałami o demokratyzacji i zmierzaniu etiopskiej gospodarki ku Zachodowi. Z drugiej strony to Pekin skierował do Rogu Afryki duży strumień pieniędzy, które zasiłowały etiopską infrastrukturę oraz oświatę.

W czasach narastających konfliktów etnicznych Etiopczycy obawiają się, że wszystko może powrócić na dawne tory, a charyzma premiera w końcu zacznie się kruszyć, nie pozwalając mu przełamać wciąż powszechnego stereotypu polityka rządzącego twardą ręką. – Stare elity zostały odesłane do lamusa, ale stary system istnieje. Pałowanie opozycjonistów na ulicach wciąż jest na porządku dziennym – twierdzi Bethlehem Tilahun, przedsiębiorczyni z Addis Abeby. – Abiy zachowuje się jak reformator i pacyfista, ale jest też zdyscyplinowanym wojskowym. Dlatego zawczasu wyrzucił wszystkich generałów, którzy mogli się okazać niewygodni. Pucz przeciwko niemu jest więc mało prawdopodobny. Ale jeśli jego reformy zawiodą, szybko zostanie skonfrontowany z niechęcią narodu. Gdyby doszło do ludowego powstania, bez mrugnięcia okiem by interweniował, sięgając po wszystkie środki, jakie ma do dyspozycji. Przecież jest częścią tego systemu.

W istocie nie wszyscy polubili reformatora z plemienia Oro- ▶

Pierwszy premier z Oromów

Znamienne, że najszybciej Abiy został zaakceptowany przez swoich braci plemiennych. Jest bowiem pierwszym premierem z marginalizowanej często w historii Etiopii grupy Oromo, co było zresztą niemałą sensacją w środowisku politycznym Addis Abeby. Dziś ma on za sobą

► mów. W czerwcu 2018 r. na jednym z wieców ktoś rzucił w jego kierunku granaty. Premier nie odniósł obrażeń, ale zginęły dwie inne osoby, a 156 zostało rannych. W lipcu 2018 r. zabito inżyniera, który na zlecenie rządu budował w kraju nowe zapory. Na południu i wschodzie nadal rywalizują rozmaite grupy etniczne. W sierpniu 2018 r. w regionie graniczącym z Somalią etiopski rząd udaremnił powstańcze zapędy Abdiego Mohamuda Omara, który nie akceptował rządu Abiyego.

70% z ponad 203 mln mieszkańców Etiopii nie ukończyło 30. roku życia. 40 mln młodych nie ma stałej pracy.

Niektórzy etiopscy generałowie ubolewają, że nowy premier za szybko forsuje swoją rewolucję. We wrześniu 2018 r. żołnierze zaatakowali jego kancelarię. Abiy uspokoił buntowników, namawiając ich do... wspólnego robienia pompek. Natomiast zdaniem etiopskich ultranacjonalistów szef rządu jest zbyt umiarkowany i przeprowadza zmiany za wolno. On sam dochodzi zaś obecnie do wniosku, że niektóre gesty pojednawcze zaczynają mu się odbijać czkawką. W czerwcu br. doszło w regionie zamieszkanym przez Amharów do próby zamachu przeciwko jego rządowi. Przywódca

puczystów, gen. Asaminew Tsige, był jednym z więźniów politycznych objętych amnestią z 2018 r.

Rozhuśtane emocje

Na razie Abiy Ahmed, ojciec trzech córek, skupia się na zarządzaniu rozhuśtanymi emocjami tej części Etiopczyków, która okazała się podatna na hasła o zmianach ekonomicznych. Ale kiedyś zostanie przez nich rozliczony. W każdym razie pierwsze kroki zostały poczynione.

Na ulicach Addis Abeby praca wre, wszędzie widać dźwigi i słychać wiercenie. Szkoda by było, gdyby te projekty nie zostały zakończone. Ale również w tym kontekście Pokojowa Nagroda Nobla może rozbudzić nowe nadzieje i zachęcić Abiyego do kontynuacji dotychczasowego kursu, a także większego zaangażowania Zachodu. Pomoc bowiem – bez względu na to, w jakiej formie – na pewno jest potrzebna. 70% mieszkańców Etiopii nie ukończyło 30. roku życia. 40 mln młodych nie ma stałej pracy. Niektórym ekspertom od Afryki etiopska rewolucja przypomina w pewnym stopniu fenomen polskiej Solidarności lub upadek muru berlińskiego. Jednak w przeciwieństwie do Solidarności dotąd była na Zachodzie niemal niezauważana. A mamy do czynienia z przełomem, głośnym sygnałem dla pozostałych państw afrykańskich. Późni reformami Abiy pokazuje Europie i Ameryce, że Róg Afryki otworzył się na ich wsparcie.

Pomocy potrzebuje Etiopia także w konflikcie z Erytreą, który bynajmniej nie jest zakończony. Przeciwnie, zdaniem wielu Etiopczyków rozpalone w 2018 r. nadzieje się rozwiały. Po zawarciu historycznego porozumienia w ubiegłym roku nie dochodziło do częstych rozmów Abiyego Ahmeda z prezydentem Erytrei Isajasem Afewerkim. Euforia wywołana otwarciem granic i zjednoczeniem wielu rodzin opadła, gdy znów uszczelniono przejścia graniczne. I chociaż znane nam z przeszłości dramatyczne zdjęcia

wygłodniałych etiopskich dzieci raczej już nie są aktualne, wiele rodzin wciąż nie wie, czy wieczorem będzie w stanie dać swoim pociechom kolację.

Z drugiej strony trudno nie zauważyć w Addis Abebie zmiany stylu polityki i retoryki używanej przez elity. Połowa rządu Abiyego to kobiety, co jeszcze kilka lat temu było niewyobrażalne. W każdym wystąpieniu premier mówi o miłości i pojednaniu, prawach człowieka i demokracji. Po przejęciu rządów zalegalizował także szereg zakazanych wcześniej partii. Ponadto starał się o poprawę stosunków nie tylko z Erytreą, lecz również z innymi sąsiednimi krajami pogrążonymi w kryzysach wewnętrznych: z Sudanem, Somalią, Sudanem Południowym i Kenią. Przyznanie mu Pokojowej Nagrody Nobla może przekonać władców państw Półwyspu Somalijskiego do przeprowadzenia podobnych demokratycznych zmian.

Będą one jednak niezwykle trudne, co widać zresztą w samej Etiopii, gdzie pojednawcze słowa Abiyego kolidują z brutalną rzeczywistością. Od wiosny 2018 r. wyraźnie nasiliła się przemoc w kraju, w którym istnieje ok. 80 grup etnicznych i przynajmniej tyle samo dialektów i języków. Na porządku dziennym są zabójstwa. Wskutek zatargów plemiennych milion Etiopczyków opuściło domy i stało się uchodźcami we własnej ojczyźnie. To, że owe konflikty rozładują się akurat za rządów Abiyego, jest częściowo zrozumiałe. Przez dziesięciolecia rządzą w Etiopii przedstawiciele mniejszości Tigraczyków, która utrzymywała posłuch za pomocą kontroli i totalitarnej przemocy.

W etiopskim kotle etnicznym zebrało się sporo nienawiści. Teraz, w ramach procesu demokratyzacji i wprowadzenia pewnych swobód, poniżane wcześniej plemiona dochodzą do głosu i sięgają po broń. Abiy Ahmed Ali, laureat tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla, jest dziś już znany i podziwiany w wielu miejscach świata. Ojczyzna jednak należne laury przyzna mu dopiero wtedy, gdy uda mu się zaprowadzić prawdziwy pokój i pogodzić zwaśnionych rodaków.

Wojciech Osiński

Pisowskie media
tłamały ciszę wyborczą
– pisze tygodnik „NIE”
w najnowszym numerze.
Co na to pisowska
prokuratura? Nic.





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kroplówka z wody święcanej

Najbardziej żywotną z legend miejskich mojego dzieciństwa była ta o czarnej wołdze. Straszyla nie tylko sprzecznymi informacjami na temat tego, kto do niej porywa dzieci (najczęściej mówiono, że spocony katabas). Wołga jako samochód była już *passé*, po ulicach błąkała się rzadko, by nie rzec od święta (Pracy), próżno było szukać modelu wołgi wśród zabawek, nie sposób było ją wypatrzyć przez okno. Był to więc pojazd w dwójnasób mityczny, wszyscy mówili „wołga, wołga”, a ja nigdy wołgi nie widziałem.

Aż do czasu pogrzebu starej polonistki, dawnej dyrektorki szkoły, do czasu pierwszego marsza żałobnego, na który mnie zaciągnięto. Wszystkie klasy szły karnie dwójkami do momentu, w którym oczom działwy ukazał się karawan – czarna wołga, a jakże. Na jej widok kondukt się rozpięchł, kto miał blisko do domu, brał ze sobą tych, którzy dojeżdżali, i wialiśmy najkrótszą drogą pod rodzinne dachy, żeby rodzicom naskarżyć: „Przyjechali po nas!”.

Od tamtej pory lata całe stroniłem od ceremonii żałobnych, omijałem zakłady pogrzebowe, nawet kiedy wołgi zostały wyparte przez czarne mercedesy, a moje dzieci dawno już były starsze ode mnie z tamtej cmentarnej przygody. Na wszelkie funeralia katolickie mam podświadomą alergię, pocę się, oddech mi przyśpiesza, zaczynam nerwowo chichotać; wszystkich moich drogich pogrzebanych w tym miejscu przepraszam, teraz już wiecie, czemu nie przyszedłem. Jak zemrze ktoś naprawdę bliski, iść trzeba, ale staram się ulokować gdzieś z tyłu, z boku, byle nie w czołe konduktu, byle z dala od rozwartej paszczy czarnego auta, w którym trumna wystawiona szczerzy się i szepcze do mnie memento: „Będziesz następny”. Psy szczekają, karawan jedzie dalej, co komu po moim ataku paniki.

Chowaliśmy niedawno ojca, trzeba było iść w samym czubie z matką pod rękę, podtrzymywać nie tylko na duchu, wszak leciwa. Żeby wytrzymać, wpatrywałem się w drewnianą urnę, wbijałem wzrok w jej harmonijny, symetryczny kształt i jasną, ciepłą barwę. Ojciec dawno nie wyglądał tak dobrze – pomyślałem. „Tato, świetnie wyglądasz”, dodałem półgłosem i dalej już jakoś poszło. Obyło się bez siódmych potów i drzączki. Ach, może z pogrzebem ojca i lęk został pogrzebany, mara odleciała – żywiłem nadzieję przez kilka tygodni, póki się nie wybrałem na przejażdżkę po „sudeckich Bieszczadach”, odległych wioskach Gór Złotych. Jakiś kościółek poniemiecki ładnie mi się wpisał w landszaft, chciałem obejść, żeby zdjęcie zrobić od strony słonecznej – i tu nagle dopadło mnie, wszystkie lęki chmarą się zleciały: jest! Czekają na mnie! To nie koszmar dziecięcy, lecz nowa rzeczywistość! Oto stoi pod kościołem czarny trabant, na dachu ma migoczącego

koguta w kształcie biretu, na boku napis „Pogotowie Duszpasterskie”. Fuzja NFZ z Episkopatem? To nie fejk, w Polsce najpierw się dzwoni po księdza, potem po medyka, ostatecznie namaszczenie jest ważniejsze niż reanimacja. Ksiądz polski się poczuwa w wielu wymiarach, ma dobre samopoczucie – zadzwonisz, przyjedzie wypowiadać, na stan zapalny duszy poda Słowo Boże, podepnie kroplówkę z wody święcanej i dopomoże rozwiązać wątpliwości, na kogo zagłosować. W ciszy przedwyborczej od Odry do Bugu rozlegał się gromki szepc w konfesjonatach: „Ojcie, zgrzeszyłem...”. „W ramach pokuty odmówisz koronkę, różaniec i zagłosujesz na PiS”. Że co, sumienie ci nie pozwala? Widać, kopnąłeś się w rachunku sumienia, zrób go jeszcze raz, bo rozgrzeszenia nie będzie. Szach-mat.



Kościół wygrywa wybory w Polsce komu trzeba, to i domaga się zapłaty. Stąd forsowanie specustawy przeciw edukatorom seksualnym cwaniacko przeniesione na powyborcze posiedzenie starego Sejmu. Stąd uchwała potępiająca prześladowanie katolików, jakby co najmniej karmiono nimi lwy w ogrodach zoologicznych. A mnie to tylko bawi, bo moja pierwsza myśl powyborcza wcale nie jest smutna. PiS dało ludowi najtłustszą kiełbasę, dokonało proletariackiej inwersji wartości i hierarchii społecznej (inteligencja wypierdalać, teraz Zenek tańczy na gumnie i jest mu dumnie), do tego dysponowało szczekaczką Kur-wizji i karmazynową mafią szantażującą owczarnię grzechem wyborczym, a mimo to wyróżnęło tłem o sufit. Nachalna, bezprecedensowa agitacja, ordynarny sojusznik tronu i ołtarza nie przyniósł oczekiwanych wyników. Szpetne Kaczętko nie dostało nowej zabawki w postaci większości konstytucyjnej, w dodatku straciło ulubioną senacką maszynkę do przepychania ustaw. Został niesmak wśród refleksyjnej części wspólnoty polskich chrześcijan. Kościoły będą puścić jeszcze szybciej.

Nauczyciel między ideologią a martyrologią

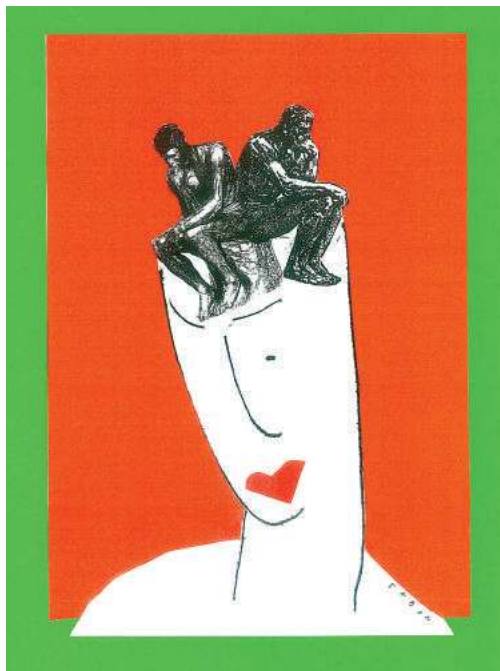
„Prześniona rewolucja” Ledera i „Fantomowe ciało króla” Sowy pomagają uczniom i studentom zrozumieć, przed jakimi wyborami stawali nasi przodkowie

Stanisław Bieleń

Jako nauczyciel akademicki mam podobne strapienia jak nauczyciele szkół podstawowych i średnich. Martwi mnie stan systemu szkolnictwa i edukacji w naszym kraju i skutki nieprzemyślnych reform, które tak naprawdę odczuwamy dopiero za jakiś czas. Bo przecież chodzi nie tylko o bieżącą organizację i obniżanie standardów zawodu nauczycielskiego, ale także o powstające w umysłach młodych ludzi szkody, których nie da się łatwo naprawić.

Jako nauczyciela martwi mnie postępująca ideologizacja życia szkoły w Polsce. A przecież szkoły publiczne – od podstawowych po wyższe – nie powinny być ani lewicowe, ani prawicowe, ani religijne, ani ateistyczne. Powinny być neutralne światopoglądowo. Tylko wtedy będą mogły realizować misję profesjonalnego kształcenia i poszukiwania prawdy. Ich neutralność światopoglądowa wcale nie musi być sprzeczna z nowocześnie pojmowanym patriotyzmem.

Polska szkoła jest obciążona nie tylko ideologią, ale i polityką historyczną. Jerzy Giedroyc mawiał, że Polską rządzą dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego. Nie było w tej metaforze przesady. Martyrologia i heroizacja historii stały się podstawą edukacji historycznej. Zamiast dostrzegać i pokazywać złożoność zjawisk i procesów historycznych, dokonuje się uproszczeń, manipulacji i zafałszowań. Najlepiej widać to na przykładzie historii Polski Ludowej. Nawet pokolenia urodzone i wykształcone w tamtej epoce mają problem z własną tożsamością. Wypowiedzi polityków i większości mediów rażą ahistorycznością, prowincjonalnym zacietrzewieniem



i chęcią wymazania tamtego czasu. Najwyżsi funkcjonariusze państwowi oświadczają, że w latach 50. czy 60. zeszłego wieku Polski jako państwa nie było. Jak zatem wytłumaczyć uczniowi i studentowi, że w tym czasie funkcjonowały w miarę sprawnie instytucje państwowe, w tym całkiem niezłe szkoły, a Polska miała pełne uznanie prawnomiędzynarodowe. Jak wyjaśnić osobliwą schizofrenię polityków, objawiającą się tym, że gdy trzeba zaatakować tzw. komunę, to wyrzekają się polskiej państwowości, ale gdy trzeba się pochwalić osiągnięciami, to przywołuje się sukcesy polskiej szkoły filmowej, literatury i sztuki czy przynależność do ONZ i kilkakrotne zasiadanie Polski w charakterze niestałego członka w Radzie Bezpieczeństwa.

Przede wszystkim zapomina się o uwarunkowaniach geopolitycznych tamtego czasu. Zapomina się także o wielkich zmianach społecznych po okrutnej wojnie. Zwłaszcza

na wsi, gdzie po reformie rolnej dotychczasowe stosunki społeczne wywróciły się do góry nogami. Zniknęły ziemiaństwo i zależności na poły feudalne, ubyła liczna mniejszość żydowska, ale pozostały tego uciążliwe konsekwencje mentalne – bolesna pamięć o cierpieniach i rozszczeniach zgłaszane do dzisiaj. Dokonał się jednak ogromny awans społeczny, otwarcie karier dla młodych ludzi, budowa przemysłu, urbanizacja kraju, likwidacja analfabetyzmu i wiele innych. Dziś jakby ze wstydem przyznajemy się do tych przełomowych dla polskiego społeczeństwa przemian. A przecież bez nich, bez tej podstawy, nie byłoby osiągnięć po 1989 r. Historia, nawet ta nie lubiana i traumatyczna, ma swoją ciągłość. Wszelkie traumy wymagają solidnego przepracowania, terapeutycznego podejścia, a nie wypychania z pamięci. Jeśli nie przeprowadzimy takiej terapii z należytą starannością i w szkole, i w domach, rodzinach, i w kościołach – będą powracać złe emocje i podsycanie zbiorowych frustracji.

Zdaję sobie sprawę, że nauczyciele często mierzą się z problemem, jak ugryźć dany temat, skąd czerpać wiedzę, która nie miałaby piętna narracji zabarwionej politycznie. Otóż zawsze radzę w takich sytuacjach, aby sięgać do mądrych książek, które pozwolą przekazać uczniom pogłębioną refleksję na temat naszej powojennej tożsamości. Taką książką jest esej Andrzeja Ledera „Prześniona rewolucja”. Inną, trudniejszą w odbiorze i wymagającą skupienia, jest dzieło Jana Sowy „Fantomowe ciało króla”. Książki te pomagają uczniom i studentom zrozumieć, przed jakimi wyborami stawali nasi przodkowie i dlaczego skutki tych wyborów, bądź ich zaniechań, są dla nas ważne. Dla

czego historia w każdej epoce staje się instrumentem bieżącej polityki? Jak uodparniać się na dogmatyzację prawd historycznych, które – jak się okazuje – są jedynie formułowaną przez dane pokolenie wygodną narracją polityczną?

Jaką pamięć i wiedzę „wgrać” do głów naszych wychowanków, aby wyrosli z nich ludzie wrażliwi, zdolni do krytycznego myślenia i samodzielnego poszukiwania prawdy, odróżniający dobro od zła, kreatywni i obdarzeni wyobraźnią, co pozwoli im sprostać wyzwaniom tak dynamicznie zmieniającego się świata? Jako nauczyciele musimy mieć świadomość, że wykształcony dzisiaj w szkole czy na uczelni młody człowiek w wieku produkcyjnym będzie musiał – zdaniem ekspertów – zmieniać zawód kilkadziesiąt razy ze względu na nowe technologie i organizację pracy. Jak zatem przygotować go do wyzwań globalnego rynku pracy, którego dzisiaj nie jesteśmy w stanie zdefiniować?

Jako nauczyciele musimy zaszczerpieć uczniom bakcyli ciągłego po-

szukiwania odpowiedzi na trapiące nas pytania, uczyć umiejętności ich zadawania, ciekawości świata, szukania argumentów do uzasadniania swoich opinii, ale także respektu dla argumentacji partnera i oponenta. Warto przekonywać uczniów, aby zanim kogoś oceniają, zanim wydadzą werdykt na temat danego zjawiska, zastanowili się nad jego złożonością, poznali uwarunkowania, genezę,

Nauczyciele często mierzą się z problemem, jak ugryźć dany temat, skąd czerpać wiedzę.

okoliczności funkcjonowania i konsekwencje z perspektywy czasu, w którym to zjawisko miało miejsce.

Zadaniem nauczyciela jest przygotowanie młodego człowieka do życia w społeczeństwie obywatelskim i państwie demokratycznym. Chodzi o to, aby uświadamiać młodym ludziom realne konsekwencje ich własnych wyborów politycznych. Istotą jest nie agitowanie za jakąś partią czy przeciw niej, ale odnoszenie się do rozwiązań ustrojowych – jakiego chcemy państwa:

praworządnego i tolerancyjnego czy autorytarnego i ksenofobicznego, otwartego na ludzi i ich kariery zbudowane na kompetencjach czy państwa zamkniętego i opresyjnego, opartego na nepotyzmie i układach klientelistycznych.

Pamiętajmy, że prawie każdej władzy zależy na tym, aby mieć wyborców posłusznych i lojalnych, bezrefleksyjnie wykonujących polecenia płynące z góry. Dlatego samodzielne, wewnątrzsterowne myślenie jest potrzebne zarówno w humanistyce, jak i w naukach ścisłych. To, że

może ono być niebezpieczne dla władzy, nie powinno nas zniechęcać do realizowania się w naszym wspaniałym zawodzie nauczycielskim z pasją i zaangażowaniem.

Tekst ten zakończę starą maksymą Seneki: *Docendo discimus!* Nauczyciele, ucząc innych, sami się uczą. I tego im życzę. To esencja zawodu nauczycielskiego.

Stanisław Bieliń jest profesorem na Wydziale Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego



Filharmonia
Narodowa

filharmonia.pl

2019 / 2020

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

***sluchaj i oglądaj
gdzie chcesz***

transmisje internetowe

2019: **27.09 / 5.10 / 2.11 / 7.12**

2020: **11.01 / 1.02 / 18.04 / 6.06**

Zrobiłbym to jeszcze raz

Gdyby nie zaradność szeregowych policjantów, policja już dawno by się rozpadła

Rozmawia Arkadiusz Panasiuk

Niedługo minie rok, jak zostałeś wyrzucony z policji. Oficjalnie z powodu „wielomiesięcznej absencji w pracy”. W tym czasie napisałeś „Psy przewencji”, przegrałeś przed sądem administracyjnym proces o przywrócenie do służby, a byli przełożeni z Komendy Miejskiej Policji w Białymstoku donoszą na ciebie do prokuratury, że ich pomawiasz.

– Taką taktykę przyjęli komendanci Komendy Wojewódzkiej Policji i Komendy Miejskiej Policji w Białymstoku. Nie tylko wobec mnie, ale też wobec kilku moich kolegów. Owszem, byłem na L4, nie ukrywam tego i nie wstydę się. Mam orzeczenia komisji lekarskich o chorobach powstałych w związku ze służbą. I nie są to choroby spowodowane tym, że przełożony na mnie kichnął. Zarzucono mi publicznie, że przebywałem na zwolnieniach, ale nie powiedziano, że w 80% było to związane z pracą w resorcie. A ta moja rzekomo skandaliczna absencja w pracy była konsekwencją wypadku, któremu uległem, gdy ratowałem tonące własne dziecko. Wówczas oprócz urazów fizycznych odnowiły się problemy związane z traumą w służbie, nerwice, depresja i stany lękowe.

Do ówczesnego komendanta miejskiego policji w Białymstoku Wojciecha Macutkiewicza napisałem raport o skierowanie mnie na komisję lekarską w celu udzielenia mi urlopu na poratowanie zdrowia. Zgodnie z ustawą o poli-

NORBERT GRZEGORZ KOŚCIESZA

– były policjant, autor książek dla dzieci i powieści policyjnych z autobiograficznym kluczem

cji i ustawą o komisjach lekarskich komendant skierował mnie na taką komisję, po czym w dniu zebrania się komisji lekarskiej dowiedziałem się, że wycofał się z procedowania mojej prośby o urlop, gdyż – jak stwierdził – ma jednak prawo do zwolnienia mnie ze służby. Skorzystał po prostu z luki prawnej, bo obie ustawy się wykluczają. Ustawa o policji mówi o możliwości zwolnienia policjanta po przekroczeniu roku absencji (art. 41 ust. 2 pkt 7), a ustawa o komisjach lekarskich o możliwości skorzystania z urlopu na poratowanie zdrowia po 12 miesiącach zwolnienia lekarskiego (art. 15 ust. 1). Ja dwukrotnie kierowałem do niego taki

raport z prośbą o urlop, i to grubo przed upływem ustawowych 12 miesięcy. Proces przed wojewódzkim sądem administracyjnym niestety przegrałem, ale nie poddaję się i poczekam na decyzję Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Jednocześnie toczy się postępowanie w sprawie mobbingu wobec ciebie i kilku innych kolegów ze służby, wszczęte przez samą prokuraturę.

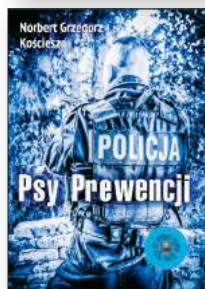
– Jeśli chodzi o postępowanie dotyczące mobbingu, zdaję sobie sprawę, że zostanie ono najprawdopodobniej, brzydko mówiąc, uwalone. Ale skoro można umorzyć postępo-

wanie w sprawie „konkursu na anonim” o postance Kamińskiej proponowanego przez szefa podlaskiej policji, to już nic mnie nie zdziwi.

I po co ci to wszystko było? Mogłeś siedzieć cicho w myśl zasady: tiszce jedziesz, dalsze budiesz.

– Pytasz, czy było warto? Tak! Nigdy nie zgadzałem się z tym całym syfem w służbie, mówiłem o tym raz głośnie, raz ciszej, ale mówiłem cały czas, co wielu się nie podobało. Stało się, jak się stało, usunięto niewygodnego krzykacza, ale patrząc z perspektywy czasu, zrobiłbym to jeszcze raz. Nie ma mojej zgody na szafowanie zdrowiem i życiem funkcjonariuszy, a także osób zatrzymanych i doprowadzonych do wytrzeźwienia. Żałuję tylko, że przełożeni bardziej dbają o swoje stołki niż o dobro innych.

Mówisz o słynnym reportażu w TVN o skandalicznych warunkach sani-



tarnych na jednym z białostockich dołków?

– Nasze raporty składane drogą służbową nic nie dawały. Początkowo reportaż w TVN miał być o tym, że wobec pewnego policjanta z Białegostoku wszczęto postępowanie za pisanie książek dla dzieci, ale po spotkaniu z dziennikarzami wyszły na jaw bulwersujące fakty o tym, co się dzieje na dołku w komendzie miejskiej, jak fatalne warunki sanitarne tam panują. Dziennikarze dotarli do materiałów, które pokazały czarno na białym coś, w co trudno było uwierzyć. Że tak może wyglądać policja w XXI w.

Tobie i twoim kolegom zarzuca się, że za poprzednich rządów siedzieliście cicho i dopiero kiedy w resorcie zapanowała „dobra zmiana”, zaczęliście robić dym. Masz uczulenie na PiS?

– Za poprzednich rządów także reagowaliśmy i są na to dowody. Poza tym wcześniej się nie znaliśmy. Poznaliśmy się tak naprawdę na PdOZ (pomieszczenie dla osób zatrzymanych, popularnie zwane policyjnym dołkiem – przyp. aut.) w KMP w Białymstoku i połączyło nas działanie w sprawie poprawienia warunków w tym miejscu służby. Wcześniej każdy z nas na swój sposób interweniował, z różnym zresztą skutkiem, gdy działo się źle lub były jakieś nieprawidłowości. Ale pojedynczo żadna osoba nie ma szans cokolwiek zdziałać. Tutaj było nas na początku więcej niż trzech, bo popierało nas jeszcze kilku z 11 policjantów służących w PdOZ. Później zaczęło się to zmieniać, strach przed konsekwencjami, obietnice awansów itd. zrobiły swoje. A wracając do twojego pytania, nie mam uczulenia na PiS, ale na niektórych polityków z tego ugrupowania już tak. Zwłaszcza gdy popisują się arogancją i niewiedzą, a czasem bezmyślnością.

Policjantką podlaskiego garnizonu jest też twoja żona.

– Tak, ale nie chcę jej w to wszystko mieszać, choć tak czy inaczej jest zmuszona uczestniczyć w tym, co się dzieje wokół mnie.

Mnie ta twoja historia, przy uwzględnieniu wszystkich proporcji, przypomina przypadek słynnego nowojorskiego gliniarza z lat 70., Serpico. Tam chodziło o masową korupcję wśród funkcjonariuszy.

Co jest głównym problemem podlaskiej i, szerzej biorąc, całej polskiej policji?

– Problemów w policji jest mnóstwo, nie tylko na Podlasiu. Główne to nepotyzm, kolesiostwo, wazelinarstwo, braki kadrowe, braki szkoleniowe, wyposażeniowe, oczywiście mobbing i szycanowanie

Wykroczeniowcy, dochodzeniowcy, dzielnicowi, policjanci ruchu drogowego i wydziałów patrolowych są przeciążeni pracą.

podwładnych. Można by wymieniać naprawdę długo. Zwróć tylko uwagę na to, że na Podlasiu te same nazwiska ciągle się pojawiają na kierowniczych stołkach, bo np. ojciec wciąga do policji syna lub innego krewnego i pcha go w górę. Tworzą się rodzinne klany, które rozdają awanse, premie i dodatki. Koledzy od prywatnych imprez, wyjazdów „na rybkę”, gry w piłkę itp. awansują bardzo szybko, przechodzą do innych wydziałów, gdzie dostają wyższe grupy zaszeręgowania. To oczywiście wiąże się z wazelinarstwem, schlebaniem przełożonym, świadczeniem drobnych usług. Jakś mały remoncik u naczelnika czy ściągnięcie samochodu z zagranicy po niższej cenie, sprezentowanie opon, felg, narzędzi czy alkoholu. To wszystko ma swoją cenę, taka przysługa za przysługę.

Braki kadrowe...

– Wykroczeniowcy, dochodzeniowcy, dzielnicowi, policjanci ruchu drogowego i wydziałów patrolowych są przeciążeni pracą. Wykroczenia i dochodzenia trzeba rzetelnie przeanalizować, przesłuchać sprawców, świadków i podejrzanych, terminy go-
nią, a w międzyczasie funkcjonariusze

wykonują także inne obowiązki. Piony prewencji, z uwagi na braki kadrowe, również mają problemy z realizacją swoich zadań. Bywa więc, że ludzie czekają kilka godzin na interwencję, bo nie ma wolnego patrolu. Konsekwencją tego wszystkiego jest większa liczba zadań i obowiązków dla zwykłego funkcjonariusza.

Wbrew resortowej propagandzie wyposażenie komend jest słabe, policjanci sami się doposażają, kupują plastikowe kajdanki, bo tymi, które mają na stanie, czasami nie dają rady zapiąć umięśnionego byczka. Za własne pieniądze kupują latarki, dzwonią do dyżurnego z prywatnych telefonów, bo policyjne radiostacje wysiadają lub nie ma zasięgu. Gdyby nie zaradność szeregowych policjantów, policja już dawno by się rozpadła. To ci na dole, wykonujący najcięższą i najgorszą służbę, trzymają



unicef
dla każdego dziecka

Trwa wojna w Jemenie

Maleńka Doa potrzebuje

Twojej pomocy

wejdź na unicef.pl/jemen i przekaż darowiznę

► policję w kupie. Gdyby pewnego dnia się zbuntowali, to nie wiem, co by było. Każdy dobry policjant chce też się szkolić i powinien to robić. Jednak o lepszych szkoleniach nie dowiadują się w ogóle lub są one ogłaszane już po terminie. Później każdy się dowiaduje, że pojechał protegowany tego czy tamtego albo ktoś z rodziny naczelnika.

funkcjonariuszy, mając dość tego, co się dzieje, poprosił panią poseł o pomoc. Bożena Kamińska zebrała w tym raporcie wiele autentycznych historii, ale żeby wstrząsnąć politykami, trzeba by to zrobić dosadniej. Jednak bardzo dobrze się stało, że miała odwagę stworzyć taki dokument i dalej ma odwagę pomagać funkcjonariuszom policji, straży

by niczego, co mogłoby mi pomóc jako autorowi w promocji książki. Po wtóre, chyba naraziłoby go to na śmieszność, w oczach już nie tylko podwładnych, ale i czytelników w całej Polsce. Prawda jednak jest taka, że pierwowzorów tytułowego komendanta było kilka. Spośród kilkunastu komendantów, jakich poznałem w czasie służby, co najmniej czterech było „wybitnych” i to oni stali się inspiracją do stworzenia sylwetki tytułowego bohatera.

11 lat pracy w policji to sporo czasu. Chciałbyś jeszcze wrócić do służby?

– Dokładnie to 10 lat i dziewięć miesięcy, z czego przez ostatni rok leczyłem się z traumy po wypadku z dzieckiem. Oczywiście chciałbym wrócić, ale pod warunkiem, że zmieni się zarządzanie polską policją, zmienia się przełożeni i ich podejście do podwładnych. Bo służba w policji jest niebezpieczna, niewdzięczna, a jednak daje wielką satysfakcję.

Arkadiusz Panasiuk

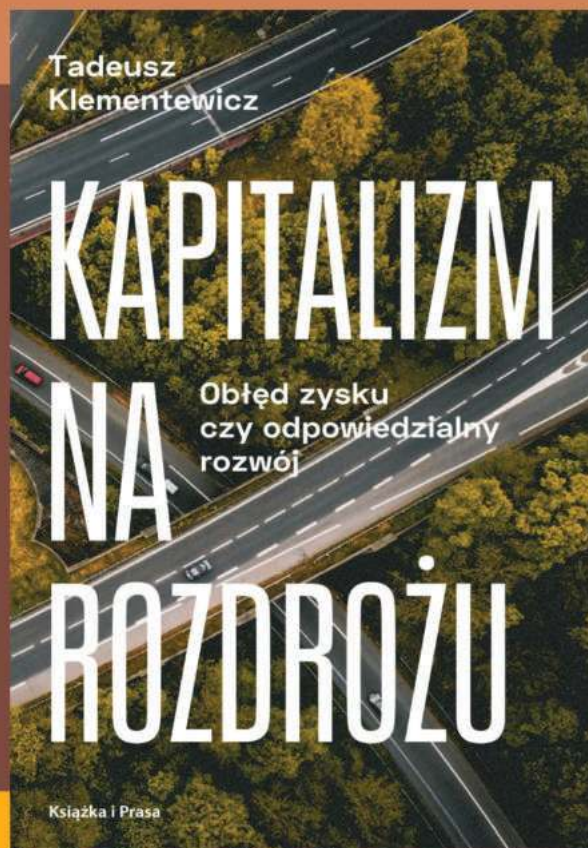
O tym m.in. mówi raport o sytuacji w służbach mundurowych przygotowany przez posłankę Bożenę Kamińską (pisaliśmy o nim w 40. numerze PRZEGLĄDU).

– Raport posłanki Kamińskiej nie jest zbyt obszerny. To zaledwie wierzchołek góry lodowej. Podoba mi się, choć jest napisany naprawdę delikatnie. Widać tu rękę osoby, która ze służbami raczej nie miała do czynienia, aż do momentu gdy ktoś z nękanymi przez przełożonych

pożarnej i innym mundurowym. Jestem jej za to bardzo wdzięczny.

Spodziewasz się pozwu ze strony nadinsp. Daniela Kołnierowicza, szefa podlaskiej policji i ulubionego mundurowego Jarosława Zielińskiego, wiceministra MSWiA? Mam na myśli twoją najnowszą książkę „Folwark komendanta”.

– Nie sądzę. Po pierwsze, nadinspektor przyznałby, że w książce mowa jest o nim, co zapewniłoby mi sporą reklamę, a przecież nie zrobił-



Kapitalizm na rozdrożu. Obłęd zysku czy odpowiedzialny rozwój

Tadeusz Klementewicz

Książkę można zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Cena 38 zł (w tym 5% VAT)

Grzech pierworodny Ameryki

Biali Amerykanie zbyt gładko przeszli do porządku dziennego nad niewolnictwem i rasizmem

Krzysztof Wasilewski

Mija 400 lat od pierwszego transportu czarnoskórych niewolników do brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej. Rocznicą ta oraz sposób, w jaki dyskutuje się o niej dzisiaj, więcej mówią o współczesnej sytuacji Stanów Zjednoczonych niż o historii tego państwa i jego społeczeństwa.

Wszystko zaczęło się w 1619 r. To wówczas do brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej zaczęły przybijać pierwsze statki z niewolnikami, rozpoczynając w ten sposób proceder, który miał trwać ponad dwa stulecia. „Był to zaiste ze wszech miar dziwny statek – statek przerażający, statek tajemnica. Czy był to statek handlowy, kaperski, wojenny – nikt tego nie wiedział. Z jego nadburcia ziewała czarna paszcza armaty. Powiewała nad nim bandera holenderska, lecz jego załoga składała się z różnych nacji. Zmierzał do angielskiej osady Jamestown, w kolonii zwanej Wirginia. Zawinął do portu i po dokonaniu transakcji szybko odpłynął. Zapewne żaden statek w dziejach nowożytnych nie przewoził bardziej złowieszczonego ładunku.

Jeszcze na przełomie XIX i XX w. średnio dwóch Afroamerykanów tygodniowo padało ofiarą linczu.

Na jego pokładzie było 20 niewolników”, opisywał przybycie pierwszego transportu J. Saunders Redding, czarnoskóry pisarz z połowy XX w.

Niewolnictwo w Ameryce Północnej wzięło się z potrzeby chwili, a dopiero później przerodziło w ideologiczny i ekonomiczny fundament przyszłego niepodległego państwa. Początki europejskiego osadnictwa w żaden bowiem sposób nie przypominały raj, który miał czekać na śmiałków po drugiej stronie Atlantyku. Jak wskazują historycy, przeżycie



Niewolnicy byli zatrudniani głównie na plantacjach bawełny.

pierwszej zimy granoczyło z cudem, a ci koloniści, którym udało się oszukać śmierć, w większości byli skazani na vegetację. Jeden z nich skarżył się w liście do lokalnych władz, że „żywność była spleśniała, zgniła, pełna pajęczyn i robaków, budziła odrazę ludzi i nie nadawała się dla zwierząt, co zmusiło wielu do ucieczki i szukania pomocy u dzikich wrogów”. Nic dziwnego, skoro znaczna część osadników była rzemieślnikami lub przedstawicielami arystokracji, w związku z czym nie przywykli do ciężkiej pracy na roli – jedynej, która wówczas się liczyła.

Pomysł sprowadzenia niewolników pojawił się zatem równie szybko, jak naturalnie. Tym bardziej że koloniści rekrutowali się spośród osób bardzo religijnych, dla których słowo boże nie tylko stanowiło przepustkę do życia wiecznego, ale też wyznaczało ramy postępowania w życiu doczesnym. A przecież w cytowanej przez angielskich pionierów na wrywyki Biblii Króla Jakuba niewol-

nictwo nie było niczym nagannym. „Afrykę od dawna traktowano jako źródło niewolniczej siły roboczej, byłoby więc dziwne, gdyby owych 20 czarnoskórych, których wbrew ich woli sprowadzono do Jamestown i sprzedano jak przedmioty osadnikom, uważano za coś innego niż za niewolników”, pisał w „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych” historyk i działacz społeczny Howard Zinn.

Niewiele więcej przestrzeni niż w trumnie

W handlu niewolnikami początkowo prym wiodli Holendrzy. Jednak już od połowy XVIII w. dało się zauważyć w tym procederze rosnący udział Brytyjczyków, który wkrótce przerodził się w morską dominację. W 1795 r. jedynie w porcie w Liverpoolu cumowało ponad sto statków zajmujących się przewozem niewolników, które obsługiwały połowę europejskiego handlu ludźmi. Jak szacują historycy, do początków XIX w. do angielskich kolonii przywieziono

▶ nawet 15 mln czarnoskórych – jedną trzecią wszystkich schwytanych wówczas niewolników. Zinn tak opisuje ich gehennę od afrykańskich wybrzeży, przez Atlantyk, do Ameryki Północnej: „Ludzie skuci na szyi łańcuchem, pod ciosami batogów i z wymierzoną w nich bronią palną wędrowali na wybrzeże drogą liczącą czasem nawet tysiąc mil. Były to nierzadko marsze śmierci, podczas których dwóch na pięciu jeńców ginęło. Na wybrzeżu

odsyłać do ich panów, nawet jeśli udało im się przedostać do „wolnych stanów”. Pierwsze próby ograniczenia handlu podjęto dopiero w XIX w. – w 1808 r. zakazano importu niewolników z Afryki, a w 1820 r., na mocy tzw. kompromisu Missouri, niewolnictwo było dozwolone jedynie poniżej 36. równoleżnika, wzdłuż którego przebiegała północna granica nowo powstałego stanu Missouri. Opór przeciwko zniesieniu niewolnictwa

„W dekadach między amerykańską rewolucją a wojną secesyjną niewolnictwo – jako źródło bawełny, która napędzała fabryki na Rhode Island, jako źródło pieniędzy, które wypełniały nowojorskie banki, jako w końcu źródło rynków, które zainspirowały producentów z Massachusetts – okazało się konieczne dla gospodarczego rozwoju całego państwa”, piszą autorzy głośnej publikacji „Slavery’s Capitalism. A New History of American Economic Development” („Kapitalizm niewolnictwa. Nowa historia rozwoju gospodarczego USA”).

Oczywiście cena wzrostu wydajności była wysoka. Według przytoczonych w tej książce danych zaledwie co ósmy niewolnik dożywał 60. roku życia. Na zatrważająco wysokim poziomie pozostawała także śmiertelność noworodków. Ciężką pracę, podobnie jak posłuszeństwo, wymuszano głównie torturami, często prowadzącymi do zgonu. W relacji urzędników, którzy odwiedzili pewną plantację w Luizjanie, można przeczytać m.in., że „w ciągu tych dwóch lat wymierzono łącznie 160 kar chłosty, to jest średnio siedem dziesiątych chłosty na głowę rocznie”. Dotyczyło to zarówno mężczyzn, jak i kobiet czy dzieci. Obok kar fizycznych utrzymywaniu niewolnictwa służyło nieustanne znęcanie się psychiczne, poniżanie i rozbijanie rodzin.

Brzemie białego człowieka

Wraz z utworzeniem Stanów Zjednoczonych zaczęto traktować niewolnictwo jako „misję cywilizacyjną”. Podpierając się najpierw Biblią, a następnie coraz popularniejszą w amerykańskich elitach ideologią rasistowską, niemała część społeczeństwa uważała niewolnictwo za naturalny stan rzeczy, sankcjonujący wyższość białego, anglosaskiego człowieka nad kolorowymi. „W dziejach świata nie ma drugiego kraju, w którym rasizm tak długo odgrywałby równie ważną rolę jak w Stanach Zjednoczonych”, podsumowywał Howard Zinn. Z powszechną pogardą spotykali się nie tylko czarnoskórzy, lecz także imigranci – najpierw z Irlandii, później również z Polski, Włoch czy Rosji – których zależność od pracodawców często przypominała sytuację na niewolniczej plantacji. Upředzenia

Zaledwie co ósmy niewolnik dożywał 60. roku życia.

zamykano ich w klatkach, a następnie wybierano i sprzedawano”. Kiedy transakcja doszła do skutku, ładowano ich niczym towar na statki, gdzie na jedną osobę „przypadało niewiele więcej przestrzeni niż w trumnie. Spędzali podróż w ciemnościach, skuci ze sobą łańcuchami, dławiąc się smrodem własnych odchodów i szlamu pokrywającego dno statku”. W takich warunkach podróży nie przeżywał nawet co trzeci niewolnik.

Niewiele lepszy był los tych, którzy zdołali doплыć do Ameryki. W koloniach obowiązywały rygorystyczne kodeksy, zawierające szczegółową listę kar dla krnąbrnych niewolników. W jednym z nich, stosowanym w Wirginii, można było przeczytać m.in.: „Jeśli niewolnik nie powróci niezwłocznie, każdy może go zabić przy użyciu dowolnych sposobów i środków, jakie (...) uzna za odpowiednie. (...) Jeśli niewolnik zostanie schwytany, należy doprowadzić go do sądu okręgowego w celu wymierzenia mu sprawiedliwości, czy to przez poćwiartowanie, czy w jakikolwiek inny sposób, jaki sąd uzna za stosowny, aby ukarać takiego niewykazującego oznak poprawy niewolnika i odstraszyć innych od podobnych czynów”.

Wraz ze wzrostem populacji niewolników, który zbiegł się z powstaniem Stanów Zjednoczonych, podejmowano prawne próby całkowitego usankcjonowania tego procederu. W spisanej w 1787 r. konstytucji wprost pozbawiono Kongres możliwości zniesienia lub zdelegalizowania niewolnictwa. Sześć lat później władze federalne, powołując się na „święte prawo własności”, uchwaliły przepisy, zgodnie z którymi zbiegłych niewolników należało

pozostawiać jednak silny, nie tylko na Południu. W 1854 r. prawo do decydowania o niewolnictwie sędowano na władze stanowe, trzy lata później zaś Sąd Najwyższy zawyrokował, że wbrew postanowieniom Kongresu niewolnictwo mogło obowiązywać w dowolnym stanie USA.

Źródło potęgi gospodarczej

Wojna secesyjna (1861-1865) formalnie zakończyła okres niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych. Jednak na rzeczywiste zniesienie barier rasowych trzeba było czekać kolejne sto lat. Warto się zastanowić, dlaczego ten nieludzki system utrzymywał się w USA przez ponad 250 lat, czyli o wiele dłużej niż w każdym innym cywilizowanym kraju.

George Washington należał do największych właścicieli niewolników w kraju.

Dla wielu historyków i ekonomistów odpowiedź jest jasna i wiąże się ze współczesnym bogactwem państwa amerykańskiego. Zdaniem badacza tego tematu Edwarda E. Baptista niewolnictwo pomogło Stanom Zjednoczonym przeistoczyć się z „gospodarczej kolonii w drugą największą gospodarkę świata” już pod koniec XIX w. Historyk dowodzi, że w ciągu zaledwie 60 lat, od 1801 do 1862 r., wydajność niewolników pracujących na polach bawełny wzrosła o ponad 400%. Coraz wyższe zyski plantatorów zostały następnie zainwestowane w rozwój przemysłu, co w rezultacie doprowadziło do obecnej potęgi gospodarczej USA.

rasowe decydowały o stosunkach społecznych długie dziesiątki lat po oficjalnym zniesieniu niewolnictwa. Jak wskazuje Zinn, jeszcze na przełomie XIX i XX w. „na terenie całego kraju średnio dwóch czarnych tygodniowo padało ofiarą linczów. Byli oni wieszani, podpalani, okaleczani”.

Rasizm nie był domeną jedynie Południa. Choć w stanach północnych szybko zniesiono niewolnictwo, niechęć i pogarda do czarnoskórych utrzymywały się wśród części społeczeństwa równie długo jak na „zaczarnianym” Południu. Wszędzie na różne sposoby starano się ograniczać prawa białych. Na przykład, jak podawał Zinn, „czarnoskórzy mieszkańcy Nowego Jorku nie mieli prawa głosu, jeśli nie posiadali mienia wartości co najmniej 250 dolarów (wobec białych nie stosowano tego rodzaju wymagań). Propozycja zniesienia tego prawa, poddana pod głosowanie w 1860 r., została odrzucona w proporcji dwa do jednego (choć [Abraham] Lincoln wygrał w stanie Nowy Jork przewagą 50 tys. głosów)”.

Wizja Stanów Zjednoczonych jako państwa białych Anglosasów przetrwała upadek niewolnictwa. Nawet w burzliwych latach 60. i 70. XX w., kiedy do władzy doszli politycy młodego pokolenia w stylu Johna F. Kennedy’go, napięcia rasowe były ostre. Analizując ten okres, Zinn pisze, że rasizm wciąż „pozostawał głęboko zakorzeniony w społeczeństwie amerykańskim. Dowodziła tego nie tylko nieustanna brutalność policji wobec kolorowych. Wśród Afroamerykanów panowało powszechne bezrobocie młodzi, wysoki był poziom przestępczości i odsetek osób pozbawionych wolności. Statystyki wykazywały też wyższy wskaźnik umieralności niemowląt”.

Projekt 1619

Cztery wieki, które minęły od przybycia do Ameryki Północnej pierwszego statku z niewolnikami, stały się pretekstem do ogólnonarodowej debaty na temat niewolnictwa i rasizmu. Czołowy amerykański dziennik „The New York Times” rozpoczął niedawno projekt pt. „1619”, w ramach którego publikuje teksty przeważnie czarnoskórych historyków, socjologów, po-

litologów i ekonomistów przypominających społeczeństwu o tej tragicznej karcie w jego historii. Jak bowiem przekonuje redakcja dziennika, Amerykanie (biali) zbyt gładko przeszli do porządku dziennego nad kwestią niewolnictwa i rasizmu. Niewiele mówi się o nim w szkole, rzadko podejmuje się ten temat w filmach. Młodzież czyta o nieskazitelnych ojcach założycielach – chociażby George’u Washingtonie i Thomasie Jeffersonie – nie mając pojęcia, że pierwszy należał do największych właścicieli niewolników w kraju, drugi zaś notorycznie gwałcił swoją czarnoskórą służącą.

Thomas Jefferson notorycznie gwałcił swoją czarnoskórą służącą.

Niewolnictwo, ten grzech pierworodny Ameryki, nadal zatruwa amerykańskie społeczeństwo. Doskonale widać to w bieżącej polityce, gdy kolejne rasistowskie wypowiedzi prezydenta Donalda Trumpa spotykają się z poparciem niemałej części wyborców. Zdaniem Newta Gingricha, czołowego polityka Partii Republikańskiej, projekt „1619” to lewicowa propaganda, która ma wyprać mózgi Amerykanów. Z kolei Ilya Shapiro z konserwatywnego Cato Institute tłumaczy, że „pisanie o historii to wspaniała sprawa, ale projekt („1619” – przyp. aut.) prowadzi do delegity-

mizacji największego eksperymentu w dziejach wolności i samorządności”, mając oczywiście na myśli powstanie Stanów Zjednoczonych. Podobnych opinii, wygłaszanych także przez najważniejszych amerykańskich polityków, jest dużo. Najczęściej pojawia się zarzut, że większość tekstów publikowanych w ramach projektu jest dziełem autorów czarnoskórych, którzy nie potrafią spojrzeć na historię obiektywnie. Co zatem powiedzieć o zdecydowanej większości podręczników szkolnych i akademickich, pisanych z perspektywy białej i sytej elity?

W historii każdego państwa i społeczeństwa są ciemne karty. Niewolnictwo, podobnie jak eksterminacja rdzennej ludności, na zawsze będzie ciążyć na dziedzictwie Stanów Zjednoczonych – mimo niewątpliwego sukcesu tego kraju i jego obywateli. O ile jednak historii zmienić nie można, o tyle od współczesnych zależy jej właściwe upamiętnienie i wyciągnięcie z niej wniosków. Czy cztery stulecia to wystarczająco długo, aby zrozumieć tragedię niewolnictwa?

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia

- K. Wasilewski, *Bezdomnych gromady niemałe... Dyskurs imigracyjny na łamach prasy amerykańskiej (1875-1924)*, Poznań 2017.
H. Zinn, *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych*, Warszawa 2016.

FUNDACJA JUDAICA
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
1993-2019

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA

BAJIT CHADASZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ

WRZESIEŃ - LISTOPAD, 2019

Informacje: Centrum Kultury Żydowskiej
ul. Rabina Meiselsa 17, 31-058 Kraków, tel. (12) 430 64 49, info1@judaica.pl
www.judaica.pl facebook.com/judaica.krakow

Współorganizator programu Bajit Chadasz:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy




















Współpraca redakcyjna: *Clasica*

Idol, który stał się człowiekiem

Teraz fani Grzegorza Ciechowskiego poznają naszą historię i będą mogli spojrzeć na jego twórczość w nowy sposób

Rozmawia Artur Zaborski

W filmie „Obywatel Miłość” opowiada pani historię trudnego uczucia, które połączyło was z Grzegorzem Ciechowskim. Dlaczego przez lata milczała pani na ten temat?

– Grzegorz nauczył mnie dbania o prywatność, na której bardzo mu zależało ze względu na dzieci. Po jego śmierci rozpuściła się burza, przed którą starałam się je chronić. To było dla mnie najważniejsze.

Po co więc teraz do tego wracać?

– Film był pomysłem mojego aktualnego męża, muzyka Wojtka Skrobiszewskiego. Przekonał mnie, że powinien opowiedzieć o tym, choćby przez wzgląd na próby przekłamywania historii osoby, która wciąż budzi ogromne zainteresowanie. Moje milczenie pozwoliło innym mówić o tym, jak wyglądało życie Grzegorza. To nie zawsze była prawda. Zgodziłam się też ze względu na komfort pracy z Wojtkiem. Stronię od kamer



ANNA SKROBISZEWSKA

– żona Grzegorza Ciechowskiego, bohaterka dokumentu Wojciecha Skrobiszewskiego „Obywatel Miłość”, który ma premierę na 17. edycji festiwalu Tofifest w Toruniu.

nagrywanie, nie powiedziałam ani słowa. Kompletnie zaniemówiłam. Wojtek wtedy się zdenerwował. Nie był przygotowany na taki falstart i oznajmił mi, że jeśli kolejny raz się nie uda, to rezygnujemy. Ale kiedy zrobiliśmy drugie podejście, udało

Jako fanka tekstów Grzegorza pojechałam w 1983 r. na Torwar na mój pierwszy koncert Republiki. Wówczas zobaczyłam go po raz pierwszy.

i sporadycznie udzielałam wywiadów. Kiedy Wojtek, który nigdy nie kręcił filmów, powiedział, że to zrobi, poczułam się bezpiecznie. Byłam spokojna o efekt końcowy.

Wojtek znał waszą historię?

– Fragmentarycznie, ale dobrze znał piosenki Grzegorza. Widział go jako idealistę, romantyka, dla którego miłość była sensem życia. Zupełnie jak ja przed laty. W takim właśnie świetle chciał pokazać jego losy. Jako człowieka, który dla miłości jest gotowy burzyć i budować do skutku.

Jak pani się czuła, opowiadając obecnemu partnerowi o poprzednim?

– Powrót do tamtych emocji okazał się dla mnie tak trudny, że gdy pierwszy raz umówiliśmy się na

mi się otworzyć i opowiedzieć naszą historię w całości. Nakręciliśmy ponad trzy godziny materiału.

Jak Wojtek to znosił?

– Dzielnie słuchał intymnych szczegółów z mojego życia. Pozwolił mi płynąć z emocjami, choć wcześniej mówił, na co mam zwrócić uwagę, kiedy będę opowiadała tę historię. Chciał pokazać Grzegorza przede wszystkim jako mężczyznę tęskniącego i dążącego do miłości. Stąd tytuł „Obywatel Miłość”.

Grzegorz taki właśnie był?

– Ta tęsknota wyrażała się w jego tekstach, z których wyłaniała się ogromna potrzeba kochania i bliskości drugiego człowieka. Jego utwory rozpały moją młodzieńczą wyobraźnię. Wtedy jeszcze nie wie-

działam, jak wiele czerpie w nich z życia. Właśnie jako fanka jego tekstów pojechałam w 1983 r. na Torwar na mój pierwszy koncert Republiki. Wówczas zobaczyłam Grzegorza po raz pierwszy – i jedyny, kiedy nosił grzywkę.

Wtedy się poznaliście?

– To nastąpiło później, kiedy Andrzej, menedżer zespołu, z którym złapałam dobry kontakt, zdradzał mnie i przyjaciółkom, gdzie będą siedzieć chłopaki. Dzięki temu wielokrotnie udawało mi się porozmawiać z Grzegorzem po koncertach, na które cały czas jeździłam. Z czasem obdarzał mnie coraz większym zaufaniem. Wreszcie, kiedy między nim a Małgorzatą Potocką zaczęło się źle dziać, zaproponował mi opiekę nad Wera, ich córką. Dla mnie, młodej dziewczyny zapatrzonej w idola, było to ogromne wyróżnienie. Starałam się go nie zawieść.

Wera panią polubiła?

– Pokochała. Miała sześć miesięcy, gdy zaczęłam się nią zajmować. Spędzałyśmy ze sobą całe dnie i bardzo się zżyłyśmy. Dawałam jej to, czego nie dostawała od matki. Grzegorz, widząc więź między nami, bardzo się zbliżył do mnie emocjonalnie.

Nawiązaliście relację, ale zanim Grzegorz oficjalnie związał się z panią, minęły lata. Była pani w stanie cierpliwie na niego czekać?

– Cierpliwość wynika z mojej natury, jest też we mnie dużo wyrozumiałości. Kiedy wybuchło między nami uczucie, dopiero wchodziłam w dorosłość. Miałam 19 lat, w tym wieku wszystko było dla mnie nowe. Tym bardziej związek z idolem był niespodziewaną, niemal nieprawdopodobną sytuacją. Nawet z dzisiejszej perspektywy trudno mi powiedzieć, co powinnam wtedy zrobić – czekać czy zażądać od niego natychmiastowej decyzji, z kim chce być.

Żyła pani wtedy myślami o waszej wspólnej przyszłości?

– Nie. Skupiałam się na tu i teraz, na tych momentach, które spędzałyśmy razem. Czasem było mi trudno, ale siły dodawał mi sam Grzegorz, przechodzący przez to samo co ja.

Nie przyszło pani do głowy, że może grać na dwa fronty?

– Dla Grzegorza najważniejsze było dobro Wery, którą szaleńczo kochał. To o nią się bał. Wiedział, z czym będzie się wiązać jego rozstanie z Małgorzatą, i nie pomylił się w przewidywaniach. Chciał przed tymi konsekwencjami ochronić córkę za wszelką cenę, nawet własnego szczęścia. Później żałował, że nie znalazł znacznie wcześniej sposobu na zakończenie związku z Małgorzatą.

Co go popchnęło do skończenia tej relacji?

– Ja sama, kiedy od niego odeszłam. Wyprowadziłam się z ich domu, żeby dać Grzegorzowi przestrzeń do podjęcia dobrych, płynących z serca decyzji. Nasze uczucie było tak silne, że coraz trudniej przychodziło nam ukrywanie go. Nie mogłam, a właściwie nie mogliśmy dłużej tkwić w tej matni. Pomógł mi los – szczęśliwie wygrałam zieloną kartę i wyjechałam do Nowego Jorku.

Decyzja o wyjeździe była spontaniczna?

– Nigdy nie planowałam opuszczać kraju. Kult Stanów Zjednoczonych i amerykańskiego snu, który wybuchł z taką siłą w latach 80., mnie się nie udzielił. Kiedy dostałam zieloną kartę, pomyślałam, że to musi być prezent od losu. Nie wiedziałam, na czym miał polegać, ale chciałam z niego skorzystać. I warto było chociażby dlatego, że pod wpływem

mojej decyzji Grzegorz napisał teksty na płytę „Siódma pieczęć”, które mówiły o naszej samotności, choć oboje żyliśmy w miłości.

W USA zapomniała pani o Grzegorzu?

– To nie było takie proste. Zaczęłam pracę i szkołę. Miałam nadzieję, że teraz wszystko zacznie się układać. Jednak Grzegorz nie pozwalał mi o sobie zapomnieć. Pisał kolejne wiersze i teksty piosenek o naszej relacji, które przysyłał mi do USA. Zaczęłam wątpić w sens swojej ucieczki.

Jak panią odzyskał?

– Kilka tygodni później przyleciał do Stanów i zapytał, czy zostanę jego żoną. W najmniej spodziewanym momencie usłyszałam coś, na co czekałam kilka lat. Przemyslałam to wszystko i po jakimś czasie wzięliśmy niestandardowy ślub – uzyskaliśmy błogosławieństwo od buddyjskiego kapłana, choć żadne z nas nie praktykowało tej religii. Kiedy Grzegorz opuszczał Stany, ja byłam już w ciąży. Napisał wtedy piosenkę „Tu jestem w niebie”.

Teksty Grzegorza świadczą o tym, że był wyjątkowo wrażliwy.

– To prawda. Miał otwarte serce na to, co się działo. Ciągle patrzył uważnie dookoła, jakby chciał coś

złapać. Charakteryzował go wyostrzony zmysł obserwacji i widać było, że wszystko dokładnie analizował. Doskonale rozumiał kobiety, lubił z nimi rozmawiać. Bardzo dużo czerpał z zasłyszanych historii, a teksty zazwyczaj powstawały pod wpływem emocji związanych z miłością. Podobało mi się to, że był bardzo ciepłym i inteligentnym mężczyzną i wspinałym ojcem. Miał charyzmę i duże poczucie humoru.

Szybko przestała pani patrzeć na Grzegorza jak na idola, a zaczęła widzieć w nim partnera?

– To się stało, już kiedy Grzegorz pokazywał mi wszystkie czynności związane z „obsługą Wery”, jak powiedział. Przygotowywał kaszkę, kapał ją w wanienkę, przewijał. Wszystko robił sam. Wtedy dostrzegłam w nim człowieka i ojca. Ale nigdy nie przestałam być zapatrzona w niego jako artystę, na zawsze pozostał moim autorytetem. Nawet kiedy zaczęliśmy razem żyć, to się nie zmieniło. Mam wrażenie, że to umocniło naszą relację, bo on jako artysta tego wpatrzenia potrzebował.

To znaczy, że zabiegał o zainteresowanie fanów?

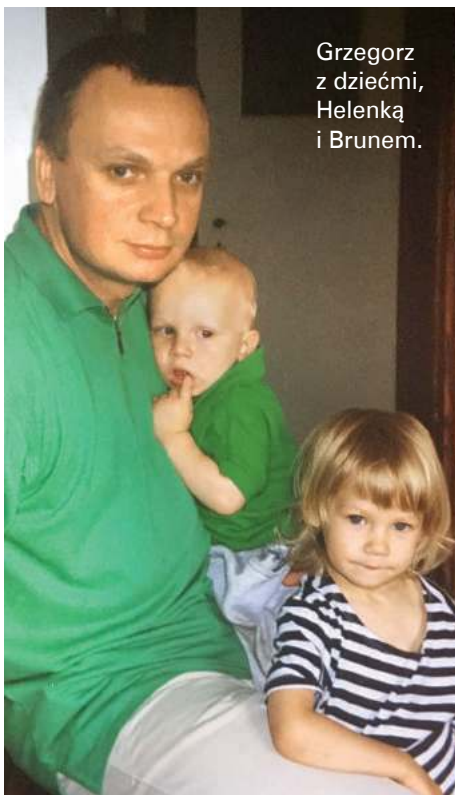
– Bardzo ich szanował. Często przyjmowaliśmy ich w domu. Zdarzało się, że kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje, fani wynajmowali dom niedaleko i nas odwiedzali. Raczej nie było to uciążliwe, choć pamiętam, jak Grzegorz denerwował się na wakacjach w Ustce. Byliśmy na plaży w kostiumach kąpielowych. Kiedy ludzie podchodzili i chcieli robić sobie zdjęcia, czuł się skrupowany. Mimo kontaktów z fanami prywatność zawsze była pilnie strzeżona. Tego się od niego nauczyłam.

Prowadziliście artystyczny dom?

– Nie, to był dom rodzinny, ale otwarty dla przyjaciół. Członkowie zespołu często u nas bywali. Nie żyliśmy jednak jak bohema, bo ja dbałam rygorystycznie o harmonogram, choćby o to, żeby dzieciaki kładły się spać o tej, o której powinny. Grzegorz uwielbiał życie rodzinne i razem pielęgnowaliśmy jego rytuały.

A wyjazdy w trasy, długie nieobecności w domu?

– Kiedy razem zamieszkaliśmy i przyszli na świat Hela i Bruno, Grzegorz stał się udomowionym artystą. Tylko jeśli koncerty były naprawdę daleko, zostawał na noc

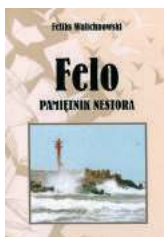


Grzegorz z dziećmi, Helenką i Brunem.



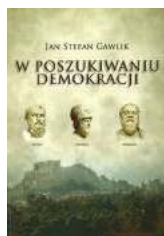
Andrzej Żor
Zapiski obłąkanego
Biblioteka Res Humana
Warszawa 2019

Pojęcia obłąkanie, a zwłaszcza nosiciel choroby – obłąkany służy tu za literacką maskę. Umożliwia ona powiedzenie czegoś więcej lub inaczej, niż jest to dopuszczalne w przyjętym porządku komunikacyjnym. Autor zajmuje się charakterystyką fenomenu określonego przez Stanisława Brzozowskiego jako świadomość kulturalna. Chodzi oczywiście o świadomość kulturalną Polaków, określoną przez historię – to główne przesłanie książki.



Feliks Walichnowski
Felo. Pamiętnik nestora
Wydawnictwo Darczyńcy
Olsztyn 2019

Na książkę składają się wywiady z Feliksem Walichnowskim, doktorem nauk rolniczych, socjologiem, w latach 1972-1981 redaktorem naczelnym „Panoramy Północy”, autorem wielu rozpraw na temat powojennej historii Warmii i Mazur, dokumentacja jego działalności edukacyjnej, wiersze, które pisze od kilkunastu lat, i zdjęcia. To kolejne świadectwo 90-letniego dziś autora, pioniera z białą-czerwoną opaską, który z pasją popularyzuje historię ziemi, na której żyje już 70 lat. A powojennych osadników nazywa herosami, awangardą polskości w okręgu mazurskim. „Gdyby nie owi osadnicy, prawdopodobnie na Warmii i Mazurach byłaby gubernia rosyjska lub demokratyczne państwo niemieckie”, podkreśla autor.



Jan Stefan Gawlik
W poszukiwaniu demokracji
Kraków 2019

Dwa i pół tysiąca lat temu w Atenach Platon i Arystoteles ogłosili, że tym, co czyni życie wartościowym, jest poszukiwanie prawdy. Dało to początek wszystkiemu, co w dziejach ludzkości najlepsze. Podczas podróży do stolicy Grecji i zwiędzenia jej zabytków autor toczy wymaginowane rozmowy m.in. z obydwojema filozofami o sytuacji w Polsce pod rządami „dobrej zmiany”, której władza jest ufundowana na kłamstwie – od kłamstw o katastrofie smoleńskiej i Polsce w ruinie rządzonej przez postkomunistyczny układ poczynając.

poza domem. Zazwyczaj jednak wracał do nas.

Wcześniej przemawiała przez niego artystyczna dusza?

– Pewnie, zdarzało się. Na początku wyjazdu poza miasto i życie w hotelach były bardzo atrakcyjne, lubiłam z tego korzystać. Ale po czasie stawały się uciążliwe. To zresztą było zabawne, bo kiedy ja czekałam na niego w domu stęskniona, a on przyjeżdżał, chciałam z nim rozmawiać, śmiać się, słuchać opowieści. On marzył tylko o tym, żeby pójść na spacer z psami, wyciszyć się i iść spać. Podobnie było z wyjazdami – ja czekałam, aż gdzieś sobie razem pojedziemy, a on najlepiej wypoczął w domu. Musieliśmy te potrzeby jakoś godzić.

Udawało się?

– Z czasem złapał się wspólny rytm. Od początku wiedzieliśmy, że najważniejszy jest podział obowiązków. Grzegorz dużo pracował w domu i zorganizowanie mu przestrzeni do tworzenia w miejscu pełnym dzieci było wyzwaniem. Czasem wychodziłam z dziećmi na długie spacer, żeby miał komfort pracy. Zawsze to było dla mnie priorytetem.

Jak pani dawała sobie radę po śmierci Grzegorza?

– Bruno po obejrzeniu filmu „Obywatel Miłość” powiedział mi, że wyłania się z niego obraz mnie jako silnej osoby. Ja siebie tak nie widzę. Podniosłam się nie dlatego, że znalazłam w sobie jakieś nadludzkie moce. Po prostu miałam dwa wyjścia – albo się załamać, albo iść dalej. Mam taką naturę, że staram się nie rozpamiętywać. Nie mogę cofnąć tego, co było. Kiedy Grzegorz zmarł, byłam w ciąży z Józją, naszym najmłodszym dzieckiem. Wiedziałam, że muszę żyć dla niej i dla jej rodzeństwa. Nie mogłam się położyć i płakać. Wzięłam się w garść i zajmowałam się nimi, bo wiedziałam, że same nie są w stanie tego robić. Wtedy była też z nami mama Grzegorza i wiedziałam, jaka to była dla niej tragedia. Chciałam, żeby miała we mnie wsparcie. Oczywiście, że było mi wyjątkowo trudno, bo zostałam sama nie tylko z dziećmi, ale i z całą spuścizną po Grzegorzu. Wcześniej w ogóle nie zajmowałam się sprawami prawnymi. To była dla mnie czarna magia. Nagle musiałam się z tym wszystkim zmierzyć. Zaufałam tym, którzy byli mi bliscy,

ale zostałam przez nich zdradzona. Okazało się, że dla pieniędzy ludzie są w stanie zdeptać relacje.

Dziś widzi pani Grzegorza w dzieciach?

– To wspaniałe, jak pewne rzeczy przekazujemy w genach. Są takie sytuacje, kiedy starsze dzieciaki, a nawet Józia, która urodziła się po śmierci Grzegorza, zachowują się, jakby powielaly zachowania ojca. To zadziwiające, bo wiem, że nie mogły tego zaobserwować. Hela i Bruno byli tak mali, że nie byłiby w stanie zarejestrować jego gestów, a robią te same. Syn ma po nim głos. Czasami, gdy rozmawiam z nim przez telefon, cierpię mi skóra, bo mam wrażenie, jakbym rozmawiała z jego ojcem.

Film pozwolił pani zamknąć tamten etap?

– On jest u mnie już dawno przepracowany i zamknięty. Historia, która nie jest opowiadana, z czasem zostaje przeinaczona. Zależało mi, żeby z naszą tak się nie stało. Ona była we mnie i zostanie ze mną na zawsze. Przed nikim nie muszę udawać, że jest inaczej. Cieszę się, że powstał film, bo teraz fani Grzegorza dostaną do niej dostęp i będą mogli spojrzeć na jego twórczość w nowy sposób.

Ile tak naprawdę panią ten film kosztował?

– Opowiadanie o uczuciach, zwłaszcza publicznie, jest dla mnie ogromnie stresujące, niecodzienne i niekomfortowe. Z drugiej strony dobrze się stało dla filmu, że nie nabrałam wprawy w mówieniu o tym wszystkim i dopiero przed kamerą wydobyłam z siebie wspomnienia. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że opowiadałam tę historię Wojtkowi, nie pamiętając, że kręcimy. Dlatego jest to tak osobiste. Na początku czułam się dziwnie, mówiąc to wszystkiemu mężowi, ale jednocześnie wiedziałam, że nie powiedziałabym tego nikomu innemu.

Czy Wojtek też coś dzięki temu filmowi zyskał?

– Zyskał przede wszystkim jako mężczyzna, bo tym, co zrobił, pokazał ogromną miłość do mnie i naszej rodziny. Myślę, że niewielu facetów potrafiłoby patrzeć na żonę opowiadającą z pasją o poprzednim małżeństwie. Dla mnie to świadectwo jego wielkiego uczucia.

Artur Zaborski

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Resocjalizacja

Wpołowie października wieczorny chłód jest definitywny. Pranie sennie tylko symbolicznie, zamieniamy białe wino na czerwone. W miejscach publicznych – tramwajach, marketach – mnożą się wirusy. Nie ma wątpliwości: to do nich należy ten kraj. To one wygrywają nierówną walkę o naszą uległość. Z ich powodu słabnie nasza wola, a proporcje entuzjazmu i nihilizmu zmieniają się na korzyść tego ostatniego. Nie robimy tego, nie wystawiamy środkowego palca współpodróżnym, bo grzeczność ma podobno działanie kulturotwórcze, a my potrzebujemy kultury, żeby się bronić przed faszyzmem – tak sobie mówimy, bo nie chcemy wyjeżdżać z tego kraju, mimo wszystko. Czasem więc, na chwilę, wycofujemy się. Emigracja wewnętrzna ma swoje dobre strony – stopy książek na biurku, pod biurkiem, na szafce nocnej, pod łóżkiem, zalane kawą, usmarowane masłem, założone ołówkami, biletami. Nie ma mowy o resocjalizacji, książki traktujemy konsumpcyjnie, liczy się proces. Czytamy. I wyczytujemy sobie to, co nam szczególnie potrzebne o tej porze roku.

Po pierwsze, CIEPŁO. Dlatego zaczynamy od „Rachunków włóczęgi” Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to dawka wysokiej temperatury, którą w październiku przyjąć musi każdy. Już na początku podróży dostajemy trochę sentymentalizmu w najlepszym guście – tęsknotę za trzecią klasą: „Tak nieuroczyście i jak gdyby niepostrzeżenie pożegnaliśmy się ze słowem i pojęciem, które odgrywało tak wielką rolę w dziejach literatury XIX i XX w. I to pożegnaliśmy się na całym świecie. Trzecia klasa w ogóle zginęła – i we wszystkich książkach, we wszystkich językach odtąd pojawi się objaśnienie w odsyłaczu: »Trzecia klasa dawniej istniała we wszystkich pociągach i była wagonem najtańszym«. Dalej Iwaszkiewicz skarży się, że likwidacja ukochanej klasy jest o tyle absurda, że podziału na klasy nie zlikwidowano. A cały urok polegał właśnie na podróżowaniu trzecią.

W „Rachunkach włóczęgi” jest więcej ciepłego, melancholijnego sentymentalizmu. Jaki pisarz odważyłby się dzisiaj napisać felieton o tęsknocie za ulubionym paryskim sklepem z krawatami? Wychwalać delikatność i dobre maniere sprzedawcy? Nawet jeśli coś u bliźnich Iwaszkiewicza dotknie, nawet jeśli napotka niewygodę lub chłodne przyjęcie w hotelu Orbis, jego złośliwość jest subtelna i brzmi np. tak: „Niestety, pobłądziwszy po korytarzu pierwszego piętra, wystraszony przez potworne malowidło przedstawiające Lecha, Czecha i Rusa, bodajże w Gnieźnie, a może i w samym Poznaniu – idę na drugie piętro. Pokoik malusińki, na końcu korytarza i bez telefonu”.

Kiedy już robi nam się przyjemnie ciepło po lekturze Iwaszkiewicza, czas na SEKS. Druga rzecz, która ma szansę poprawić nam nastrój w październiku. Ale żeby nie było tak

znowu najłatwiej – wybrałam dwie (*nomen omen*) pozycje, w których seks ukazany jest co najmniej ambiwalentnie: „Na plaży Chesil” Iana McEwana i starego, dobrego „Hamleta”. McEwan opisuje noc poślubną skrzypaczki Florence i zdolnego absolwenta historii Edwarda. Jest rok 1962, uroczy hotel, południowe wybrzeże Anglii. Kolacja wydaje się smaczna, ale Florence nie ma apetytu. Czy tej nocy miała się zmienić dla Edwarda w „rodzaj portalu albo bawialni”? W poradniku dla młodych panien natrafiła na straszne słowa i frazy. „Błona śluzowa”? Pewna siebie Florence była tylko w sprawach muzycznych, kiedy siedząc wyprostowana, płynnym ruchem nacierała smyczek. „Na plaży Chesil” to opowieść o purytańskiej Anglii, o mieszczańskich przesądach i katastrofie, w jaką obraca się wymarzona noc. W tle pytania o tabuizowanie cielesności, hipokryzję, zepsutą przez przesady i zakazy komunikację. Plus najśtywniejszy w historii literatury opis włosa łonowego.

Do rozmowy o seksie trzeba oczywiście wciągnąć Szekspira „Hamleta”. Myli się bowiem ten, kto sądzi, że to opowieść o zemście i władzy. Część progresywnych badaczy dawno to zrozumiała – główną bohaterką dramatu jest matka Hamleta, Gertruda, i jej niepokonana

Książki traktujemy konsumpcyjnie, liczy się proces. Czytamy. I wyczytujemy sobie to, co nam szczególnie potrzebne o tej porze roku.

namiętność, o której do powiedzenia miałby wiele np. Schopenhauer. Straszliwy, przekreślający żałobę po śmierci króla, pęd ku współżyciu wydaje się Hamletowi tak ohydny, że nie tylko zabija nowego męża matki – Klaudiusza, ale też zrywa gwałtownie z ukochaną (wcześniej) Ofelią. Edypalna interpretacja „Hamleta” pozwala inaczej spojrzeć na wiele monologów w tej sztuce i na najważniejszą kwestię, którą ma do załatwienia w dramacie tak lubiany przez Polaków bohater: „Mamo, przestań się dymać z Klaudiuszem”!

Czas na trzeci element kampanii przeciw ciemności: PIENIĄDZE. Mało szlachetnie? Do literatury nie nadaje się? Nieprawda. Pamiętacie Państwo „Opowieść wigilijską” Charlesa Dickensa, rzecz o skąpcu i jego przemianie? Dickens napisał ją, żeby spłacić dług karciarski. Ale chciałabym tutaj polecić rzecz mniej znaną, a przy okazji zadającą klasę przesądom, jakoby temat pieniędzy nie nadawał się do poezji, bo poezja ma rzekomo wykonywać gesty w stronę metafizyki, choć zdarza się, że jej to podcina jaja, jak mówi mój serdeczny kolega poeta. Cały tom o pieniądzu – zresztą pod takim właśnie tytułem, „Dinero” (forsa). Autorem jest Hiszpan, Pablo Casado, wiersze na polski przełożył Marcin Kurek.

Tak uzbrojeni przetrwacie Państwo październik. Być może.



Klasyk za życia

Peter Handke dostał literackiego Nobla za pisanie. Niech więc się broni jego słowo

Beata Dżon-Ozimek

76-letni Peter Handke, nowy austriacki noblista literacki, przyjmuje dziennikarzy w swoim ogrodzie w Chaville pod Paryżem, gdzie mieszka od trzech dekad. Właśnie wrócił z czterogodzinnej przechadzki po lesie, wcześniej jednak odebrał telefon ze Sztokholmu. Przechadzkę miał zaplanowaną i już nie zabrał na nią telefonu. Jak mówią znający go dziennikarze i krytycy – cały Handke. Czy zdarzy się coś zwykłego, czy nadzwyczajnego jak Nobel – on idzie na spacer. Jest często w drodze.

Milczący, zakłopotany myśliciel z jednej strony, z drugiej bezlitosny prowokator o zdecydowanych poglądach, o którym jego żona, Francuzka Sophie Semin, mówi: „Żeby móc z Handkem żyć, trzeba mieć zamek z dwoma skrzydłami. Ale że nie ma się żadnego zamku...”.

Pisarz powoli zamyka wysoką bramę po niedługich rozmowach z dziennikarzami, macha ręką. Jest zmęczony, wcześniej przestał odbierać telefony, także od swojego wydawcy.

„Jestem zwolennikiem literatury światowej, a nie literatury międzyna-

rodowej. Nagroda to bardzo niejednoznaczna sprawa i odwieczny dyalemat”, mówił w dniu przyznania mu Nobla za 2019 r. obok Olgi Tokarczuk z literackim Noblem za rok 2018. Kiedy odebrał telefon z tą wieścią, rozmawiał chwilę po angielsku, potem potrzebował momentu ciszy i zapytał po niemiecku: *Ist das wahr?* (Czy to naprawdę?).

Po 15 latach od przyznania literackiego Nobla Elfriede Jelinek pisarka się cieszy, uważa, że Handke już dawno powinien tę nagrodę dostać. Obok tych outsiderów i kontestatorów nie stanie jako noblista Thomas Bernhard, uznawany za jednego z najważniejszych pisarzy niemieckojęzycznych powojnia. Nazywany dawniej w Austrii kalającym własne gniazdo, nienawidzony, a dla wielu – geniusz i sumienie Austrii. Mija w tym roku, ważnym dla literatury austriackiej, 30 lat od śmierci Bernharda, austriackiego pisarza najczęściej, obok Jelinek i Handkego, grywanego w teatrach poza granicami ojczyzny.

Ciekawe, czy Handke, jak jeden z bohaterów jego „Godziny prawdziwych odczuć”, mógłby teraz powiedzieć, że „poczuł ulgę, ale i, dziwna rzecz, rozczarowanie”. Wbrew temu,

co przed pięcioma laty mówił o nagrodzie, zamierza ją odebrać, choć twierdził, że należy ją w końcu zlikwidować, bo nie daje czytelnikom nic poza fałszywymi „świętymi literatury”. Dziś przyznaje, że mówił jako czytelnik, nie jako autor, i już tak nie myśli. Nigdy też nie sądził, że zostanie laureatem literackiego Nobla, jako ten uważany za rebelianta, *enfant terrible*, polaryzującego opinie, angażującego się politycznie po stronie nie do przyjęcia przez większość świata, czyli po stronie serbskich sprawców ludobójstwa z wojny po rozpadzie Jugosławii. Obraz nie jest taki jasny. Handke zawsze jest za czymś albo przeciwko czemuś.

Akademia Szwedzka jego zdaniem pokazała, że potrafi być „bardzo odważna”, jemu właśnie przyznając Nobla. Zaraz po werdykcie porównywano Handkego do Boba Dylana, a wielu szło o zakład, że pisarz odmówi przyjęcia nagrody, jak to mu się zdarzało, że ją skrytykuje. A on jednak pojedzie w grudniu do Sztokholmu po swoje ponad 800 tys. euro.

Teraz będzie żył dalej, jakby nic się nie stało. Już jako 76-latek, student prawa w Grazu, pisał do matki, że- by się o niego nie martwiła. Urodziła

go w 1942 r. jako nieślubne dziecko żołnierza w Karyntii, w miejscowości Griffen. „Jestem już całkiem silny, poza tym z pewnością będę znany na całym świecie”. Trzeba mu przyznać rację. Niestrudzenie, z wielkim oddaniem tworzy Peter Handke fascynujące, konsekwentne, ale i bezkompromisowe dzieło.

W jego przypadku trzeba oddzielić człowieka od dzieła, bo właśnie postawa polityczna Handkego w kwestii Serbii i stosunek do papieża w Kościele katolickim przysparzają mu od lat krytyków. Podobnie, choć już nie z taką powagą, można traktować *ego* pisarza, poczucie wielkości, autoporównania np. do Franza Kafki. Bo skromny nigdy nie był.

„Uważam się za spokojną osobę, ale ten spokój się u mnie pojawia i znika wraz z kłótnią”, stwierdził na 75. urodziny. Mówi też o sobie jako „precyzyjnym marzycielu, prowokatorze wbrew swojej woli”. Potwierdza to menedżerka w jego ulubionej gospodzie Mostwastl w Salzburgu, gdzie mieszkał osiem lat. Franziska Unterberger wspomina nie zawsze łatwego gościa: „Był niedostępnym facetem, wołał siedzieć sam, słuchać ludzi, a jeśli rozmowa mu nie odpowiadała, interweniował i był często bardzo kłótniwy”. Natomiast nie dotyczyło to obsługi, był zawsze bardzo miły, zaznacza pani Unterberger.

Pierwsze teksty publikował na studiach w periodyku „Manuskripte”, debiutował w 1966 r. powieścią „Die Hornissen” (Szerszenie) w renomowanym Suhrkamp Verlag. Ten sam rok, Ameryka, Princeton, spotkanie

obelg, przezwisk; antysystemowa, antymieszczkańska, przeciw powojennemu zakłamaniu, przeszłości nazistowskiej, antysemityzmowi, skostnieniu, relacjom starych z młodymi. W austriackiej Mediatece można posłuchać wycinków „wymyślenia” w wykonaniu Handkego z kwietnia 1967 r. Aktualne niemal bez wyjątku obelgi, wciąż do użycia. Można też posłuchać innych fragmentów spotkań autorskich, rozmów. Wolfgang

Cichy autor, poppisarz kalający własne gniazdo, pielęgnujący nudzenie się, ideologiczny potwór – tak opisują go krytycy i apologety.

Paterno, dziennikarz, literaturoznawca, mówi: „Nie każde pytanie żąda u Handkego odpowiedzi. Ale każda odpowiedź rodzi nowe pytania”.

Tytuł jednej z audycji radiowych w pierwszym programie ORF poświęconych noblistom brzmi: „Skłóć się z możliwie wieloma”. Tak zakłada jeden z niepozornych bohaterów Handkego.

Cichy autor. Klasyk za życia. Poppisarz kalający własne gniazdo. Trudny. Sceptyczny wobec języka. Odmawiający komunikacji. Pielęgnujący nudzenie się. Ideologiczny potwór. Tak go opisują krytycy i apologety. Ma za sobą ponad pół wieku pisania. W grudniu 2018 r. otrzymał najważniejszą nagrodę austriacką Nestroy-Theaterpreis za życiowe dokonania. „Czyta się Handkego, aby później przypomnieć sobie, jak to było, w czasie gdy się czytało Handkego”, powiedział rektor Paterno, wierny czytelnik.

wet apel w jego obronie, odwiedził go w więzieniu w Hadze, ale nie przyjął prośby o wystąpienie jako świadek w procesie. Wygłosił za to mowę na jego pogrzebie. W proteście przeciwko brakowi stanowiska papieża Jana Pawła II wobec wojny kosowskiej, także przy szerzej krytyce jego „rządów”, wystąpił z Kościoła rzymskokatolickiego, wstąpił do serbskiego prawosławnego. Protestował także przeciwko

wyborowi na papieża byłego członka Hitlerjugend, Josepha Ratzingera. Dziś przeciwko Noblowi dla Handkego protestują np. Matki Srebrnicy, gdzie doszło do masakry cywilów bośniackich w 1995 r.

W 2006 r. rzekł się przyznawanej przez władze Düsseldorfu nagrody im. Heinricha Heinego, w wysokości 50 tys. euro, ponieważ wrzała polityczna dyskusja związana z jego proserbskimi poglądami. Zespół teatru Berliner Ensemble, w tym reżyser i przyjaciel Claus Peymann, ufundował mu Berliner Heinrich-Heine-Preis jako protest przeciwko atakowi na wolność sztuki. Zebrano wówczas 50 tys. euro, a Handke przekazał tę kwotę serbskiej wiosce Velika Hoca na terenie Kosowa, która ma po wojnie ok. 130 mieszkańców, w większości muzułmanów. W kolejnych latach wspierał Serbów kontrowersyjnymi wypowiedziami w mediach. Jest członkiem tamtejszej Akademii Nauk.

Handke to również reżyser filmowy i scenarzysta, zaprzyjaźniony z Wimem Wendersem – wiersz Handkego jest zresztą motywem filmu „Niebo nad Berlinem”. Wenders sfilmował w 2016 r. sztukę Handkego „Piękne dni w Aranjuez”, a pisarz wystąpił w tej adaptacji. Autorem muzyki jest Nick Cave. Mówiono, że to najnudniejszy film wszech czasów, ale i mistrzostwo wszech czasów.

Peter Handke dostał literackiego Nobla za pisanie. Niech więc się broni jego słowo. A jako autor może rzec jak jego bohater z „Godziny prawdziwych odczuć”: „Gdybym miał coś do powiedzenia, wszystko bym przekreślił”. ■

Handke uznaje Serbów za ofiary wojny i zakłamuje ich udział w masakrach na muzułmańskich Bośniakach.

nieznanych, młodych pisarzy niemieckojęzycznych, Gruppe 47, najważniejszej powojennej literackiej inicjatywy RFN. Młody, zdałoby się nieśmiały, Handke wygłasza obrazoburczą mowę o „impotencji narracyjnej” i „cieniźnie” tekstów tam prezentowanych, m.in. przez Günthera Grassa. Potem publikuje sztukę „Publikumsbeschimpfung” (Publiczność zwymyślana), wyreżyserowaną we Frankfurcie przez Clausa Peymanna, późniejszego dyrektora m.in. Burgtheater w Wiedniu. To sztuka mówiona, antyteatralna, godzinna tyrada

Najnowszą książką jest powieść „Die Obstdiebin” z 2017 r., ale to ta z 1996 r., „Podróż zimowa nad Dunaj, Sawę, Morawę i Drinę albo sprawiedliwość dla Serbii”, wywołuje do dziś kontrowersje, bo Handke uznaje Serbów za ofiary wojny, relatywizuje i zakłamuje ich udział w masakrach na muzułmańskich Bośniakach, a NATO oskarża o zbrodnie wojenne wobec Serbów.

Pisarz stawał w obronie prezydenta Serbii Slobodana Miloševića, oskarżanego o zbrodnie wojenne i przeciwko ludzkości. Podpisał na-

KURTYNA W GÓRĘ

ZA KULISAMI

Tomasz Jachimek, autor komedii muzycznej „Na wschód od Hollywood”, nie zajmuje się fenomenem aktorstwa ani nie wkracza w psychologiczne zawiłości zawodu czy jego społeczną misję. Owszem, wszystkiego tego dotyka, ale z lekkością kabaretowo-komediową, bez zadęcia. Dyrektor gra przed zespołem natchnionego artystę, który sięga po „Kordiana” w teatrze bulwarowym, ale tak naprawdę chodzi mu o dotację. Słowem, Jachimek trzyma się realiów i jedynie sygnalizuje, na czym polegają proza scenicznego życia, przedpremierowa gorączka, bufetowe intrygi, koleżeńskie zawiści i walka o pozycję w zespole, ale też maluje chwilę uniesienia, kiedy wreszcie dochodzi do premiery. Gorzej – a tego Jachimek również nie pomija – kiedy wszystko kończy się klapą.

Zabawnie to zostało skrojone, okraszone piosenkami i scenkami rodzajowymi zza kulis. A że autor ma bystre oko, wyszedł z tego zgrabny obrazek z życia zascenicznego, które okazuje sporą przydatność sceniczną. Dla aktorów to rzadka okazja podzielenia się z widzami przedpremierową gorączką, zwłaszcza dla głównego bohatera, czyli zapaleńca nowicjusza w branży, który przygotowuje się do pierwszej roli (Michał Karwowski na zmianę z Wojciechem Stolorzem). Starsi koledzy bawią się charakterystycznymi postaciami malowanymi z lekkim zacięciem satyrycznym. Świetnie to wychodzi Robertowi Tonderze jako Panu Dyrektorowi i Konradowi Marszałkowi w roli Aktora Wyjadacza. Dwie godziny bezpiecznej zabawy, w której aktorzy pozwalają śmiać się z nich samych.

Tomasz Miłkowski



„Na wschód od Hollywood”, scenariusz i teksty piosenek Tomasz Jachimek, reżyseria Jerzy Jan Połński, muzyka Marcin Partyka, Scena Kameralna Teatru Rampa, prapremiera 27 września 2019

SYLWETKI

RZEŹBIARZ Z NYSY

6 października w Opolu odbyła się uroczystość 30-lecia pracy prof. Mariana Molendy, połączona z wystawą jego dorobku. Rzeźbiarz mieszkający i tworzący od lat w Nysie, niezabiegający o splendory, jest twórcą wielu rzeźb oraz kilkunastu pomników: Starszych Panów, Jonasza Kofty, Jerzego Grotowskiego, Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego. Przed gmachem Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej odsłonięto ławeczkę prof. Mieczysława Pożar-



skiego (1875-1945), wieloletniego dziekana wydziału.

Oprócz rzeźby monumentalnej prof. Molenda tworzy okolicznościowe

medale, statuetki (m.in. Złotego Prusa i Zielonego Prusa, czyli nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy RP), a także imprese plenerowe. Aktualnie pracuje nad ławeczką Jerzego Kozarzewskiego, poety, więźnia Mauthausen, działacza konspiracyjnego w latach 1944-1945, aresztowanego i skazanego na karę śmierci, która dzięki wstawiennictwu Juliana Tuwima u Bieruta została zamieniona na 10 lat więzienia. Ławeczka stanie w Nysie.

Andrzej Maślankiewicz

BYLIŚMY

CAMPI ŁOWI TALENTY

Powiązane z operowym Międzynarodowym Konkursem Wokalnym im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów warsztaty dla śpiewaków są kuźnią talentów. Na zakoń-



czenie tzw. *masterclass*, podczas których adeptom wokalistyki przyglądali się i szlifowali ich głosy doskonali soliści: Ewa Vesin, Izabela Kłosińska, Katarzyna Trylnik i Marcel Boone, odbył się koncert galowy, pozwalający zaobserwować wyniki prac. Usłyszeliśmy solistów, którzy już z powodzeniem mogliby kreować główne role w operach. Należą do nich tenor Piotr Kalina, doskonały wykonawca arii ze „Strasznego dworu”, czy Mariana Poltorak, so-

pranistka świetna w muzyce klasycyzmu. Oryginalny głos, kontratenor altowy, przedstawił we współczesnej muzyce Jakub Borowczyk. Do koncertu włączono też fenomenalnie grającego akordeonistę Nikodema Sobka ze średniej szkoły muzycznej w Lublinie, a na deser zaśpiewał zwycięzca marcowego konkursu baryton Paweł Trojak, który kilka miesięcy po sukcesie został zaangażowany do Lyric Opera w Chicago.

Bronisław Tumitowicz

Antonina Campi Opera Masterclass, koncert w Centrum Spotkania Kultur w Lublinie, 10 października 2019



NA EKRANACH

JOKER

reż. Todd Phillips, prod. USA, już w kinach

Słusznie spodziewaliście się koncertowego występu Joaquina Phoenixa, który dużo do roli schudł, zmienił sposób chodzenia i barwę głosu. Zaskoczy was jednak, że zamiast przygotowanej dla fanów łubu-du kolejnej adaptacji zeszytów z obrazkami dostaliśmy pogłębiony dramat psychologiczny. Arthur Fleck, który właśnie wyszedł ze szpitala psychiatrycznego, walczy o zachowanie godności w społeczeństwie przeżartym egoizmem, korupcją i dysproporcjami. Na życie próbuje zarobić jako klaun, ale trudno, żeby komuś było do śmiechu w mieście, gdzie ulubioną rozrywką młodzieży są rozróby i pobicia, a ulice pokrywają warstwy śmieci. Reżyser Todd Phillips, który dotąd bawił nas komediami w rodzaju „Kac Vegas”, spoważniał. Bada, ile jest w stanie znieść człowiek, zanim sięgnie po broń. Nie wydaje przy tym ocen, Arthura nie broni



ani nie potępia. Zachwycone taką postawą jury festiwalu w Wenecji nagrodiło „Jokera” główną nagrodą. To największe wyróżnienie dla adaptacji komiksów w historii. Co dalej? Oscar dla Phoenixa.

Artur Zaborski

ZAGRAJĄ



„Płyta perełka”, rekomenduje „Wilcze jagody” Urszula Dudziak. Ciepła, słoneczna barwa głosu Agnieszki Wilczyńskiej, subtelna, kameralna muzyka skomponowana przez pianistę Andrzeja Jagodzińskiego i teksty autorstwa Andrzeja Poniedziałkiego, Wiesławy Sujkowskiej, Stanisława Tyma, Jana Wołka, a także samej wokalistki – takie, w których słowa rzeczywiście przekazują treść i emocje, a nie są tylko dźwiękowym wypełniaczem. Na koncerty promujące album, który ukazuje się 23 października, powinni się wybrać nie tylko miłośnicy jazzu. Każdy, kto ceni dobrą piosenkę, odnajdzie się w tych akurat nieco jesiennych nastrojach. A listopadowy koncert będzie transmitowany na antenie radiowej Dwójki. **SZCZECIN, TECHNOPARK POMERANIA, 25 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 19 WARSZAWA, STUDIO POLSKIEGO RADIA IM. WŁADYSŁAWA SZPILMANA, 29 LISTOPADA, GODZ. 19**

(ap)

ZAJRZYJ TU

POMNIKOMANIA

W odnowionym pawilonie Zodiak i na terenie przed nim w ramach festiwalu „Warszawa w budowie” otwarto wystawę wyrażającą stosunek młodych artystów do ponad stu warszawskich pomników. Organizatorzy wydarzenia stawiają pytanie, czy w obliczu tylu konfliktów wokół monumentów nie warto raz na zawsze porzucić tej formuły. Stwierdzając, że pomniki autorytarnie narzucają jakąś ideę, posłużono się statystykami, które mówią, że np. 55% nawiązuje do wojny, że ok. 90% przedstawia mężczyzn, że średnia długość „życia” pomnika to 50 lat. Wystawa prezentuje też zdjęcia i filmy związane z pomnikami, które zniknęły z krajobrazu stolicy, np. w wyniku dekomunizacji. Wreszcie artyści pokazują projekty i propozycje, które można by ustawić „w zamian”.



WARSZAWA, ZODIAK, DO 3 LISTOPADA
(bt)

MIĘDZY OKŁADKAMI

Ann Cleeves

MARTWA WODA

tłum. Sławomir Kędzierski

Czwarta Strona, Poznań 2019



Na Szetlandach prędkiejczy później znowu zdarzy się morderstwo – i żeby jedno! Tymczasem Jimmy Perez, w żałobie po wydarzeniach z poprzedniego tomu, stracił zapał do policyjnej pracy. Mimo wszystko to jego teren, więc opornie,

bo opornie, ale dołączy do młodsze go kolegi i jego nowiej szefowej. Aż w końcu obudzi się w nim to charakterystyczne zaciekawienie innymi i ich sprawami – a razem z nim coś jeszcze... Zwłoki znalazła pani prokurator – czy pozostawienie ciała pod jej nosem, w łodzi w zatoce doskonale widocznej z jej domu, to sygnał? Czy jest zamieszana w zbrodnię? Nowa inspektor nie może

nie brać tego pod uwagę, w dodatku między przedstawicielkami prawa, tak różnymi nie tylko zewnątrznie, nie pojawiło się nawet zawodowe porozumienie. Starsza, elegancka prokurator patrzy na wychowaną przez hipisów policjantkę jak na dużego, niesforne go szczeniaka. Ann Cleeves znów znakomicie rysuje charaktery, wzbudzając w czytelnikach ciekawość podobną do tej, którą kieruje się jej główny bohater.

Aleksandra Pańko

Kolumny przygotowała
Agata Gogolewicz

Tomasz Skowronek

Barcelończycy walczą z gangami

Nieletni kieszonkowcy
okradają turystów i mieszkańców miasta.
Dziennie popełnia się tutaj aż 635 przestępstw

Barcelona stała się jednym z najniebezpieczniejszych miast w Hiszpanii – w katalońskiej stolicy nasilają się ataki rabunkowe, zwłaszcza na turystów. Sprawa przestępczości jest na tyle alarmująca, że mieszkańcy niektórych dzielnic poculi się zagrożeni i postanowili zmobilizować się przeciwko przemocy.

Sześć kobiet z dzielnicy Maresme spędza popołudnie na barcelońskim bulwarze Rambla de Prim. Wszystkie są wyposażone w patelnie i gwizdki – organizują właśnie kolejny uliczny protest przeciwko narastającej przestępczości. Estel, najstarsza, porusza się o lasce. Zaangażowała się w protesty, po tym jak kilka miesięcy temu złodzieje dźgnęli nożem jej syna, próbując wyrwać mu z ręki portfel. Carina została okradziona z emerytury przez dwóch chłopaków, kiedy wychodziła z domu. Złodzieje zepchnęli ją ze schodów.

Do organizowanych przez nie marszów przyłącza się kilkudziesięciu, a nieraz nawet kilkuset mieszkańców śródmiejskiej metropolii. Kobiety nie ograniczają się jednak do wychodzenia na ulicę, aby wyrazić gniew przeciwko przemocy. Czujnie

i morderstw, a potem rozpowszechniają je w internecie, m.in. na Helpers (Pomocnicy) – jednej z najpopularniejszych platform sąsiedzkich, na której zgromadzono informacje o przestępstwach popełnionych w mieście.

„Wolimy pozostać anonimowi ze względów bezpieczeństwa. Większość pomocników należy do miejskich stowarzyszeń, a niektórym zagrażają handlarze narkotyków. Wolimy nie ryzykować”, wyjaśnia w rozmowie z dziennikarzem gazety „El Mundo” osoba ukrywająca się pod niewielkim mówiącym profilem na Twitterze. Tłumaczy, że zainspirowała się Aniołami Stróżami, mieszkańcami Nowego Jorku, którzy 40 lat temu postanowili walczyć z przestępczością na ulicy. „Paradoksalnie w Barcelonie napad dokonywany jest co dwie minuty, podczas gdy w Nowym Jorku,

wizyty w Barcelonie został zaatakowany przez grupę młodych ludzi, którzy przewrócili go na ziemię, by zerwać mu z ręki zegarek. Tego samego dnia inna grupa nastolatków rzuciła się na 91-letnią francuską turystkę, aby ukraść jej złoty łańcuszek. To tylko niektóre z wielu rabunków mających miejsce na barcelońskich ulicach. „El Mundo” alarmuje, że dziennie popełnia się tutaj aż 635 przestępstw.

Trwa to już od jakiegoś czasu. Według źródeł Ministerstwa Spraw Wewnętrznych liczba napadów z użyciem przemocy skoczyła z 9650 w 2016 r. do 10 285 w 2017 r., a następnie do 12 277 w 2018 r. Oznacza to wzrost o ponad 27% w ciągu dwóch lat. To zjawisko nasiliło się również w pierwszym kwartale 2019 r. – w porównaniu z analogicznym okresem w poprzednim roku, zanotowano wzrost liczby przestępstw o 28,6%. Jednocześnie coraz częstsze są przypadki zabójstw. W 2018 r. doszło do 10 morderstw, w tym roku odnotowano już 15. Ostatnie miało miejsce na początku września. Ofiarą była 26-letnia kobieta, która zmarła po ataku nożem w barze w kompleksie Port Olímpic, próbując zapobiec kradzieży swojego telefonu komórkowego.

Największą przestępczość charakteryzuje Stare Miasto – historyczną dzielnicę popularną wśród turystów, z katedrą św. Eulalii, zabytkami z czasów rzymskich i licznymi restauracjami. Dane zgromadzone przez władze Barcelony świadczą o tym, że w 2018 r. 36,6% mieszkańców tej dzielnicy padło ofiarą przestępstwa, a w sierpniu liczba napadów z użyciem przemocy lub zastraszania zwiększyła się dwukrotnie w porównaniu z sytuacją sprzed roku. Właśnie tu oddziały autonomicznej katalońskiej policji Mossos d'Esquadra, powołanej do przeciwdziałania zamieszkom, najczęściej wychodzą na patrole z policją lokalną.

Filmując i nagłaśniając przestępstwa, chcemy wywierać presję na władze miasta – mówią mieszkańcy.

obserwują też otoczenie z okien albo balkonów swoich domów. Ich główną bronią są smartfony – nagrywają nimi wszystko, co widzą z góry: napady, bójki, handel narkotykami. Potem wysyłają te ujawniające kryminalne zachowania filmiki na internetowe platformy sąsiedzkie, do władz lokalnych albo po prostu udostępniają je w sieci. „Wszystkie nagrania przestępstw są wysyłane do radnego okręgu San Martín, a następnie przekazywane radzie miasta, aby podjęła dalsze działania”, wyjaśnia Mercedes, rzeczniczka platformy SOS Maresme. „Wielu sąsiadów opuszcza naszą dzielnicę ze strachu”, dodaje.

Kolejną inicjatywą mieszkańców jest dobrowolne pełnienie funkcji lokalnych „strażników” – na taką formę aktywności zdecydowało się co najmniej 1,4 tys. obywateli. Fotografują i rejestrują przypadki kradzieży, bójek

na Bronksie, zdarza się to co pięć minut. Filmując i nagłaśniając przestępstwa, chcemy wywierać presję na władze miasta. Współpracujemy z sąsiadami z różnych dzielnic, o różnym statusie społecznym. Wśród nas są sklepikarze, studenci, emeryci, rodzice, działacze społeczni o różnych poglądach politycznych. Codziennie otrzymujemy mnóstwo skarg, które w wielu przypadkach zawierają odpowiednie informacje i są automatycznie przekazywane policji”, dodaje.

Kilka brutalnych napadów na turystów czy dyplomatów zwróciło uwagę także zagranicznych mediów. W czerwcu urzędniczka z Korei Południowej zmarła w wyniku odniesionych obrażeń – została powalona na ziemię, po tym jak złodziej jadący motocyklem próbował wyrwać jej torebkę; w sierpniu ambasador Afganistanu w Hiszpanii podczas prywatnej

Okolice nigdy nie cieszyła się dobrą reputacją. Gęsto zaludnione stare ulice, mroczne zaułki, zestawienie bogactwa i turystyki z ubóstwem i narkotykami to przepis na przestępczość uliczną. Mimo atrakcyjnej lokalizacji i ciekawej architektury zamożniejsi mieszkańcy Barcelony w dużej mierze opuścili starówkę już pod koniec XX w., nie mogąc znieść obskurnych mieszkań i wąskich, śmierdzących alejek. Najgorszą opinię miał teren El Raval, ledwie o krok od turystycznych atrakcji miasta, takich jak Las Ramblas, plac Kataloński czy port.

W latach 80. dzielnica uchodziła za królestwo narkomanów i prostytutki. Każdy, kto tu się pojawił, od razu uważał to, czym El Raval się wyróżniało – w oknach czy na balkonikach

kach turystycznych możemy przeczytać, że to mekka artystów – owszem, za dnia spotykamy tu ulicznych muzyków czy malarzy, na każdym kroku działają kafejki czy sklepiki, ale późnym wieczorem robi się tu mniej przyjemnie. Handlarze narkotyków, złodzieje, uciekinierzy z kryminalną przeszłością i nieletni przestępcy ukrywają się w zaułkach. Sytuacja jeszcze się pogorszyła od czasu kryzysu finansowego w 2007 r. Eksmisje z tamtego okresu doprowadziły do zmniejszenia liczby mieszkańców, a przejęte przez banki nieruchomości zostały opuszczone. To sprawiło, że puste lokale

„W lipcu i sierpniu El Raval robi się gorsze od Bronksu”, narzeka 39-letni Santi Rodríguez, właściciel sklepu z odzieżą i mieszkaniem tej dzielnicy, w rozmowie z lokalnymi mediami. „Zwiększająca się liczba przestępstw wywarła ogromny wpływ na naszą firmę. Latem obserwowaliśmy ok. 10-15 napadów dziennie”, dorzuca.

Zdaniem katalońskiego dziennika „La Vanguardia” politycy nie są w stanie uzgodnić, co dokładnie dzieje się na ulicach Barcelony. Wśród przyczyn podaje się m.in. masową turystykę, skutki kryzysu finansowego i niewystarczającą liczbę policjantów

Profesor historii Oriol Jiménez uważa, że Barcelona jest stolicą narkotyków i prostytutki w południowej Europie.



Najgorszą opinię wśród mieszkańców ma teren El Raval, o krok od turystycznych atrakcji miasta, takich jak Las Ramblas (nz.) czy plac Kataloński.

nie wisiły katalońskie flagi Estelada, lecz czerwone, białe bądź niebieskie sztandary opowiadające zupełnie inną historię. Otóż służyły one niegdyś do znakowania miejsc, w których handlowano narkotykami. Kolor czerwony oznaczał, że w danym momencie sprzedaj jest wstrzymana, niebieski ostrzegał przed obecnością policji, a biały symbolizował, że środki odurzające są dostępne dla kupujących.

Po igrzyskach olimpijskich w 1992 r. El Raval weszło na ścieżkę intensywnej gentryfikacji. Obecnie w przewodni-

ponownie przekształcono w *narcopis* (narkotykowe mieszkania), w których środki odurzające są sprzedawane i zażywane. Niektórzy mieszkańcy są przerażeni porzuconymi strzykawkami i częstymi awanturami. Oriol Jiménez, profesor historii, uważa nawet, że Barcelona stała się stolicą narkotyków i prostytutki w południowej Europie. Faktem jest, że liczba uzależnionych od heroiny gwałtownie wzrosła, a niektóre badania wskazują, że metropolia zajmuje czołowe miejsce pod względem zażywania kokainy.

(policyjne związki zawodowe szacują, że w całej Katalonii potrzeba 2 tys. dodatkowych mundurowych w celu zapewnienia bezpieczeństwa). Dodatkowym problemem są pozbawione opieki grupki małoletnich, określane jako MENA. Często są to północnoafrykańscy imigranci, którzy w ostatnich latach przybyli do Hiszpanii bez rodziców, głównie z Algierii albo z Maroka. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w całym kraju jest obecnie 12,5 tys. takich

► nieletnich, a w samej Barcelonie ich liczbę szacuje się na kilka tysięcy. Właśnie ich oskarża się o napędzanie przestępczości w mieście.

Siły regionalne utworzyły nawet specjalną grupę do walki z gangami młodzieżowymi. Mają częściej kontrolować młodych ludzi oraz np. sprawdzać, gdzie chodzą i z kim się spotykają. Grupki nieletnich imigrantów można spotkać głównie w parku Sant Pau del Camp, gdzie siedzą na trawie i rozmawiają, niekiedy umilając sobie czas wachaniem kleju. Jeszcze inni śpią na skraju wzgórza Montjuïc, zaledwie kilka metrów od Magicznej Fontanny, bądź rozbijają swoje namioty przy placach budowy. Większość dotarła do Hiszpanii drogą morską, ukrywając się np. w Tancerze pod przyczepami ciężarówek, które później na pokładzie promów dotarły do Barcelony.

„Aby przetrwać, handlują narkotykami, kradną telefony komórkowe, a nawet prostytuują się”, wyjaśnia Peio Sánchez, proboszcz w kościele Santa Ana w centralnej dzielnicy Ciutat Vella, który na co dzień pomaga

bezdolnym. Duchowny mówi, że niektórzy młodzi ludzie przychodzą do kościoła z poważnymi problemami psychicznymi i uzależnieniami od różnych substancji. Są także ofiarami gangów działających w okolicy, które wykorzystują nieletnich do okradania turystów.

„Niektórzy atakują ludzi, okradają ich, czasem ranią; widziałem nawet, jak zaatakowali człowieka podczas rozładowywania samochodu”, wspomina Manel Martínez z klubu sąsiedzkiego El Raval i dodaje, że sąsiedzi wolą w nocy nie zapuszczać się w pewne okolice. Jednak zdaniem Martíneza tylko nieliczni nieletni imigranci są powodem problemów z rosnącą przestępczością. Mimo to ten stereotyp psuje opinię innym żyjącym w mieście Marokańczykom i jest przyczyną ogólnego niepokoju.

Tak czy inaczej, według danych Mossos d'Esquadra 12% nieletnich imigrantów brało udział w poważniejszych przestępstwach, takich jak kradzieże z użyciem przemocy i rabunki, a pozostałe 6% ma na koncie mniejsze przestępstwa, np. wanda-

lizm czy kradzieże o wartości poniżej 400 euro. Służby porządkowe twierdzą też, że większość imigrantów nie popełnia przestępstw, ale ci, którzy już zdecydowali się na ten krok, wykazują dużą skłonność do ponownego łamania prawa.

W ciągu prawie trzech dekad Barcelona zmieniła wizerunek, postrzegana jest jako miasto tętniące życiem i coraz lepiej prosperujące. Stolica Katalonii ma również opinię lidera w postępowym planowaniu urbanistycznym, słynie jako miejsce przyciągające nie tylko podróżników, ale i artystów czy społeczników. Jednocześnie musi się zmierzyć z wieloma problemami: niekontrolowaną masową turystyką, rosnącymi czynszami, zagrożeniem terrorystycznym, napięciami politycznymi czy oziębłymi relacjami z madryckimi władzami. I chociaż Hiszpania ciągle uchodzi za jeden z bezpieczniejszych krajów w Europie (w Walencji czy Sewilli przestępczość wręcz spada), wzrost przemocy w Barcelonie jest niepokojącym zjawiskiem.

Tomasz Skowronek



BRIT FLOYD

~40~
**YEARS OF
THE WALL**
PLUS THE DARK SIDE
OF THE MOON
AND MORE!

13.11.2019
CENTRUM KONGRESOWE ICE KRAKÓW

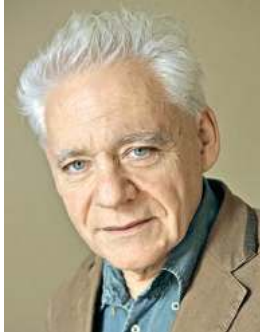
14.11.2019
SALA ZIEMI, MTP POZNAŃ

BILETY: LIVENATION.PL

Wp cgm.pl wprogt wleczpospolita ANTRAM LIVE NATION



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nieszczęśliwa miłość

Wiele lat temu prowadziłem na targach książki we Frankfurcie spotkanie autorskie z Olgą Tokarczuk. Nie miała jeszcze wprawy w takich spotkaniach, przerażona, spłoszona, pamiętam, że byłem bardzo opiekuńczy. To nie jest moja ulubiona pisarka, jej książki nie wchodzi mi w głowę, ale to na pewno wina nie ich, tylko mojej głowy. Bardzo jednak się cieszę z tej nagrody, to nie sama literatura, autorka jest świetnym człowiekiem. I jej głos będzie ważny w Polsce, w kraju, gdzie zniszczono wszystkie autorytety.

Poświęcam się i kupuję na jutro „Gazetę Polską”. W ledwie widocznym pasku na górze szły literki małe jak mrówki. „Komitet noblowski przestał być autorytetem literackim, za to kojarzy się z molestowaniem seksualnym oraz przyznawaniem prestiżowej kiedyś nagrody trzeciorzędnym, ale za to lewackim pisarzom czy marksistowskim satyrykom grafomanom”. Prawda, że sympatycznie czytelnicy tego pisma zostali poinformowani o Noblu dla polskiej pisarki, pierwszym polskim Noblu za prozę po Reymoncie? Powinni go dostać Ziemiałowicz i Wildstein na spółkę.

Byłem w Trzemesznie (cudowna nazwa dla cudzoziemców), miasteczku blisko Gniezna, gdy przysłała wiadomość o Tokarczuk. Dwa spotkania, z dorosłymi, ale też z dziećmi. Duża sala pełna po brzegi, nie do pomyślenia taka duża publiczność w dużym mieście i takie zaangażowanie emocjonalne słuchaczy. Zawsze dobrze się czuję, gdy prowadzę spotkanie, nie mam tremy – ja, który się jąkam, gdy wchodzę do banku czy do mięsnego, mówię zupełnie swobodnie, może to narcyzm. Nie udaję niczego, mówię o swoich słabościach, a wiersze, które czytam, trafiają do ludzi, to się czuje. Wzruszenie, że w takim małym miasteczku jest tylu wrażliwych, myślących ludzi. Ta elita zwykle nie kocha PiS. Dlatego prezes coraz głośniejsze woła, że trzeba wymienić elity, te kulturalne szczególnie. Elity niszczyli hitlerowcy i komuniści. Bo każdy dyktator wie, że aby skundlić naród, podporządkować go duchowo, trzeba zniszczyć jego elitę i stworzyć nową, własną. Pisarze w czasach stalinowskich mieli być inżynierami ludzkich dusz, to hasło Stalina. Celem było stworzenie nowego człowieka. Prezes też ma takie plany. Polak „dobrej zmiany” będzie z nowym wyposażeniem duchowym. Jak umeblować nowego inteligenta, widać choćby po tym, jak są umeblowani pisowscy inteligenci,

choćby zgrzytliwy Zybertowicz, upiorny Ziemiałowicz czy Wildstein, słodki sen antysemita. To rzeczywiście jakiś inny, nowy gatunek człowieka, cokolwiek mówią, mam odruchy wymiotne lub czuję agresję.

Idziemy głosować, jest z nami Franio. Próbuję mu wytłumaczyć, co to są wybory i jak są ważne, też dla jego przyszłości. Jak mu wyjaśnić, co to parlament, co rząd? To karkołomnie trudne. Jak bajkę o złym wilku opowiadam o złych ludziach, którzy rządzą teraz Polską. Długa kolejka, nie pamiętam takiej. Franio wrzuca kartki, bardzo przejęty. Wchodząc, widzimy ludzi, którzy stoją przy wywieszonych listach i zastanawiają się, na kogo głosować. „Na niego

nie, on źle traktował swoje dziecko”, mówi jakiś starszy pan do żony. To są ci niezdeterminowani. Od nich zależy los Polski. Mało mają własnego

rozsądku, są zwykle edukowani przez media publiczne, szczególnie kiedy nie mają innych. Jeżdżę po Polsce, po małych miasteczkach, nie ma tam często TVN 24.

Wyniki wyborów zgodne ze smutnymi oczekiwaniami. Polska dramatycznie pęknięta na pół. Miasta przeciwko PiS, za PiS emeryci i prosty lud. Opozycja była za słaba, a nie PiS za mocne. Na opozycję w sumie oddano milion głosów więcej niż na prawicę. To nie światło, to światło w tunelu.

Obiad w marnej międzyleskiej knajpcie wietnamskiej, ale lubię to nędzne jedzenie. Obok siedzi nieznajomy mężczyzna w średnim wieku, mówi zniechęconie do mnie: „Co pan, panie Tomasz, myśli o wyborach?”. „To samo, co pan”, odpowiadam. Rozmawiamy, jak jest koszmarnie. Zaraz potem w sklepiku z pierogami słyszę, jak klientka mówi do sprzedawczynie: „Droga pani, tak się denerwowałam, tak się denerwowałam, że myślałam, że umrę”. „Ale wszystko skończyło się dobrze”, podsumowuje ta od pierogów. Rozmawiają o wyborach. Tak dwójka wygląda dzisiaj Polska.

Bliskie są mi słowa Marii Dąbrowskiej zapisane w dzienniku: „Dziwne to mieć i kochać ojczyznę, do której tyłu właściwości niepodobna się przyzwyczaić – od klimatu poczynawszy, na psychice rodaków skończywszy. To doprawdy w całym znaczeniu tego słowa miłość nieszczęśliwa”.

Podatek dla zdrowia

W Polsce wrócił temat podatku od niezdrowej żywności. Obowiązuje on już w 25 państwach



Dorota Bartosewicz

– Nie radzę. Jest drożej niż w Polsce, a i smak nie ten – przestrzega mnie koleżanka, kiedy w Londynie sięgam w sklepie po fantę. – Coca-Cola zmieniła przepis – ubolewają inni znajomi z Wielkiej Brytanii.

Popularny napój na Wyspach faktycznie może smakować inaczej niż w Polsce. Wszystko ze względu na mniejszą zawartość cukru. Spadła ona z prawie 7 g do 4,6 g w 100 ml, po tym jak w 2018 r. rząd wprowadził specjalny podatek od niezdrowej żywności.

Cukier, sól, tłuszcz

Wielka Brytania nie jest jedyna. W latach 2015-2019 podatek od grzechu – tak najczęściej mówi się o nim w branży – wprowadziło 19 krajów, w tym pięć z Europy. Obok Wielkiej Brytanii m.in. Estonia, Łotwa i Litwa.

Ale przełomowy pod tym względem był rok 2011. W Danii obłożono podatkiem nie tylko tłuszcze zwierzęce, ale także nabiał i mięso. W Finlandii daninę od cukru nałożono na napoje, słodycze i lody. Rok później podobny podatek wprowadzono we Francji – z wyłączeniem mleka i produktów dla niemowląt (również są dosładzane), za to obowiązkowo na energetyki.

Najbardziej złożony system podatkowy obowiązuje na Węgrzech. Dotyczy napojów orzeźwiających i energetycznych, paczkowanych słodyczy oraz chipsów i słonych przekąsek,

a także przypraw w proszku, które nie- rzadko mają ponad 5 g soli w 100 g produktu.

Dziś podatki od niezdrowej żywności obowiązują już w 25 państwach, w tym w Belgii (napoje z dodatkiem cukru), Norwegii (napoje i syropy z dodatkiem cukru lub słodziku), Australii (słodycze i wyroby piekarnicze) i Meksyku, gdzie podatek nałożono nie tylko na napoje słodzone i energetyczne, ale też na żywność wysokokaloryczną (chipsy, słodycze, płatki śniadaniowe), a także na syropy, koncentraty oraz dżemy.

System fiskalnych obciążeń niezdrowej żywności działa też w wielu stanach USA, podkreśla Olga Borkowska, prawniczka z Instytutu im. Mikołaja Sienickiego. – Pierwszym miastem w Stanach Zjednoczonych, które przyjęło podatek od cukru, było Berkeley w Kalifornii. Stało się to w maju 2015 r., a wcześniej poparło go 76% mieszkańców – przypomina. Z czasem dołączyły kolejne miasta. – Dziś obowiązuje on m.in. w Filadelfii, San Francisco, Oakland, Albany (Kalifornia), Boulder (Kolorado) i Cook County (Illinois).

W ostatniej dekadzie wdrożyły go również m.in. Barbados, Polinezja Francuska, Nauru, Fidżi, Wyspa św. Heleny, Tonga oraz Republika Południowej Afryki.

Podatki nakładane są na niemal wszystkie typy produktów zawierających duże ilości substancji z grupy HSSF (skrót od angielskiego *high sugar, salt, fat*), czyli cukru, soli i tłuszczu. Różnią się sposobem naliczania i wysokością. O ile w Estonii podatek

jednej wysokości obejmuje wszystkie napoje zawierające cukier i inne substancje słodzące w ilości ponad 5 g na 100 ml, o tyle w Wielkiej Brytanii jest progresywny. Wynosi 18 pensów za litr dla napojów, w skład których wchodzi od 5 do 8 g cukru na 100 ml, oraz 24 pensów za litr, jeśli cukru jest więcej niż 8 g.

Wanna ze słodkimi napojami

Zainteresowanie niezdrową żywnością to efekt epidemii otyłości. Jak podaje prestiżowe pismo medyczne „The Lancet” – trzy razy więcej ludzi umiera z powodu otyłości niż przez niedożywienie. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) uznaje otyłość za najgroźniejszą chorobę przewlekłą. „Nieleczona prowadzi do rozwoju chorób układu krążenia, cukrzycy typu 2, zespołu metabolicznego, zaburzeń hormonalnych, zwiększa również ryzyko zachorowań na niektóre nowotwory”, piszą eksperci WHO. Nadwaga skracza życie średnio o trzy lata, a otyłość o siedem lat w wypadku osób niepalących i aż o 14 lat u palaczy.

Fachowcy jako główną przyczynę otyłości wskazują przede wszystkim śmieciowe jedzenie i upodobanie do cukru – statystyczny Polak w 2018 r. zjadł go 51 kg, podczas gdy rok wcześniej 44,5 kg. Steve Brine, przedstawiciel brytyjskiego resortu zdrowia, mówił dosadnie: „Nastolatki co roku konsumują średnio równowartość wanny słodkich napojów”. W grę wchodzi zmiana nawyków żywieniowych, na które nakłada się wzrost zamożności. Bo nie dość, że

kupujemy więcej, to jeszcze są to produkty coraz bardziej przetworzone: napoje gazowane zamiast wody, batony i wafelki zamiast owoców czy gotowe ciasta zamiast składników do ich upieczenia.

Inna sprawa, że o skali problemu dyskutujemy przy okazji tworzenia budżetu (im bardziej schorowane społeczeństwo, tym wydatki na służbę zdrowia wyższe) i wielkich afer. Na przykład gdy wydarzy się coś takiego jak w Wielkiej Brytanii. 19-latek stracił wzrok i słuch, po tym jak przez 10 lat jadł głównie wysoko przetworzoną żywność i pił wysokokaloryczne napoje. Ilu polskich nastolatków dotyczy problem nadwagi i otyłości? Dokładne liczby nie są znane, ale na pewno jest to ponad 10%. Oficjalne statystyki Instytutu Żywności i Żywienia mówią tylko o 67,3% dorosłych mężczyzn i 53% dorosłych kobiet. Zgodnie ze Światowym Indekssem Bezpieczeństwa Żywnościowego (*Global Food Security Index*) Polska zajmuje szóste miejsce w Europie pod względem liczby osób otyłych.

VAT-owski paradoks

Ograniczeniu zakupów i konsumpcji określonych produktów mogłoby służyć obok podatku od niezdrowej żywności zróżnicowanie stawek VAT. Problem w tym, że obecny system jest pełen absurdów. – Bo jak racjonalnie wytłumaczyć zróżnicowanie opodatkowania wody w postaci naturalnej, czyli z kranu, która ma stawkę 8%, i butelkowanej, obłożonej stawką 23-procentową? Albo chipsów ziemniaczanych (8%) i kukurydźnianych (23%). Albo jabłek (5%) i bananów (8%) – pyta retorycznie Katarzyna Dąbkowska-Rybka z firmy konsultingowej Crido, współautorka raportu „Apetyt maleje wraz ze wzrostem podatków”.

Bo choć co do zasady stawka 5% powinna obowiązywać na produkty nieprzetworzone, 8% – na przetworzone, a 23% – na negatywnie wpływające na zdrowie, to przykłady niespójnych rozwiązań fiskalnych można mnożyć. Cukier opodatkowany jest stawką VAT 8%, podczas gdy np. czekolada już 23-procentową. „Trudno uznać, że wpisuje się to w ramy jakiegokolwiek logiki. Nie sposób wskazać klucza, według którego przyporządkowywane są stawki VAT. Taką

sytuacja występuje od dobrych kilku lat”, oceniają eksperci Crido.

Nowe stawki VAT wejdą w życie 1 kwietnia 2020 r. Trudno jednak i w niej doszukać się spójności, podkreślają specjaliści z Crido. Owoce morza mają mieć wyższy VAT (23%), a słone przekąski (np. chipsy) oraz pieczywo, i to bez wyjątku, niższy (5%). „Oznacza to, że wszelkiego rodzaju wyroby piekarskie i cukiernicze (np. herbatniki, pierniki, drożdżówki) korzystać będą z obniżonej stawki VAT bez względu na ich jakość odżywczą, którą z całą pewnością przynajmniej w części tego rodzaju produktów można uznać za wątpliwą”.

Statystyczny Polak w 2018 r. zjadł 51 kg cukru. Rok wcześniej – 44,5 kg.

Co gorsza, wcześniejszy projekt – został zdjęty z porządku obrad w trakcie pierwszego czytania – zakładał, że 100-procentowe soki warzywne i owocowe miałyby preferencyjną stawkę (teraz min. 20%), i to niezależnie od tego, czy zawierałyby cukier lub inne środki słodzące. Zarówno naturalne, jak i syntetyczne. Z kolei 80-procentowe soki, bez konserwantów i sztucznych słodzików, miałyby już wyższy VAT. Eksperci Crido podnosili wówczas: „Wydaje się, że nowa matryca stawek VAT wprowadza swoistego rodzaju paradoks, budzący dość poważną wątpliwość, że omawiana zmiana ma charakter prozdrowotny”.

Co obłożyć?

W Polsce wraca temat podatku od niezdrowej żywności. Pięć lat temu resort finansów już się do niego przymierzał. Miał dotyczyć napojów gazowanych, a stawka miała zależeć od ilości cukru. Wahala się od 1 do 10 gr za litr. Teraz temat kolejny raz stał się nośny. Na tyle, że powstał już dokument, który mógłby być bazą do wprowadzenia podatku. Co więcej, zyskał on poparcie krajowego konsultanta ds. zdrowia publicznego. Propozycja zakłada opodatkowanie słodkich napojów i batoników. Docelowo zaś wszystkich produktów słodzonych cukrem. Szczegółów na razie brak.

Zdaniem zwolenników wprowadzenia nowej daniny szybko przyczyni się ona do zmniejszenia spożycia

mniej zdrowych lub wprost szkodliwych produktów. Zagraniczne badania zresztą to potwierdzają. Według Institut National de Santé Publique z Quebecu sprzedaż napojów słodzonych w 2014 r. spadła o 5,5%, a rok później już o 9,7%.

To z kolei przełoży się na lepsze zdrowie i niższe koszty leczenia. „Kanadyjscy badacze opublikowali raport wskazujący, że 20-procentowy podatek akcyzowy na napoje słodzone, w tym z dodatkiem cukru i zawierające czysty sok owocowy, może zapobiec aż 69,5 tys. przypadków nadwagi i 449,7 tys. przypadków otyłości w ciągu najbliższych

25 lat”, podaje Instytut im. Mikołaja Sienickiego. Dalej zaś: „Poprzez zmniejszenie nadwagi i otyłości naukowcy przewidywali, że podatek ten zapobiegnie 12 053 przypadkom raka, 36 996 przypadkom choroby niedokrwiennej serca, 4833 przypadkom zaburzeń sercowo-naczyniowych oraz 138 635 przypadkom cukrzycy typu 2. Ten sam raport wskazuje, że podatek pozwoliłby zaoszczędzić prawie 11,5 mld dol. na bezpośrednich kosztach opieki zdrowotnej, a ponadto wygenerowałby 1,7 mld dol. przychodu”.

Zdaniem przeciwników wprowadzenia tych obciążeń może to jednak przynieść skutek odwrotny do oczekiwanego. Po pierwsze, niezdrowa żywność nierzadko jest zamieniana na używki, w tym papierosy. Po drugie, zmienia się zachowanie osób, które nie mają problemów z nadwagą i otyłością, a to szczególnie istotne w przypadku podatku od tłuszczów. „Cukier jest tym produktem, który należy wykluczyć z diety, tłuszcz – niekoniecznie. Jego niewielka ilość jest niezbędna do prawidłowego funkcjonowania”, zwracają uwagę eksperci z Instytutu im. Sienickiego. Po trzecie, podatek najbardziej uderza w osoby o niskim statusie materialnym. Klienci szukają wtedy tańszych zamienników, a więc i tych mniej zdrowych. Poza tym przyjmują więcej kalorii z innych źródeł, przede wszystkim cukrów. Na ile to realne zagrożenie? W 2013 r. Dania wycofała się z podatku od tłuszczów. Zaledwie po dwóch latach od jego wprowadzenia. ■

Trzeci kolejny awans

Drużyna jest wciąż w budowie, a jaką PZPN i spółka zbudują, dopiero zobaczymy

Maciej Polkowski

Późnym wieczorem 10 października selekcjoner reprezentacji piłkarskiej Jerzy Brzęczek mógł podejść do Zbigniewa Bońka i zacytować klasyka: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!“. Od chwili nominacji na szefa kadry (12 lipca 2018 r.) minęło raptem 15 miesięcy i nawet najzagorzalsi adwersarze rzucili się sobie w ramiona. Nie mogło być inaczej, ponieważ biało-czerwoni na dwie kolejki przed zakończeniem eliminacji zapewnili sobie udział w finałach mistrzostw Europy 2020. Zapanowała radość, ale bez przesadnej euforii.

Raz, dwa, trzy... kapitana

Październikowy dwumecz zaczęto od wyjazdu do Rygi. Z graczy, do obecności których w kadrze już się przyzwyczailiśmy, zabrakło kontuzjowanych Jakuba Błaszczykowskiego i Łukasza Fabiańskiego. Ten drugi doznał urazu stawu biodrowego i chociaż alternatywą była terapia zachowawcza, zdecydował się na całkowite wyleczenie. Był operowany w jednym z londyńskich

W Lechu Poznań (wcześniejszych klubów nie uwzględniam), choć w dwa sezony zdobył 41 bramek i opuszczał klub jako król strzelców Ekstraklasy, nie udało mu się to – o dziwo – ani razu. Za to w Borussii Dortmund miał cztery hat tricki, w Bayernie Monachium – dziewięć i w reprezentacji Polski – pięć.

Jak przyznał, czasami zapominał zabrać ze sobą futbolówkę, która mu się tradycyjnie należała... W 110 meczach w narodowych barwach zdobył 60 bramek i wyprzedza Włodzimierza Lubańskiego (48), Grzegorza Latę (45) i Kazimierza Deynę (41).

Po szybkim objęciu prowadzenia 2:0 nasi zawodnicy jeszcze trochę pograli, a potem niby kopali piłkę, ale z jakąś przesadną życzliwością dla rywali – jakby nie chcieli dotkliwie kopać leżącego.

Tak czy owak – konfrontacja z Łotyszami to całkowita dominacja i świetna dyspozycja naszego snajpera. Gdzieś wyczytałem, że „nareszcie się odblokował”. Bzdura – nie tyle się odblokował, ile dostawał nareszcie piłkę w sytuacjach dogodnych do oddania strzału. A po meczu powiedział m.in.: „Wykonaliśmy dziś swoje zadanie i odnieśliśmy

tekście o meczach reprezentacji (PRZEGLĄD nr 38/2019).

Lewandowski o Lewandowskim

Bardzo lubię czytać pomeczowe recenzje Andrzeja Lewandowskiego. Jeden z nestorów dziennikarstwa sportowego za każdym razem udowadnia, że o piłce można pisać z sensem, krótko i na temat. Przez całe lata (1953-1996) pracował w „Trybunie Ludu”, a potem w „Trybunie”. Był tam m.in. kierownikiem działu sportowego, który swego czasu był uznawany za najlepszy dział krajowego dziennika.

W tekście „Pan Robert – Łotwa 3:0” napisał: „Na los nie wybrzydzam, reprezentacji piłkarskiej nie mam za złe. Pokonała Łotyszów aż 3:0 – a mecz był wyjazdowy. Komplet punktów wygrała, w tabeli eliminacyjnej mistrzostw Europy ma mocną pozycję i – sędzę – awans w kieszeni... To o co chodzi?”

Tu dopiero widzę schody. Nie spieram się z komentatorami telewizyjnymi, ale części ich refleksji łatwo za swoje nie wezmę. Zwłaszcza tego podtekstu, że to, co niepokojące – przeminęło, i już są tego dowody, bo... Nie odważę się na taką tezę, bo... po prostu nie wiem, jaki jest obraz prawdziwy. Powodzenie w meczu ze słabieńkim i jeszcze kiepsko dysponowanym rywalem niekoniecznie jest dowodem odnowy. Dla mnie – drużyna jest wciąż w budowie, a jaką PZPN i spółka zbudują, dopiero zobaczymy. Już dwakroć niedawnymi laty były awanse, aspiracje zwyżkowały, a boisko nas sprowadzało na ziemię. Twardą, jak się okazało. Bo rywale inni, a nasi wciąż jednak tacy sami, piłkarsko średni. Remiechy, wciąż nie artyści...

Wolę więc poczekać, na zimne podmuchy, optymizmu z lasu współczesności za bardzo i za łatwo nie wyciągać. Hasło «ŁOTWA» niech przebrzmi; dorobek zostanie, a budowanie niech zyska na jakości.

Rywale inni, a nasi wciąż tacy sami, piłkarsko średni.

szpitali i na boisko powróci dopiero w przyszłym roku. W bramce stanął więc Wojciech Szczęsny. Wieczorem 6 października rywalem była drużyna narodowa Łotwy, czyli – przy całym szacunku – grupowy „chłopiec do bicia”. Bez punktu, z jednym golem zdobytym na starcie eliminacji przeciwko Macedonii Północnej (1:3). Po zaledwie 13 minutach i dwóch trafieniach Roberta Lewandowskiego było – jak się określa potocznie – pozamiatane. A że wedle znanego powiedzenia *Boh trojcu lubit*, w 76. minucie Lewy po raz trzeci pokonał bramkarza gospodarzy.

To był 19. występ, w którym RL10 trafił do siatki przynajmniej trzy razy.

pewne zwycięstwo. Zawsze można strzelić więcej bramek, ale mamy drugi mecz, który może decydować o awansie. Dziś po dwóch bramkach może być lekko zaciągnięty hamulec, żeby się oszczędzać przed niedzielą, ale wtedy już nie będzie można tego robić. Tutaj brakowało piłkarskiej atmosfery. Sebastian Szymański, dla mnie bez zaskoczenia – rozegrał bardzo dobre spotkanie, wiedział, kiedy zagrać »na raz«, a kiedy utrzymać piłkę”. Oprócz, co oczywiste, Lewandowskiego właśnie piłkarza Dynama Moskwa uznano za wyróżniającego się gracza czwartkowej potyczki. Nie pomyliliśmy się, przybliżając jego sylwetkę w poprzednim

Łotewscy piłkarze – Marcis Oss i Kaspars Dubra – nie zatrzymali Roberta Lewandowskiego podczas meczu w Rydze 10 października.



HAT TRICKI KAPITANA

1. 7 września 2014 r. (Gibraltar-Polska 0:7) – **4 gole**
2. 13 czerwca 2015 r. (Polska-Gruzja 4:0)
3. 8 października 2016 r. (Polska-Dania 3:2)
4. 10 czerwca 2017 r. (Polska-Rumunia 3:1)
5. 5 października 2017 r. (Armenia-Polska 1:6)
6. 10 października 2019 r. (Łotwa-Polska 0:3)

Nawiasem, gdy czytam i słucham, już jednak się domyślam, że umowna szatnia nie jest zgodna, że przeżyła wesele... Na przykład piłkarz Kamil Glik nie kryje, że ma parę krytycznych uwag. »Pierwsze 20 minut zagraliśmy super, ale później już każdy pod siebie, jakimiś piętami, tylko po to, by strzelać bramki. Nie o to w piłce chodzi« – narzekał.

Zbigniew Boniek też efektowny w słowach, ale ostrożniejszy od komentatorów. »Nie lubię być pewny siebie przed meczem. Uważam, że pokora, żołądek przyklejony do pleców, granie na pełen gwizdek jest lepsze niż deklaracje. Mecze się wygrywa, a nie deklaruje przed mikrofonem« – podsumował pytanie-zaczątkę o następny mecz szef PZPN.

Łotewski epizod mamy więc z głowy, czas na pean pod adresem Roberta Lewandowskiego. 3:0 to gole z jego podpisem. A każdy gol inny. Sportowa złość znalazła ujście, a prezesowskie uwagi, że kapitan może niepotrzebnie (mam zdanie odmienne) niektóre refleksje o stylu reprezentacji publicznie opisać – jakby panu Robertowi skrzydeł przydały. I zakoncerczował”.

Reprezentacja jak plac budowy

O ile gospodarze Stadionu Daugava w Rydze zbierali ze wszystkich

stron pochwały za znakomite przygotowanie płyty boiska, o tyle zarządzający warszawskim Stadionem Narodowym wręcz przeciwnie. Goście Michała Pola w programie „Misja futbol” podczas dyskusji ostro krytykowali stan murawy w Warszawie i byli zgodni, że „niemal przy każdej próbie przyjęcia piłki najpierw chodziło o to, żeby przygiąć nogi i skoncentrować się na utrzymaniu równowagi na napiętych mięśniach. Dopiero w drugiej kolejności na rozegraniu. Także Macedończycy zwracali uwagę, że dawno nie widzieli tak dramatycznie złej murawy”. Rzeczywiście zawodnicy obydwu ekip co chwila padali na trawę, będąc ofiarami czyjejś niefrasobliwości, niechlujstwa oraz całkowitego braku profesjonalizmu. Mimo wszystko nie wierzymy, że w PZPN nie ma chociaż jednej osoby mającej pojęcie, jak powinno wyglądać należycie przygotowane boisko piłkarskie.

W drugiej połowie konfrontacji z Macedonią Północną wygraną 2:0 zapewnili nam dwaj rezerwowi. Najpierw w 74. minucie Przemysław Frankowski (wszedł w 73. minucie!), a sześć minut później Arkadiusz Milik (wszedł w 68. minucie). Dla pierwszego był to debiutancki

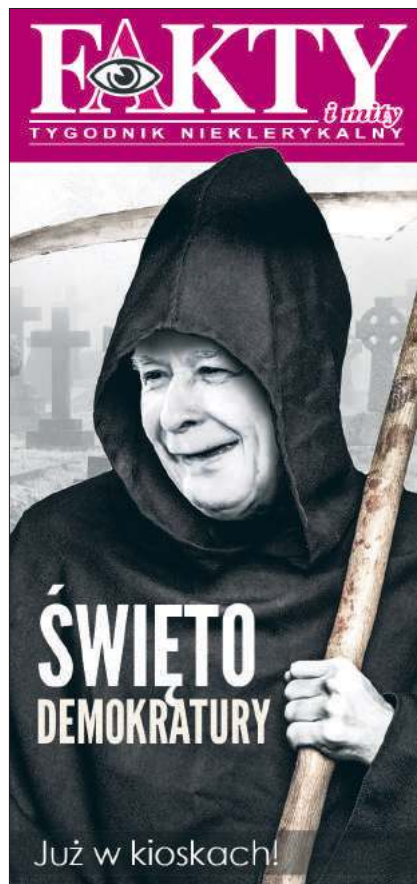
gol w reprezentacji; drugi popisał się pięknym, soczystym uderzeniem z ponad 20 m. Co ciekawe, w obydwu przypadkach asystę zaliczył kapitan Robert.

Trzeci kolejny awans (ME 2016 i MŚ 2018) za kadencji Bońka, ale szef federacji futbolowej radzi nie ekscytować się za bardzo tym faktem. Wypytywany stwierdził m.in.: „Byliśmy faworytem grupy, więc jasne, że nie będziemy się upajać samym awansem. Spełniliśmy swoją powinność. Zrobiliśmy to szybko i pewnie. Zostały nam dwa mecze, które także będziemy chcieli wygrać. Nie jestem w stanie odpowiedzieć, co będzie na Euro 2020. To jeszcze wiele czasu. Jedna kontuzja może zmienić wszystko, a my nie mamy takich zasobów, żeby przebiegać w stu piłkarzach mogących powalczyć o miejsce w kadrze. Jerzy Brzęczek stanął i nadal stoi przed wielkim wyzwaniem. Spisuje się dobrze, bo przeprowadza nas przez trudną transformację. Nie wziął gotowej reprezentacji. Dziś widzę, że w szatni panuje dobry duch. To żywa ekipa, ▶

która nie boi się auto-krytyki. Głośno komunikuje problemy. Jest bardzo świadoma swoich umiejętności – także braków. Wielu chciałoby ustalać skład za selekcjonera, a on idzie swoją drogą. Brzęczek i jego sztab jeżdżą, analizują, a potem podejmują decyzję. Nie słuchają podszeptów, kto ma być powoływany, a kto nie. Kto ma grać, a kto nie. To słuszną drogą. Każda inna zaprowadziłaby go do porażki. Minął rok od zatrudnienia selekcjonera i to dalej plac budowy, ale widzę, że prace zmierzają w dobrą stronę. Kluby są w odwrocie. Tylko kadra niesie nas do wielkiej piłki. Doceńmy to”.

447 dni i nocy

Jerzemu Brzęczkowi, jego współpracownikom i piłkarzom wykonanie pierwszego wspólnego zadania, czyli awansu do mistrzostw, zajęło



GRUPA G				
Miejsce	Drużyna	Mecze	Punkty	Bramki
1.	Polska	8	19	13-2
2.	Austria	8	16	17-7
3.	Macedonia Północna	8	11	10-11
4.	Słowenia	8	11	13-8
5.	Izrael	8	11	15-15
6.	Łotwa	8	0	2-27

MECZE DO ROZEGRANIA	
16 listopada, godz. 20.45	– Izrael-Polska
19 listopada, godz. 20.45	– Polska-Słowenia

447 dni i zapewne prawie tyle samo zarwanych nocy. Jak to wszystko wygląda dzisiaj, opisał w „Przeglądzie Sportowym” Michał Trela.

„Patrząc na same wyniki i tabelę naszej grupy, można odnieść wrażenie, że reprezentacja Polski ma za sobą bardzo udane eliminacje – pisze Trela. – W rzeczywistości udanych meczów w 2019 r. było bardzo niewiele, a poziom gry często znacznie odbiegał od takiego, który dawałby nadzieję na udany występ w przyszłorocznych mistrzostwach Europy. Awansując z tak mało konkurencyjnej grupy, Polacy spełnili obowiązek. By zrobić coś więcej, muszą teraz zakasać rękawy i sporo pracować na zgrupowaniach przed turniejem. (...)”

Brzęczek spisuje się dobrze, bo przeprowadza nas przez trudną transformację. Nie wziął gotowej reprezentacji.

Widać wyraźnie, że selekcjoner Jerzy Brzęczek nie ma ambicji, by jego drużyna prowadziła grę i dominowała, jeśli chodzi o czas spędzony przez jego zawodników z piłką przy nodze. To nie grzech. W grupie eliminacyjnej Polacy rzadko mieli okazję do gry z kontry, co na turnieju pewnie ulegnie zmianie. Ale gdy takie szanse się nawet nadarzyły, jak choćby we wrześniowym meczu z Austrią (0:0) w Warszawie, reprezentacja nie wyglądała pod tym względem dobrze. Zawodnicy zbyt często starali się błyskawicznie po przejęciu rozegrać atak, co skutkowało licznymi stratami piłki natychmiast po jej odbiorze. Zbyt często polskie kontry były efektami indywidualnych zrywów piłkarzy, a nie zsynchronizowanym ruchem całej drużyny. (...)”

W stanowczo zbyt dużej liczbie meczów eliminacyjnych można było zapomnieć, że Polacy grają zespołowo. Wiele punktów kadra zdobyła przede wszystkim dzięki indywidualnościom, które samotnie musiały ciągnąć wózek. Żaden z grupowych rywali nie miał z przodu takich postaci, jakimi dysponował Brzęczek. To sprawiło,

że dobra forma którejs z polskich gwiazd czy jej błysk geniuszu w pojedynczych zagraniach pozwalały przykrywać słaby występ całej drużyny. Zbyt często każdy z Polaków rozgrywał swoje mecze. Szwankowała nawet najprostsza do wykonania współpraca. Polska musi się znowu stać jednym, zorganizowanym zespołem, a nie jedynie zbieraniną całkiem niezłych piłkarzy. (...)”

Mała liczba (słownie dwie) straconych bramek mogłaby świadczyć o tym, że akurat do gry defensywnej nie można mieć zastrzeżeń i trzeba jedynie pilnować, by w najbliższych miesiącach jej nie zepsuć. W dużej mierze wynikało to także ze słabości rywali, którzy nie potrafili wykorzystać okazji, które sobie stwarzali

lub dostawali od Polaków. Nawet w wygranych meczach widać było momenty złego ustawienia, które lepszy zespół mógłby wykorzystać. To, w jaki sposób przez polską linię obrony przechodzili we wrześniu Słowacy czy Austriacy, daje powody do obaw o szczelność defensywy w starciach z silniejszymi rywalami”.

Oprócz Polski awans zapewniły już sobie Belgia, Włochy, Rosja, Hiszpania i Ukraina. Godzi się przypomnieć, że po raz pierwszy turniej odbędzie się w 12 miastach gospodarzach w 12 różnych państwach – od 12 czerwca do 12 lipca 2020 r. Także po raz pierwszy w historii tych rozgrywek zostanie użyty system VAR.

Losowanie grup finałowych 30 listopada.

Maciej Polkowski

Miesięcznica dla Olgi

Edward Mikołajczyk

Szkoda, wielka szkoda, że Akademia Szwedzka spóźniła się o rok z Nagrodą Nobla dla Olgi Tokarczuk. Ten dar niebios zesłany w październiku 2018 r. odmieniłby Polskę, tę Polskę. W 2019 r. zabrakło czasu na cud.

Przepraszam Czytelników, bo gdyby każdy z autorów PRZEGLĄDU postąpił tak, jak ja planuję zrobić to teraz, czyli publicznie się ucieszyć i złożyć hołd wybitnej pisarce, poprzedni numer tygodnika byłby trudny do czytania. Tymczasem można go pokazywać studentom dziennikarstwa jako wzór wydania i przytomności Redaktora. Więc tylko zachwycę się „branżowymi” tekstami o naszej noblistce pióra Małgorzaty Kąkiel i Agnieszki Wolny-Hamkało, a własnym doznaniem związanym choćby z jedną książką, mianowicie „Domem dziennym, domem nocnym”, dam wyraz kiedy indziej. Tu i teraz muszę jednak napisać, co MY, NARÓD, bo przecież nie państwo rządzone z ostatniej jaskini przy Nowogrodzkiej, powinniśmy uczynić z PERŁĄ, której autentyczność Akademia Szwedzka potwierdziła dopiero 10 października 2019 r.

Prezydent Wrocławia pozwolił pojeździć na gapę wszystkim pasażerom komunikacji miejskiej, którzy mieli w rękach dowolną książkę Olgi Tokarczuk. W ten sposób Wrocław wygrał pierwszy etap krajowego „wyścigu przyznawania się do noblistki”. Brak mi słów, by wyrazić uznanie dla genialnej prostoty tego pomysłu i jego walorów promocyjnych, choć nie wiadomo, jakie prądy indukcyjne tu działają i co przenoszą z książki trzymanej pod pachą do głowy właściciela. Z własnego doświadczenia wiem, że kiedy na noc wkładałem pod poduszkę „Gramatykę historyczną języka polskiego” prof. Zenona Klemensiewicza, pomagało to zdać egzamin.

We wtorek 10 grudnia, kiedy Szwedzi oficjalnie ukoronują naszą Olgę, pod Krakowem będzie już szumiało 25 tys. dębów, buków i lip lasu Prawiek, posadzonego na wieczną cześć noblistki, która „Prawiek i inne czasy” wymyśliła i opisała. Oczywiście przesadziłem z tym szumem lasu, bo sadzonki maolaty nie nauczą się szumieć w niecałe dwa miesiące, a poza tym jesień zaraz zdejmie z nich liście. Ale za chwilę będzie to pomnik trwalszy od darmowej jazdy tramwajem. Za sto lat samosiejki z Prawieku posadzonego na nowohuckich Kujawach pochłoną bez reszty cały kombinat i dzięki Oldze Tokarczuk las o własnych siłach podejdzie pod Kraków.

Prawda, że związki naszej noblistki z Wrocławiem i Krakowem są liczne, bo chyba nikomu z ludzi wykształconych w powojennej Polsce nie udało się ominąć przynajmniej jednego z tych centrów. A kiedy mamy do czynienia z osobowością o niezwykle mobilnej wyobraźni i zawsze twórczo lub choćby tylko bizarnie zakorzenioną w każdym miejscu zamieszkania, nikt nie może dziwić, że te dwa ważne miasta pierwsze się zorientowały, że ich sława może się pożywić na fe-

nomenie literackim Olgi Tokarczuk. Dziwić natomiast musi, a nawet zdumiewać, że siedzi cicho warszawska psychologia uniwersytecka, *Alma Mater* noblistki. Że nic się nie dzieje na Muranowie, gdzie jako studentka Uniwersytetu Warszawskiego pomieszkiwała, a gdzie ludzi męczą po nocach koszmary z trudem przedzierające się do literatury.

10 października ogłoszono decyzję. 10 grudnia będzie w Sztokholmie celebra. Przypadek? Nie sądzę.

Niech więc 10 grudnia spod starego BUW-u ruszy miesięcznica, matka wszystkich następnych miesięcznic upamiętniających Nobla dla wielkiej polskiej pisarki współczesnej, absolwentki UW, autorki chętnie



czytanej, zanim ozdobiono ją międzynarodowymi laurami, wielkiej postaci aktywnie obecnej w myśleniu i mówieniu o Polsce. Dostatecznie dużo napisała Olga Tokarczuk, aby przyszły scenarzysta uroczystości na dziedzińcu UW nie skarżył się na niedostatek tworzywa literackiego niezbędnego do wykreowania europejskiego widowiska w tym miejscu. Stąd pochod powinien ruszyć pod okna Piotra Glińskiego, ministra kultury w czasach smuty kulturowej, i przez pół godziny czytać mu w odcinkach, ale od początku do końca, choćby najcieńszą książkę Tokarczuk, nie dając wiary premierowi z tabletu, że samodzielnie zaczął się oddawać lekturze którejkolwiek z nich.

Gospodarzem trzeciej i ostatniej stacji pochodu niech będzie Bolesław Prus, który stoi beczynnym na pobliskim skwerku. Olga Tokarczuk umie dialogować z tym dobrze starszym kolegą po fachu i postaciami z jego „Lalki”.

To wszystko powinno się stać zaraz, zanim jaskinia da sygnał do zapowiedzianej kampanii piętnowania wrogów polskiego zadupia. ■



Lis w wielkim mieście

Niektórzy nie wiedzą, że pakowanie resztek z obiadów do foliówek i stawianie ich pod drzwiami nie jest dobre. Kilka machnięć łapą i lis ma wyżerkę

Lucy Jones

Lisy rozmnażają się raz w roku, w styczniu i lutym. To małe okienko: lisica ma cieczkę przez trzy tygodnie, ale są tylko trzy dni na zapłodnienie. W czasie gdy młode rosną w jej łonie, co trwa jakieś 52 dni, lisica zaczyna szukać gniazda lub miejsca na norę. Dużo lisków dorasta pod altanami, w nasypach, w klombach, pod korzeniami drzew, w stosach drewna i śmieci, między dachówkami, na dachach, a nawet na drzewach. W miocie jest zwykle czworo do pięciorga młodych (odnotowano kiedyś czternaścioro, ale to rzadkość). Lisica ma sześć sutków, więc nie może karmić więcej niż szóstki młodych naraz.

Lisiątka nie są – jak dorosłe osobniki – rude; są brązowe, bardziej puszyste i miękkie, i po prostu urocze, co z pewnością prowadzi do nierozsądnej chęci trzymania lisów jako zwierząt domowych. W pewien sposób są podobne do naszych domowych kotów i psów, szczególnie do tych pierwszych – co dziwne, w końcu nie są spokrewnione. Pionowa żrenica lisa jest kocia i nie występuje u innych psowatych.

Zarówno koty, jak i lisy potrafią pełzać i skradać się z brzuchem tuż przy ziemi, a także wskakiwać na ogrodzenia lub drzewa, i to na imponującą wysokość. Pies czegoś takiego nie robi, mimo że lis jest jego bliskim krewniakiem. Lis rzuca się na ofiarę i podchodzi ją jak kot. To element ewolucji konwergentnej – kiedy dwoje genetycznie niezwiązanych ze sobą zwierząt rozwija podobne cechy, aby osiągnąć ten sam cel, w tym przypadku polowanie na gryzonie i inne małe zwierzątka. (...)

Lisia struktura społeczna jest znacznie bardziej skomplikowana, niż wcześniej sądzono.

Młode po urodzeniu są ślepe, a kiedy otworzą oczy, ich kolor zmieni się z niebieskiego na ognisty bursztyń, a futro zrudzieje i stanie się grubsze. Na początku potrzebują całodobowej opieki matki, która swoim ciepłem pomaga im utrzymać właściwą temperaturę ciała. Samiec, ich ojciec, zacznie przynosić jedzenie, gdy po kilku tygodniach będą już gotowe na stały pokarm. Lisicy zdarza się zjadać zdobycz i nadtrawioną zwracać młodym.

Lisia struktura społeczna jest znacznie bardziej skomplikowana, niż wcześniej sądzono. Często uważa się, że lisy są samotnikami i łączą się jedynie na czas godów. W rzeczywistości lisy żyją w bardzo społecznych, współzależnych grupach, które nie zawsze są konwencjonalną konfiguracją rodziny. Podstawowe stado, czyli grupa rodzinna, składa się z rodziców i młodych, ale często w grupie można dostrzec kilka lisic bez potomstwa. Zasadniczo kilkuletnie młode lub osobniki spokrewnione mają niższe miejsce

w hierarchii niż lisice z miotem, ale będą również opiekować się młodymi, jakby były ich.

W stadzie dynamika jest przede wszystkim przyjazna i pomocna. Członkowie utrzymują ze sobą kontakt za pomocą zapachu i dźwięków, spotykają się podczas wędrówek i bawią się razem w ciągu dnia. Baraszkujące ze sobą szczenięta to wspaniały widok. (...)

Kiedy na dworze robi się cieplej, a młode stają się silniejsze fizycznie,

nadchodzi chwila, aby w terenie nauczyć się szukać jedzenia. Lisice zachęcają dzieci i uczą je, jak wybierać i znajdować różne pokarmy, dopóki nie urosną i nie staną się wystarczająco mądre, aby zadbać o siebie. Do września młode osiągną docelową wielkość i mogą się same obronić. Każdej jesieni dynamika rodziny się zmienia: młode rozpraszają się, aby odnaleźć własne terytoria i partnerów.

Wiele młodych jednak nie dojdzie do tego etapu. Każdego roku ich śmiertelność utrzymuje się na poziomie ponad 60%, a tylko niewielka liczba dojrzałych przeżywa pierwszych kilka lat – prawie wszystkie kończą życie przed ukończeniem czwartego roku. W niewoli mogą dożyć 14 lub 15 lat, ale na wolności średnia długość ich życia wynosi zaledwie 18 miesięcy. Zatem chociaż populacja gwałtownie wzrasta w czasie rozrodu, liczba ta szybko wraca do poziomu sprzed rozmnażania.

Na terenach miejskich lisy zabija się z prostych powodów: rozkopują lub zanieczyszczają trawniki, rozwłóczą śmieci, straszą mieszkańców lub hałasują. Słynne wrzaski lisic są bardzo niepopularne. Nie trzeba ich regularnie dokarmiać albo widywać w mieście, żeby je słyszeć. Z pewnością znasz ten dźwięk, jeśli mieszkasz w obszarze zabudowanym. To ten wysoki, upiorny skowyt, który odbija się od ścian bloków i brzmi, jakby ktoś w lesie postanowił brutalnie zatłuc na śmierć dziecko, ten właśnie dźwięk, który sprawia, że zastanawiasz się, czy na wszelki wypadek nie lepiej zadzwonić pod 112. W rzeczywistości jest to prawdopodobnie pełne miłości wycie lisicy do lisa. Wiele osób tego nienawidzi, niektórzy uwielbiają, lecz niezależnie od tego, jakie jest twoje zdanie w tej kwestii, to jeden z najbardziej niezwykłych dźwięków miejskiego krajobrazu. Usłyszenie go w środku nocy potrafi zmrozić krew w żyłach. Możesz wyobrazić sobie lisa odchylającego głowę do tyłu i otwierającego szeroko paszczę, aby wydobyć z siebie możliwe najbardziej donośny ton; dziwne, przeciągłe wycie mniejszego, pomarańczowego kuzyna wilka.

Dr Nicholas Newton-Fisher z uniwersytetu w Kencie badał wokalizy lisa i wyjaśnił nieco więcej w kwestii tego wycia lisic.

– Ustaliliśmy, że wycie jest wysokie, ma długi czas trwania i ciągły dźwięk, co sugeruje zawołanie kontaktowe. Im dłużej trwa skowyt, tym zwierzęta są od siebie dalej i tym dłużej zajmuje samcowi zlokalizowanie samicy.

Porównał to do dzwonka telefonu, który nie przestaje dzwonić, dopóki go nie znajdziesz.

– Ta sama zasada dotyczy zwierzęcych nawoływania: ułatwia znajdowanie się.

Wycie lisicy to tylko jeden z 28 różnych sposobów komunikowania się, które obejmują zakres od zawołań kontaktowych po interakcyjne. Zawołania kontaktowe różnią się zależnie od odległości, interakcyjne zaś w zależności od stopnia agresji. Lisy mają szeroki wachlarz wokalizacji, każda ma inną strukturę i częstotliwość, co wskazuje na to, że ich język i sposób porozumiewania się ze sobą są bardzo złożone.

Lisy żyją w bardzo społecznych, współzależnych grupach, które nie zawsze są typową konfiguracją rodziny.

Nick był zdziwiony, kiedy odkrył, na jak wiele sposobów komunikuje się lis w porównaniu, powiedzmy, do psa, który „tylko szczeka, warchy, skomle i piszczy”. Poszczególne lisy mają także różne głosy.

– Głos może być podpisem danego osobnika: może odnosić się do wielkości zwierzęcia, jego intencji lub stanu emocjonalnego. Inne dźwięki to zawodzenie, gardłowy warkot, jedno lub dwa gwałtowne szczeknięcia lub podobne do psiego „hau, hau, hau”, co oznacza coś w rodzaju: „Cześć, jestem tutaj, a ty gdzie jesteś?”. Bardziej przenikliwy szczek to zawołanie ostrzegawcze i służy do wszczynania alarmu lub oznajmiania agresji. Szczekający szybki jazgot także wiąże się z agresją.

Lisy częściej nawołują się zimą, podczas godów. Słynny wrzask nie jest, jak mówi mi, wynikiem bólu spowodowanego przez kolczasty penis samca. Trudno stuprocentowo stwierdzić, co on znaczy, ale jest to sposób, w jaki lisica określa, gdzie się znajduje, być może po to, by zachęcić samca do pojawienia się.

– Widziałem, jak robią to lisy, i nie widać się na ziemi w spazmach bólu – powiedział Nick. (...)

Lisy wkurzają ludzi. Wiedziałam o tym już wcześniej, czytałam o tym, chociaż nigdy nie spotkałam nikogo, komu by naprawdę przeszkadzały, nie mówiąc już o kimś, kto chciałby zapłacić, żeby ktoś je zabił. Lisy w okolicy, w której mieszkam, drą się od czasu do czasu, ale nigdy mnie to nie irytowało. Nasze śmieci lądują w zamykanych pojemnikach, nasz zółw jest bezpieczny w domu, a my nie mamy ogrodu, tylko podniesiony taras. Uwielbiałam te chwile, kiedy dały się dostrzec, i bardzo chciałam bym widywać je częściej.

Okazuje się jednak, że praktyka strzelania do lisów jest bardziej rozpowszechniona, niż mi się zdawało. Bruce Lindsay-Smith od kilkudziesięciu lat zajmuje się zwalczaniem szkodników i zabił wiele lisów, dzieciątka według swoich szacunków, więcej, niż zabija się podczas każdego przeciętnego polowania w ciągu ostatnich 30 lat. Nie potrafiłby podać

łącznej sumy, ale powiedział, że zabił ze 30 w Dartford, 13 w ciągu dwóch godzin w ogrodzie na tyłach domu w New Malden i 35 w jedną noc na polu golfowym. Ogólnokrajowe stanowisko władz, aby nie kontrolować populacji lisów, nie miało większego wpływu na jego pracę.

Bruce pamięta pewien mroźny wieczór w latach 60. Był wtedy dzieckiem, patrzył na niebo i na pokrytą śniegiem łąkę, na której stały owce. Nagle ujrzał czarną kropkę poruszającą się po obwodzie pola. Kropka okazała się lisem, a potem zobaczył swojego ojca z bronią, polującego na zwierzę. Dowiedział się, że tata zastrzelił lisa, ale zrobił to dopiero wtedy, gdy okazało się, że lis zabił dwie owce.

– Takie rzeczy na zawsze pozostają w twoim umyśle – powiedział Bruce.

Był to ważny i decydujący moment w rozwoju jego psychiki i wpływ na kierunek życia.

W ciągu ostatnich 30 lat biznes zwalczania szkodników mocno się zmienił. Bruce zaczął pracować dla stowarzyszenia z Bexhill i Henley zajmującego się tępieniem królików, a później w Rentokil. W tamtych czasach w książce telefonicznej

▶ nie figurowało zbyt wielu łepcieli szkodników. Miał kontrakty z urzędami i zarabiał na sprzedaży setek lisich skór. Obecnie lisie truchła trafiają do spalarni.

Nie jest to praca, której każdy kibicuje. Na terenie Londynu sporo jego pułapek zostało zniszczonych.

– W domach opieki i szpitalach zdarza się personel, który mówi: „Och, to okrutne! Nie pozwolimy im złapać lisa”, ale zasadniczo – powiedział Bruce – rzadko ktoś mi przeszkadza w pracy.

Bruce pozwolił mi pójść ze sobą, gdy dostał zlecenie pozbycia się lisów w rezydencji w południowym Londynie. Ich zbrodnia polegała na zanieczyszczaniu posesji.

– Wszędzie są lisie odchody, a smród moczu przenika spod podłogi. Mężczyzna, który tam mieszka, ma małe dzieci i nie chce ryzykować.

Zgodnie z instrukcją gospościa przez tydzień co wieczór wyłaziła jedzenie w miejsce, które miało się znaleźć w zasięgu karabinu Bruce’a. Bruce już raz był na miejscu, żeby dokonać oceny ryzyka i upewnić się, że lisa można bezpiecznie zastrzelić. Zadzwoił na pobliski komisariat, aby ich uprzedzić, że będzie się wychylał przez okno ze sporą bronią, na wypadek gdyby ktoś wpadł w panikę, bo „wtedy może skończyć się tym, że drzwi frontowe wywala szwadron wojska uzbrojony po zęby”.

Okazało się, z tego, co usłyszałam, że córka właścicieli domu – bez wiedzy rodziców – dokarmiała lisa. I Bruce przyznaje, że często winę ponosi element ludzki.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak duże problemy powodują – powiedział. – Lisy świetnie się rozwijają wskutek beznadziejnego zarządzania odpadami i złych nawyków człowieka, który wychodząc z pubu w sobotnią noc, rzuca śmieci i jedzenie na ulicę albo wtyka do ptasich karmników.

Lisy świetnie się rozwijają wskutek beznadziejnego zarządzania odpadami i złych nawyków człowieka.

Niektórzy nawet nie wiedzą, że pakowanie resztek z obiadów do foliówek i stawianie ich pod drzwiami nie jest dobre. Kilka machnięć łapą i lis ma wyzerkę.

Kiedy Bruce ustawił karabin, poczułam lekkie mdłości na myśl, że stanę się świadkiem śmierci lisa, szczególnie że mogą się zjawić również młode. Przy takim scenariuszu Bruce także by je zastrzelił, kierując się rozumowaniem, że bez lisicy młode umrą z głodu, co jest, jak mówił, znacznie bardziej okrutną formą śmierci.

Kiedy czekaliśmy, rozejrzałam się po ogrodzie przez specjalną lornetkę Bruce’a. Zauważyliśmy lisa po drugiej

stronie drogi i czekaliśmy, aż wejdzie do ogrodu. Bruce opowiadał mi o różnych swoich spotkaniach z lisami i co wtedy robiły. Pływały, spacerowały po płocie, chodziły po dachach, skakały z rusztowań. Jeden miot lisiąt mieszkał na siódmym piętrze londyńskiego Szpitala Królewskiego.

– Czy je... dorwałeś? – spytałam, nie bardzo wiedząc, jak to ująć.

Skinął głową.

Jednak to, co mi powiedział chwilę później, zaskoczyło mnie. Pewnego dnia odebrał telefon od

inspektora Rentokil, który powiedział, że w Romford w hrabstwie Essex robotnicy budowlani chcą ukamienować lisiątko. Poprosił Bruce’a, żeby coś z tym zrobić. Pojechał. Na miejscu zobaczył lisa, tak młodego i drobnego, że zmieściłby się w kuflu, który leżał w rowie. Znęcała się nad nim grupa mężczyzn. Zwierzę było w szoku i przerażone, ale wciąż żywe. Ludzie pracujący w tym budynku błagali Bruce’a, żeby nie zabijał małego. Obawiali się, że rozejdą się plotki i historia zaszkodzi budowie. Bruce dał im słowo, że zamiast go zastrzelić, zabierze do ośrodka ratowania zwierząt.

– Nie miał zbyt dobrego początku w życiu – wyjaśnił.

Ale nie wziął go do ośrodka; zabrał go do domu. Teraz lis w pełni dorósł i mieszka z nim oraz jego psami.

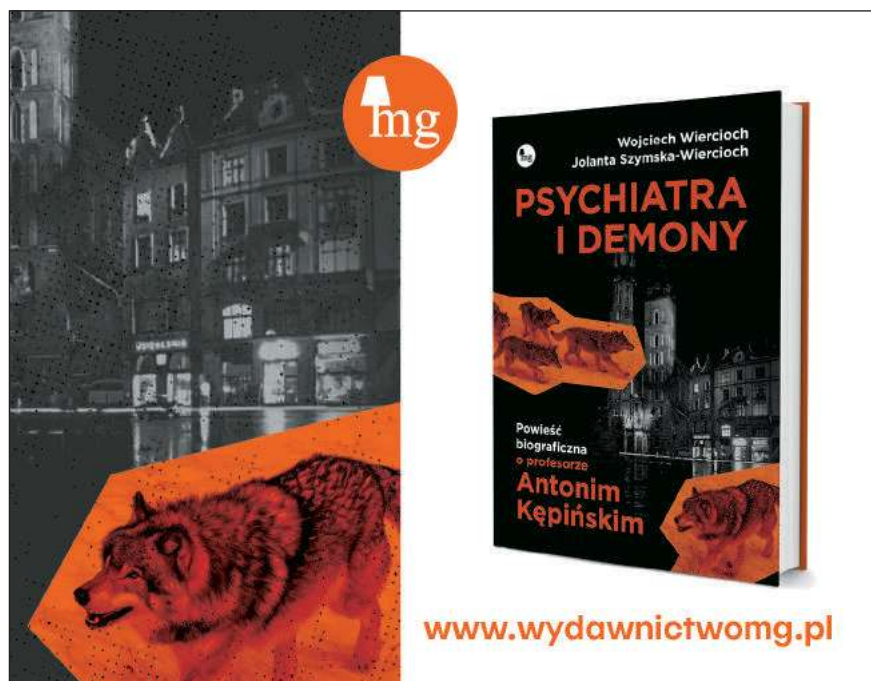
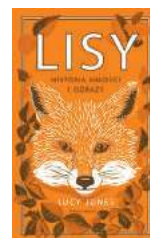
– Zwykle bawił się z labradorem – wspominał – przeskakując mu przez grzbiety. Jest bardzo nieśmiały. Codziennie go drapiemy, czyścimy i karmimy. Nie możemy go wypuścić, bo nie wiedziałby, jak polować.

To niezwykle wyraźny przykład, że relacje ludzi ze zwierzętami są zazwyczaj o wiele bardziej skomplikowane, niż początkowo można sądzić. Bruce zarabiał na życie zabijaniem lisów, ale w ogóle ich nie nienawidził.

Fragmenty książki

Lucy Jones

Lisy. Historia miłości i odrzy,
przekład Adam Pluszka,
Marginesy, Warszawa 2019



W wąskich drzwiach konsulatu

Cała Polska to widziała. Gigantyczne kolejki przed konsulatami. Nowy Jork, Londyn, Barcelona... Ludzie stali po kilka godzin, żeby oddać głos w wyborach. Wyciągnięto z tego jakieś wnioski?

Jeśli chodzi o MSZ, sprawa jest łatwa do przewidzenia. Ambasadorowie, konsulowie przesyłają do centrali listy z nazwiskami urzędników, którzy brali udział w akcji wybory, żeby dostali za to nagrodę. Bo narobili się, nie dospali i w ogóle.

Faktycznie się napracowali, roboty z wyborami mieli od groma.

Ale czy rzeczywiście MSZ powinno mieć tak dobre samopoczucie, skoro żeby oddać głos, trzeba było stać cztery-pięć godzin w kolejce?

Te kolejki nie powinny być zaskoczeniem. Procedura jest taka, że przed głosowaniem np. w konsulacie trzeba było wcześniej się zarejestrować. Wiadomo więc było, ile mniej więcej osób odwiedzi placówkę. Założmy, że na obsługę jednego wyborcy trzeba przeznaczyć minutę – tyle trwa okazanie paszportu, podpis na liście głosujących, wręczenie kart do głosowania. Jeżeli zarejestrowało się 3 tys. wyborców, to znaczy, że na ich obsługę potrzeba 3 tys. minut, czyli 50 godzin. Czy nie można było więc w takich newralgicznych miejscach zwiększyć obsługi na czas wyborów? Wstawić więcej biurów, przy których wydaje się karty? Skierować więcej urzędników? Nawet ściągając ich na parę dni z Warszawy? To dla MSZ żadna nowość – zwyczajem naszej dyplomacji są tzw. wykopki, czyli wyjazdy urzędników z centrali latem do konsulatów, na miesiąc-dwa, żeby jakoś rozładować spodziewany ruch turystyczny.

Wielogodzinne kolejki w wyborczą niedzielę świadczą o tym, że o takim rozwiązaniu nie pomyślano. Albo też pomyślano, ale szybko dano sobie z takim myśleniem spokój. Otóż placówki zagraniczne, ambasady, konsulaty, mają to do siebie, że przestrzeń ogólnie dostępna jest w nich ograniczona. Dużo mniejsza niż część służbowa czy w ogóle tajna. Dlatego gdy przychodzi tłum ludzi, nie za bardzo jest miejsce, by ich wszystkich pomieścić.

Jest jeszcze jedno wyjście, coraz częściej praktykowane, zwłaszcza w Ameryce. Otóż otwiera się dodatkowe punkty do głosowania – w polskich szkołach, parafiach, domach kultury. To są niewielkie punkty, głosuje w nich po kilkadziesiąt osób, ale głosujący nie muszą wydłużać kolejki w konsulacie.

A na koniec dodajmy, że zagranica roztopia się w Warszawie. Za granicą głosowało 314 tys. Polaków. W Warszawie 1,381 mln. Głosy z zagranicy w zasadzie zmieniły tylko jedną cegiełkę – 20. mandat w stolicy wzięto PiS kosztem Lewicy. Zadecydowały 454 głosy. Choć trzeba dodać, że tym razem za granicą wygrała Koalicja Obywatelska. Zdobyła 39% głosów (122 tys.), a PiS – 25% (78 tys.). I takie proporcje, poza USA i Kanadą, gdzie triumfowało PiS, dominowały.

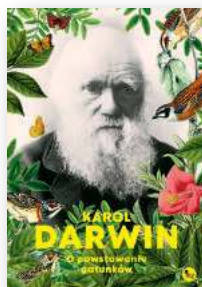
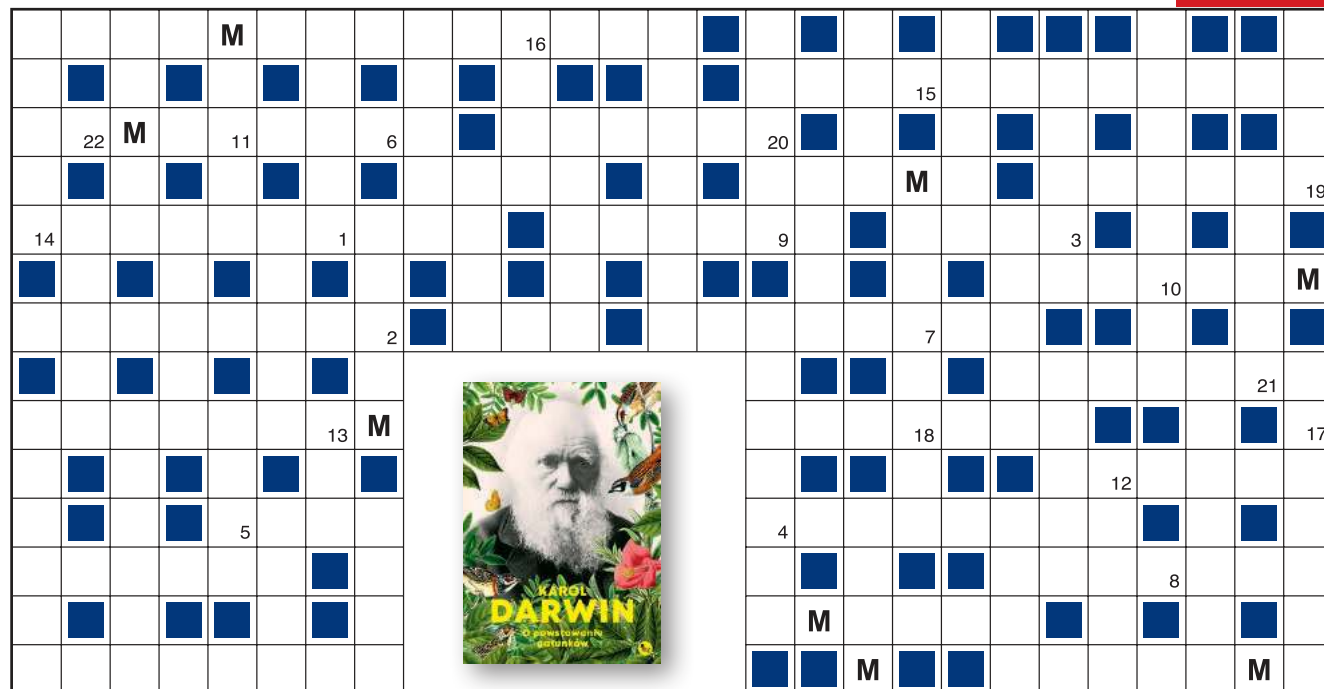
Jeżeli więc Polacy głosujący za granicą mają tak mały wpływ na kształt parlamentu, to może odebrać im to prawo? Wręcz przeciwnie! Z punktu widzenia promocji kraju, utrzymania więzi z emigracją, wreszcie – dobrego samopoczucia Polaków mieszkających za granicą, ich poczucia wspólnoty, wybory są świetnym wydarzeniem.

Szkoda tylko, że tak słabo zorganizowanym.

Attaché



Turbo Zone Truck, ciężarówka Volvo FL6, jest największym dziełem Banksy'ego – 80 m kw.!



1	2	3	4	5	6	7	8	9
---	---	---	---	---	---	---	---	---

10	11	12	13	14	15
----	----	----	----	----	----

16	17	18	19	20	21	22
----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery M ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- imię autora dramatu „Konfederaci barscy”
- w cyrku na trapezie
- o tym stanie Lynyrd Skynyrd śpiewali: Sweet Home
- film ze Stuhrem i niezawodowicem
- dogłębna w celu wyciągnięcia wniosków
- księstwo w Pirenejach
- Edwin Hubble lub Galileusz
- dołożenie belki lub gwiazdki
- teren do ćwiczeń i zawodów sportowych
- pierniczek jak buziaczek
- duże, drewniane wiadro
- polna ścieżyna
- Artusa w Gdańsku

- drzenie, dreszcze
- przepojone nim wiersze Leśmiana
- on umarł – narodził się Konrad
- np. zbijać baki, upaść na głowę
- imię autora powieści „Szlacheckie gniazdo”
- bez niego nie będzie murzynka
- na posła, na stanowisko
- ...Staszewski z Kultu
- firma... – oszukańcza
- buty na wysoki połysk
- o nielegalnym źródle dochodów
- kiedy on schodzi, człek po wodzie brodzi
- na tym działa się nie wyśpisz
- współzałożyciel I Międzynarodówki
- ach, ta dzisiejsza!
- twarde zgrubienie na nodze młodego konia
- pigwówka lub dereniówka
- do niej psa się przywołuje
- wygrzebana przez borsuka
- ...Jeane Mortenson, czyli Marilyn Monroe
- chrzest, jęk lub brzęk
- Bucefał lub arab Bask
- i w sieci, i na rosale
- zewnętrzne karty książki, zeszytu
- kucharzący Karol
- wznoszone podczas demonstracji
- deskrypcja
- majątkowe składa poseł
- ważka, modliszka lub skorek
- dawna miara objętości, achemt
- zbada malucha

- Pierre Culliford, czyli papa Smerfów
- wejmutka albo kosodrzewina
- Południowy ze stolicą w Dżubie
- jedno z imion matki Fryderyka Chopina
- ...biurowy to mobbing
- jeden z dwóch w grze w okręty
- stolica Piemontu
- piąta część kopy
- dekret carski
- szklana, cukrowa lub drewna
- chęć do pracy albo do zabawy
- początek tunelu
- można mieć nieodparte
- iks, igrek...
- rybożerny barwny ptak z króciutkim ogonem
- odkładanie na później, opóźnienie
- substytut pieniądza w kasynie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-931”. Do rozlosowania książki „O powstawaniu gatunków” Karola Darwina ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 października 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-928” z 6 października: Prawda leży pośrodku. Nagrody otrzymują: Piotr Guza z Pionek, Alina Tatar z Cieszyńska, Bogumiła Wyleżalek z Lublińca.

PENETRACJE

Tygielny STYL

MAGDA CZAPIŃSKA,
PSYCHOLOG, AUTORKA
TEKSTÓW PIOSENEK

Kamyk zielony z piosenki istnieje naprawdę. Znalazłam go prawie 60 lat temu na łące w Tomaszowie Mazowieckim. Było tam dużo innych kamyków, ale tylko ten przemówił do mnie: „Weź mnie, przyniosę ci szczęście”. Wyobrażałam sobie, że jest odpryskiem meteorytu, który spadł na Ziemię miliardy lat temu i czekał, aż go znajdę. Ale minęło kilkanaście lat, zanim objawił moc. „Ściskając w rękę kamyk zielony, patrzeć, jak wszystko zostaje w tyle” – te słowa ułożyły mi się w głowie, kiedy jechałam w ścisiku tramwajem na uczelnię. Nie byłam świadoma, że to refren piosenki... Dzisiaj kamyk ma swoje miejsce w starym ściennym zegarze.

odra

PROF. ROBERT WISZNIOWSKI,
DZIEKAN WYDZIAŁU NAUK
SPOŁECZNYCH UNIwersYTETU
WROCŁAWSKIEGO

Rozszerza się niebezpieczna tendencja celebrytyzacji. Dzięki mediom zakorzeniła się ona w świecie aktorskim i show-biznesie, teraz coraz mocniej przenika do świata polityki. Dotknętemu nią politykowi wydaje się, że w zasadzie ma już wszystko, zdobył cały świat. Celebryci polityczni tak naprawdę żyją jedynie dla mediów. Pojawiają się, gdzie tylko się da, bywają na różnych rautach, spotkaniach i bankietach – a wszystko po to, by cały czas utrzymywać się na medialnym topie. To niebezpieczne, bo oddała ministra, posła czy senatora celebrytę od działalności politycznej. Z reguły pierwsi na listach

najbardziej aktywnych nie należą do osób najbardziej widocznych w mediach. Ale to ci drudzy zapewniają partiom zwycięstwo w wyborach.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

**PROF. SALVATORE
BABONES,**
UNIwersYTET
W SYDNEY

Wolę ułomny ustrój demokratyczny od perfekcyjnie zarządzanej dyktatury, ponieważ tylko ten pierwszy gwarantuje mi wolność i swobodę decyzji. Populizm staje na drodze budowie nowego autorytaryzmu i dlatego nie psioć na niego tak jak elity. Żałuję, że nominatem Partii Demokratycznej została technokratka Hillary Clinton, a nie populistą Bernie Sanders. Dzięki temu mielibyśmy jasne i zrozumiałe dla zwykłego wyborcy propozycje programowe po obu stronach barykady. To byłoby wspaniałe dla Ameryki i demokracji.

PANI

MAGDA GESSLER,
RESTAURATORKA

Dziś trzeba mieć głowę do interesów i łut szczęścia, które pozwolą prowadzić dobrze prosperującą firmę. Wielu nie rozumie mechanizmów biznesowych. Pytają siebie, czemu im się nie udaje, dlaczego inni zamieniają w złoto wszystko, czego się dotkną. A to kwestia predyspozycji – społecznych, zawodowych, interpersonalnych. Gastronomia to jest oddzielna nauka – poważny biznes oparty na ludzkiej energii i ogromnej determinacji. Na katorżniczej pracy od rana do nocy. Na cierpliwości i rozeznaniu społecznym. Trzeba wyczuć, z kim warto robić biznes, a z kim nie.

Aby język giętki...

OLGA TOKARCZUK O OSOBOWOŚCI

Jest zbiorem możliwości, nie zaś czymś, co jest stałe i rozwija się linio-wo zawsze w jedną stronę.

JERZY PILCH O PISANIU

Przeczuwam, że jeszcze nie powiedziałem wszystkiego, że najważniejsze teksty w ogóle jeszcze przede mną.

JAN KIDAWA-BŁOŃSKI O ŻONIE MAŁGORZACIE

Na ostatni film, który robiliśmy razem, czyli „Skazanego na bluesa”, musieliśmy wziąć kredyt i zastawić rodzinny dom.

HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ O WYBORACH PREZYDENTA WARSZAWY

Poparł mnie Marek Borowski, ale chciał stanowiska wiceprezydenta dla Włodka Paszyńskiego. Zgodziłam się bez oporu, bo to była pozytywna kandydatura.

JERZY IWASZKIEWICZ O WIESŁAWIE UCHAŃSKIM

Ze swojego wydawnictwa Iskry zrobił wręcz muzeum. Na szafie wisi frak uszyty w Londynie w 1903 r. Ale mało używany.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI O PiS

Kiedy z kieszeni Polaków dopętnionych transferami socjalnymi zaczną ubywać pieniądze, skończy się po-myślność PiS.

TOMASZ GOLLOB O BÓLU

Wciąż uczę się żyć z bólem. Nikt nie jest w stanie objąć rozumem, co to w ogóle znaczy.

JAROSŁAW FLIS O TELEWIZJI PUBLICZNEJ

Jest nie tylko stronnictwa, ale i nie-znośnie toporna. Bardziej szkodzi PiS niż pomaga.

KAROL OKRASA O GOTOWANIU

Sekret gotowania: każdy składnik trzeba czuć w palcach i na języku, i – co najważniejsze – w sercu.

ANDRZEJ GRABOWSKI O BIGOSIE

O ile nie chwałę siebie za aktorstwo, o tyle bigos wychodzi mi wyśmienicie.

SONIA BOHOSIEWICZ O ŚLĄZAKACH

To niesamowici ludzie. Pracowici, prawi i rodinni. Jestem dumna z tego, że jestem ze Śląska.



Nie musisz już lecieć
do Polski, by poczytać
PRZEGLĄD.

Nie czytasz? Nie idę z tobą na trybunę

Od października użytkownicy fińskich bibliotek mogą wypożyczać nie tylko książki, ale i karnety na mecze klubów sportowych. – Koszty kibicowania bardzo wzrosły i nie wszystkich stać na bilet na mecz. Postanowiliśmy wyjść kibicom naprzeciw i przekazaliśmy bibliotece kilka karnetów – tłumaczy dyrektor drużyny koszykarskiej Seagulls Helsinki, Toni Leppänen. W całym kraju akcja klubu znalazła naśladowców reprezentujących różne dyscypliny. Czekały na podobną inicjatywę w Polsce, bo inaczej trudno będzie niektórych rodaków zagonić do biblioteki.

W żart się obrócił

Nietypowy przebieg miał pogrzeb byłego funkcjonariusza Irlandzkiej Obrony Terytorialnej, miłośnika czarnego humoru. Tuż po ostatnim pożegnaniu z trumny Shaya Bradleya zaczęło dobiegać stukanie. – Wypuście mnie, tu jest bardzo ciemno! – usłyszeli żałobnicy, po czym nastąpiły przekleństwa. Nie wszyscy od razu się domyślili, że słowa mężczyzny zostały nagrane za jego życia i dobiegają z głośnika ukrytego przy nagrobku. Taka była ostatnia wola Bradleya, a wypełniły ją jego córka i wnuczka.

Kłamstwo ma krótkie... zdania

Dr Justyna Sarzyńska-Wawer z Instytutu Psychologii PAN pracuje nad programem do wykrywania kłamstw. Zostanie on za darmo udostępniony w internecie i każdy będzie mógł sprawdzić, czy autor danej wypowiedzi mówi prawdę. Algorytmy sztucznej inteligencji będą w tym celu analizować cechy samego tekstu, np. stosowanie określonych zabiegów stylistycznych. Jak tłumaczy psycholożka, badania przeprowadzone w USA i Wielkiej Brytanii sugerują, że wypowiedzi kłamliwe są prostsze, a kiedy ludzie



kłamią, używają mniej zaimków pierwszoosobowych.

Nietoperze też drą koty

Inne algorytmy pomogły naukowcom z Uniwersytetu Telawiwskiego przetłumaczyć rozmowy rudawca nilowego. Okazuje się, że komunikacja w społecznościach tego nietoperza, zamieszkującego m.in. Bliski Wschód, to głównie... awantury. Według badaczy zidentyfikowane dźwięki można podzielić na: klótnie o jedzenie, klótnie o miejsce do spania, odpędzanie niechcianych zalotników oraz skargi na to, że inny osobnik wisi za blisko. A jeśli tak, oznacza to, że nietoperze są jednymi z niewielu zwierząt, które wydają dźwięki skierowane do konkretnych pobratymców, a nie do wszystkich w okolicy.

Bierzcie i chodźcie w nich (nie) wszyscy

Na rynek trafiło 15 egzemplarzy nietypowej wersji popularnych butów sportowych Nike Air Max 97, przygotowanej przez studio projektowe MSCHF. Została ona nazwana *Walk on water* (Chodź po wodzie), a jej główną cechą jest wykorzystanie w systemie amortyzującym stopę wody święconej zaczerpniętej z Jordanu (warto przypomnieć, że legendarny koszykarz Michael Jordan jest ambasadorem marki Nike). Oprócz tego buty wyposażone są w stalowy krzyż oraz nawijający do Chrystusa skrót INRI na pięcie oraz wkładkach. Choć buty kosztowały 1,4 tys. dol., kolekcja została natychmiast wyprzedana. Dla oryginalnych butów niektórzy są zdolni do wszelkich, *nomen omen*, poświęceń.





Co dwie głowy,
to nie jedna...

To się nazywa innowacyjna gospodarka (kawą)

Krakowski start-up Omni Calculator opracował Kawowy Kalkulator Energii – drugi na świecie i pierwszy dostępny w języku polskim. Użytkownicy tego bezpłatnego internetowego licznika, opartego na badaniach, a także, amerykańskich naukowców, dowiedzą się, co się stanie z naszym organizmem w zależności od liczby przespanych godzin oraz spożytych dawek kofeiny. – Każdy może sobie indywidualnie ustalić moment maksymalnego „pobudzenia” i zoptymalizować ilości wypijanej dziennie kawy – wyjaśnia reprezentująca start-up Natalia Nazim.

Robot made in Berdyczów

Umiarkowanym optymizmem napawają wyniki pierwszych testów robotów dla amerykańskiej policji. Przykładem może być historia kobiety, która zauważyła bójkę i widząc policyjnego robota, postanowiła wykorzystać go do wezwania funkcjonariuszy. Niestety, mimo użycia przez nią przycisku alarmowego maszyna ograniczyła się do wydawania komunikatu „proszę zejść z drogi”, nucenia melodii i wydawania pouczeń w sprawie zachowania czystości w parku. Policja tłumaczy, że na obecnym etapie testów modelu Knightscope K5 – dodajmy, że niezwykle kosztownych – przyciski alarmowe nie zostały aktywowane. Z kolei media przypominają, że innym egzemplarzom wspomnianego modelu zdarzyło się wpaść do fontanny czy powalić małego klienta galerii handlowej.



FOT. ANONIMOWY INTERNauta, MEMY.PL, SEKCJA GIMNASTYCZNA, CATERS NEWS/FORUM, HA/MEGA/FORUM

eprasa.pl 71d1504177



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Wiesław Dymny

Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz

MOCAK, Galeria Alfa

Kraków, ul. Lipowa 4

Wernisaż 24 października o godz. 18,

wystawa do 15 marca 2020

Patronat PRZEGLĄDU

Swoją twórczość traktował pobłażliwie, rozdawał znajomym, nie dbał o nią, ponieważ dla niego jej rola kończyła się w momencie, gdy praca została wykonana. Sam Dymny, plastyk, aktor, scenarzysta filmowy, poeta, prozaik i satyryk, współtwórca Piwnicy pod Baranami, napisał o sobie: „Umiem malować wszystko na różne sposoby, umiem pisać na maszynie powieści, opowiadania i szlagiery. Umiem rzeźbić, wykonuję wszelkie prace domowe z wielką dokładnością, wykonuję poza tym wszelkie roboty inne, bo jestem pojętny”. Na wystawie prezentowane są obrazy, rysunki, kolaże, projekty okładek, plansze scenograficzne oraz fotografie wybrane z ogromnej spuścizny Wiesława Dymnego. W większości niedatowane, powstawały w formie szkiców na tym, co artysta w danym momencie miał pod ręką.





KASIA KOWALSKA

10 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



PIWNICA POD BARANAMI

24 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



DŻEM

06 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa
07 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



MAZOLEWSKI/PORTER

08 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



NATALIA PRZBYSZ

11 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



IRA

15 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa

TEATR CAPITOL

Wystrzałowy

Sylwester

Przywitaj Nowy Rok w capitalnym stylu!



PREMIERA
WRZESIEŃ 2019

WYKRYWACZ
KŁAMSTW

TEATR CAPITOL • Duża Scena

START 17:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 160 zł

TEATR CAPITOL • Scena Mniejsza

START 18:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 130 zł

Akt
równoległy

PREMIERA
LISTOPAD 2019

SKOK
W BOK

Multikino

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 20:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

Multikino

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

• KUP



• Bilety już od 130 zł! • www.teatrcapitol.pl •